209

CZEŚNIKÓWNY.

DZIEŁA TEGOŻ AUTORA.

	Rs.	kop.
Hrabina Cosel powieść w 2-ch tomach (wyd. 2-gie)	2	—
Z siedmioletniéj wojny, opowiadanie historyczne, 2 tomy (dalszy ciąg epoki przedstawionéj w Brühlu)	2	40
Macocha, z podań XVIII wieku 3 t.	2	25
Powrót do gniazda, powieść z podań XVI wieku	1	50
Kawał literata, wizerunki społeczne z końca XVIII w.	1	50
Morituri, powieść w 2-ch tomach	2	25
Resurrecturi, powieść w 2-ch tomach	1	50
Roboty i prace, Sceny i charaktery współczesne	1	20
Jesienią, powieść 2 t. . . . . . ·	1	80
Stara Baśń. Powieść z IX wieku, 3 tomy	3	—

(Jest to pierwszy utwór z szeregu powieści historycznych w krótkich odstępach ukazać się mających.) Druga powieść z X wieku p. t. **Lubonie,** w 2-ch tomach wyjdzie w krótce.

Pod prasą:

Brühl. Opowiadanie historyczne 2 tomy (dalszy ciąg epoki przedstawionéj w Hrabinie Cosel).

Pan Starosta Warszawski.

Ostatnie chwile Księcia Wojewody, (Panie Kochanku) z papierów po Glince. 2-e wydanie.

Przygody Imci Medarda Pełki.

Niebieskie migdały, powieść.

CZEŚNIKÓWNY.

POWIEŚĆ

PRZEZ

J. I. KRASZEWSKIEGO.

Z ILLUSTRACYAMI

CHEŁMOŃSKIEGO i X. PILLATIEGO.

WARSZAWA.
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA.

1876.

Дозволено Цензурою.

Варшава, 14 Мая 1876 года.

Druk J. Ungra, Warszawa, Nowolipki Nr. 2406.

Był to ranek młodéj jeszcze wiosny. Drzewa ledwie się rozwijać zaczynały. Wcześniejsze już się jasną okrywały zielenią, na sadach widać było jakby powłokę kwiatów białych i różowych, któremi grusze i jabłonie rzęsisto były osypane. Słońce świéciło wesoło, w powietrzu balsamiczna woń rozpękających brzóz ciągnęła z ciepłym wiatrem od lasów. Na łąkach widać było złociste łotocie, niby wzory rozrzucone na szmaragdowych kobiercach.

Ptastwo szczebiotało gwarnie, uwijając się około gniazd starych i zakładając nowe. Bociany, jaskółki, goście zdaleka opatrywali dawne siedziby i śpieszyli wyporządzić na nowe lato.

Z za płotów wychylały się krzaki bzu, już gotowe się otworzyć liliowemi bukiety, i rozesłać woń, wiosny zwiastunkę. Dzieci miejskie na ulicach biegały w koszulinach, szczęśliwe, że je promienie słońca odgrzéwały do życia.

W małém miasteczku nadbużném, w tę niedzielę przewodnią był właśnie targ i zjazd, bo w kościołku odpust uroczysty. Więc ze wsi okolicznych zjechali się włościanie, z czém kto miał na przednówku, — najwięcéj z bydełkiem i domową hodowlą, bo ziarna mało co kto miał na sprzedaż. Ale gwarno było w rynku około gospody, i na cmentarzu przy kościele, i po uliczkach miejskich, i przy mnogich domach żydowskich, i około bud a kramów otwartych, przed któremi kraśne chustki i wywieszone buty długie, i rozstawione garnki, i nagromadzone sita i przetaki widać było.

Właśnie się w kościołku nabożeństwo skończyło; nabożny lud, szlachta okoliczna, ekonomowie wąsaci rozchodzić się zaczynali, szuka-

jąc bryczek swoich i koni; część zamożniejsza popasała po gospodach, a skromniejsze zaprzęgi stały w rynku, torby koniom poprzywieszawszy.

Pomimo że wszędzie było pełno, największy jednak tłum gromadził się około Chaimowego domu; a zdala trudno to sobie wytłumaczyć było. Znać tam widowisko ludzie mieli jakieś, bo spinali się na palce, włazili na wozy, i jedni śmieli się i klaskali w dłonie, drudzy posępnie jakoś patrzyli; a ciekawych coraz więcéj przybywało.

Przed gospodą Chaimową było podsienie na słupach rzeźbionych sparte, obszerne, przez które zajeżdżało się do szopy. Tu się znać odegrywał ów jakiś dramat miejski, który coraz więcéj ściągał widzów. Że to był dzień targowy, odpustowy i wiosenny a świąteczny, można było przypuścić; iż tam dwu podpiłych zwadziło się, i poszło na słowa lub na pięście. Lecz w takim razie gwarby był inny, i krzyki śmiechby zastępowały.

Zbliżywszy się dopiéro można było dojrzéć, co tak gorączkowe obudzało zajęcie. W przedsieni otoczonéj ludem, naprzeciw drzwi otwartych gospody, z których téż mnóstwo głów żydowskich wyglądało, i wrót od szopy pełnych woźnic i panów, zwijała się jakby w tańcu kobiéta, śpiewając i skacząc wesoło, a nie zważając i zdając się nie widziéć nawet szydersko jéj poklaskującego tłumu.

Wyglądała dziwnie. Była nie młoda, choć wieku na zwiędłéj twarzy nikt nie rozpoznałby; rysy świadczyły o niepospolitéj niegdyś piękności, lecz jakby zgniecionéj i zmiętéj dłonią czasu i ogniem namiętności, zdziczałéj od szału. Zaczerwieniona skóra, obłąkany wzrok dawały poznać łatwo, że nie była przytomną. Stare, odarte okrywały ją łachmany sukni, zszarzane, zbłocone, połatane, podziurawione. Kubrak wisiał na niéj strzępami, na nogach miała dziurawe, zczerniałe pończochy i rodzaj chodaków sznurami powiązanych. Włosy w nieładzie, rozczochrane, bujne, spadały w części na plecy, w części nieforemnie pogniecione, oplatał rodzaj wieńca z łotoci i innych kwiatów polnych... Powpinane te ozdoby spadały jéj na skronie. Chusta, która z głowy na szyję się zsunęła, wisiała na niéj tak nieforemnie, jak cała odzież nieszczęśliwéj, w któréj licu obłąkanie i pijaństwo dziwnym się malowały wyrazem.

Znać sen jakiś młodości wionął na nią z wiosenném powietrzem, bo się uśmiéchały spalone usta, i przymrużone oczy czarne patrzyły łzawo... Rękami z obu stron ująwszy łachmany sukni jakby najdroższe stroje, z wdziękiem dziwnie odbijającym od nędzy i wieku, drobniuchno skakała i biegała, zwijając się obłąkana. Nie widziała nikogo, cienie jakieś ota-



Przed gospodą Chaimową... (Do str. 2).

czać ją musiały. Z ust to się głośniejsza, schrypła odzywała piosenka, to mruczenie i śmiech wesoły. Ludzie patrzyli i poklaskiwali nielitościwie. Dzieci się urągały biednéj kobiecie. Poważniejsi tylko, z wlepionym w nią wzrokiem, zdawali się chcieć odgadywać straszny dramat jakiś, którego te skoki były zakończeniem.

Nagle kobieta obudzona wrzawą, obejrzała się; oczy jéj dopiéro teraz zdawały się rozpatrywać w tłumie, którego była urągowiskiem. Zarumieniła się bardziéj jeszcze... ręce opuściły suknię... podniosła je do góry i wzięła się jedną w bok, drugą poprawiając upadające na czoło kwiaty łotoci.

— Łotry! chamy! zbóje! hę! czego się śmiejecie? czego? Co to mi tańcować nie wolno? Przeciem szlachcianka i cześnikówna... Żydzie! Judaszu! wódki!..

Poczęła szukać po kieszeniach wywracając je... Wypadła biała dwuzłotówka, nogą potrąciła ją dojącego chłopaka.

— Podaj kwartę! słyszysz...

Żydek się schylił, podniósł pieniądz, a starszy podał mu przez głowy stojących wódkę i kieliszek.

Czarkę pełną poniosła do ust kobieta, wypiła ją duszkiem i splunęła...

— Resztę częstuj... niech znają cześnikównę... Hopsa sa! hopsa sa!..

I poczęła znowu, zwijając się i przeginając, swój taniec, w którym jakieś ślady umiejętności i wdzięku dostrzedz jeszcze było można.

Żydek bliższych częstował, ale oprócz ostatniéj hołoty, nikt wódki téj pić nie chciał.

Kobiéta zaczęła śpiewać coraz głośniéj, kręcić się coraz szybciéj, szał ją opanował jakiś, łachmany rozwiane szeroko zwijały się z nią razem, nareszcie zdyszana padła na ziemię. Szczęściem, że kupka słomy leżała tam, gdzie głową trafiła. Porwała się prędko i usiadła. Rozsypane kwiaty zdawały się ją najwięcéj zajmować; zbierała je skrzętnie i drżącą ręką wkładała znowu w rozczochrane włosy. Twarz jéj przybrała wyraz smętny i dumny.

Podparła się na jednym ręku i pocichu zaczęła nucić:

Już miesiąc zeszedł, psy się uśpiły...

Głos z początku silniejszy zamierał na ustach, powtórzyła razy kilka:

— Filon mój miły, — i powieki kleić się jéj zaczęły... Usypiała.

Tłum stał milczący, z szyderstwa przeszedłszy w zadumę. Cicho

było na chwilę, potém zaczęto szeptać i gwarzyć, odchodzili niektórzy, przypatrywali się drudzy uśpionéj, z sukniami w niełdzie, z zaognioną od trunku twarzą, nieszczęśliwéj. Żydowskie dzieci obstąpiły ją do koła kopiąc nogami. Gospodarz wcale nie był rad, że mu drogę do zajazdu zawaliła uśpiona. Ale dobudzić się jéj teraz nie było sposobu; odurzona mruczała coś niezrozumiale, usta jéj uśmiéchały się dziwnie, ręce drgały, a oczu otworzyć nie mogła...

Właśnie w chwili gdy się to stało, powóz cztérema końmi zaprzężony, podróżny, z tłomokami, wyminąwszy z trudnością wozy, nagromadzome na rynku, zbliżył się do domostwa Chaima i zatrzymał przed niém. Służący zeskoczył aby zobaczyć, czy zajechać było można; poruszyli się żydzi zapraszając, ale na drodze leżała owa kobiéta. Z powozu wyjrzała głowa zakwefiona, średnich lat pani, która chwilę popatrzywszy, kazała sobie drzwiczki otworzyć i dosyć lekko wyskoczyła. Wytworny jéj ubiór piękna kibić, rysy twarzy uderzającego wzięku, pański chód—jakby czarodziejską różdżką rozpędziły tłum zgromadzony tak, że przejść mogła do gospody, nie czekając nim się uprzątnie przeszkoda; i powóz do sieni się zatoczył. Gospodarz czapkę zdjąwszy, poprzedzał ku drzwiom piękną panią. Już do nich dochodziła, gdy przypadkowo rzuciwszy okiem w bok, postrzegła leżącą na słomie kobietę, z kwiatkami zwiędłemi we włosach. Ciekawość czy litość wstrzymały ją, zawahała się i postąpiła kroków kilka, aby się bliżéj téj nieszczęśliwéj przypatrzéć.

Pijaczka leżała twarzą do góry tak, że jéj rysy oblane krwawym rumieńcem, policzki zwiędłe, usta otwarta z resztką zębów pokruszonych, pomarszczoną szyję i sfałdowane czoło, i wyraz tego oblicza stężałego w jakiemś marzeniu—można było widziéć dobrze. Piękna pani wytężyła wzrok, całe jéj ciało drgnęło, z ust dobył się okrzyk niezrozumiały, obie ręce, jakby odpychając widziadło, wyprężyła przed siebie; śmiertelna bladość okryła jéj twarz, i służący stojący blizko, ledwie miał czas podbiedz i podchwycić ją, gdyż przerażona widokiem téj nędzy—omdlała.

Zamieszanie stało się wielkie... z powozu nadbiegła pódżyła służąca, ręce załamując i śpiesząc do pani. Kilka osób podtrzymywało już osłabłą, którą na rękach prawie wniesiono do oczyszczonego na prędce gościnnego pokoju.

Tymczasem ogromny spór i wrzawa powstała między żydami, furmanem i przytomnymi. Zabierano się pijaczkę na gnój za gospodę wyrzucić, inni chcieli posyłać do straży i policyi, żydzi kopali nogami śpią-

cą... Ta ile razy przebudziła się ze snu, uśmiéchały się jéj usta, i mruczała coś niby słodkie wyrazy jakieś i szepty miłośne...

Miało się skończyć na tém, że gospodarz najął ludzi, którzy mu się obiecali pijaną wynieść za dom; gdy przez tłum przecis nąłsię wysoki mężczyzna, odziany jak ubogi szlachcic czynszowy. Odziany był w szewcką kapotę, siwą, naszywaną sznurami, długie buty i czapkę baranią. Na szyi wyschłéj stérczała głowa z twarzą żółtą, pomarszczoną, surowego wyrazu, z oczami czarnemi, dzikiemi o brwiach nawisłych. Szedł milczący z rękami w kieszeniach, i zdaleka już postrzegłszy leżącą kobietę, w milczeniu dźwignąwszy ramionami, przecisnął się przez stojących aż do niéj. Chwilę patrzył na nią nie mówiąc słowa. Usta mu się tylko wydęły i przybrały nieodgadniony wyraz litości i smutku. Właśnie ludzie najęci mieli pochwycić kobietę, gdy szlachcic porywczo zawołał:

— Wara mi!

Chaim się zbliżył chcąc coś powiedziéć, szlachcic nań popatrzył surowo.

— Zanieść ją na mój wóz! — rzekł sucho i rozkazująco... — Ot tam stoi; — dodał wskazując biczyskiem; — słyszycie....

Potém obrócił się do żyda i do tłumu razem.

— Ludziska bez wnętrzności! — zawołał, wódki dać obłąkanemu aby sobie z nieszczęścia robić pośmiewisko. Tyś żyd aleś człowiek... a gdzie sumienie?—a u was gdzie serce i miłosierdzie?.. I to się zowią ludzie. Starzy, — a bez bojaźni Bożéj, młodzi, — a bez wstydu... Tfu!!

Wszyscy zmilkli, bo wszyscy sprawiedliwość słów tych poczuli; niektórzy z rumieńcem po cichu ustąpili, aby ich nie postrzeżono. Ci, którzy mieli nieść kobiétę do wozu, a zabierali się do téj czynności zrazu dziko i porywczo, przystąpili teraz pomrukując, ostrożnie i widocznie rozważając, jakby się to uczynić dało poczciwie i skromnie.

Szlachcic stał znowu milczący; patrzył na uśpioną, a batóg, którym się podpierał, drżał mu w ręku...

Wtém ze drzwi gospody wybiegła służąca omdlałéj pani, rozglądając się do koła...

— Cóż się stało z tą nieszczęśliwą!—zawołała. Moję panią tak ten widok poruszył... że aż omdlała... bo nerwy ma słabe... Jak bo też można na drodze...

— Nie frasujcie się o nią, mruknął stary szlachcic; znajdzie się samarytanin co i tą niedolą się zaopiekuje... Ubogi nad ubogim...

Służąca popatrzywszy na mówiącego, całą rozbudzoną ciekawość swą niewieścią skierowała na kobiétę... wpatrując się w nią z razu z roztargnieniem, potém z coraz więcéj natężoną uwagą. Zbliżyła się nawet o ile tylko mogła, aby twarzy lepiéj się przypatrzéć,—i jakieś zdumienie odmalowało się w jéj oczach... Zdawała się nie dowierzać temu co widziała, przetarła oczy parę razy, — i odstąpiła zadumana... z kolei przypatrując się posępnemu szlachcicowi.

Przysunęła się do niego powoli, ze znacznie jakoś wygrzecznioną twarzą, widocznie w chęci zawiązania rozmowy; lecz szlachcic, który oka niespuszczał z nieszczęśliwéj kobiéty, najmniejszéj do gawędy nie zdawał się miéć ochoty.

— Pan ją zna tę nieboraczkę?—zapytała.

Szlachcis spojrzał na pytającą—i potrząsnął tylko głową.

— Ona tutejsza?..

I na to nic nie odpowiedział zaczepiony. Ludzie właśnie w téj chwili ująwszy śpiącą za nogi i pod ręce, dosyć ostrożnie, poczynającą się szamotać i bronić, nieśli powoli ku wskazanemu wozowi... Głowa jéj leżała na piersiach jednego z nich, z oczami ciągle zamkniętemi; lecz usta poruszały się i wyrazy niezrozumiałe wyrywały z nich... Uspokoiła się po chwili;—szlachcic ze spuszczoną głową poszedł za niosącymi... Służąca stała i patrzyła z ciekawością, któréj zaspokoić nie mogła.

Szczęściem, choć powierzchowność jéj wcale nie była przynęcającą, zbliżył się ku niéj palący fajeczkę, ekonomskiéj fiziognomii i postawy podżyły jegomość, i z uśmieszkiem zagadnął.

— Panna jéj nie zna?

— Ale jam tu obca i z daleka jedziemy...

— A ja choć tutejszy — też nie wiem co za jedna... Panie Chaim—odezwał się do stojącego izraelity.—Cóż to u was tu za komedye znowu?

Żyd ramionami ruszył.

— To jest prawdziwe nieszczęście... na mój dom, bo u mnie tylko porządne ludzie bywają...

— A cóż to za jedna? co za jedna?—zapytała służąca natarczywie.

— Albo ja tam wiem — flegmatycznie odparł gospodarz, który

znać nad tym wypadkiem nie chciał się bardzo rozszerzać—pijaczka, i po wszystkiem...

— Zkąd? tutejsza?

Pan Chaim poprawił niecierpliwie jarmułkę, skrzywił usta... popatrzył przed siebie, jakby myśli zbierając.

— Plącze się tu od niejakiego czasu... at! włóczęga... Kto ją tam będzie znał, zkąd to przychodzi i gdzie się to podziéwa...

— Jakże ją nazywają?—pytała przysuwając się służąca.

— Jak? ją każdy inaczéj nazywa—mruknął żyd trąc brodę... Jedni ją nazywają panną Cześnikówną... drudzy waryatką... ona sama jak wódki się napije, to każe sobie mówić—panna Róża!.. A zkąd ona te pieniądze bierze, bo nigdy nie żebrze... kto to ma wiedziéć!! Jak gdyby unikając dalszéj rozmowy żyd się zwolna odwrócił, i pociągnął ku domowi... znikając we drzwiach.

Niedaleko stał podparty o słup mieszczanin, którego po sutéj bekieszy i wysokiéj, siwéj baraniéj czapce poznać było można. Słuchał on pytań i odpowiedzi. Człek był jakiś podżyły i stateczny... Pofałdowana, wygolona twarz, na któréj najmniejsze poruszenie czytać było można,wyrażała litość jakąś i zajęcie.

— Bóg to tam wié, — odezwał się zwolna nie pytany, zkąd się to do nas to przywlokło... to biedactwo... Jéj tu naprawdę nikt nie zna. Czasem się pokaże, ot jak dziś, potańcuje, zaśpiewa, ludzi naśmieszy, nałaje i znowu zniknie; i nie ma jéj jakich niedziel kilka... Całą tę zimę nie było widać... Dziś z rana widziałem ją na prymaryi klęczącą, z rękami podniesionemi przez całą mszę świętą, to bijącą się w piersi i jęczącą na cały kościół... Potém leżała krzyżem w czasie wotywy; a gdy wyszła jakby pijana z kruchty na rynek... pobiegła nad rzekę i narwała łotoci, nawtykała jéj sobie we włosy, i śpiewając poszła do karczmy ludzi śmieszyć... Wypiła jeden po drugim kilka kieliszków, i ot jak się skończyło.

Zamilkł mieszczanin.

— A coż o niéj mowią ludzie?—pytała panna służąca...

— Każdy co innego, — zwyczajnie jak gdy nic nie wiedzą; roją sobie co komu do głowy przyjdzie. Przeszłego lata rozpowiadali, że ją w lesie spotkali, i że się włoczyła nie wychodząc z boru kilka miesięcy. Leśniczy ją nadybał śpiącą w dziupli starego dębu, o jakie dwa łokcie nad ziemią; i tam słyszę sobie była zrobiła posłanie z liści... a drapała się do

barłogu jak zwierz dziki... Zwyczajnie pomięszanych zmysłów biedactwo...

Ale to nikomu nib złego nie czyni, co najwięcéj że połaje gdy się z niéj ludzie śmieją... boć to się z takiego nieszczęścia śmiać nie godzi!— Bóg tam raczy wiedzieć z czego jéj to przyszło, a pewno nie z rozkoszy ale z dopustu Bożego...

To mowiąc mieszczanin się pokłonił zlekka i odszedł w swą drogę.

Panna służąca założywszy ręce patrzyła w stronę wozu, przy którym stał szlachcic na biczysku oparty, jak gdyby go pilnował. Miała wielką ochotę pójść jeszcze poprobować, czyby się co z niego dobyć nie nie udało, ale twarz miała odkrytą, — a choć dawno powinna była wyrzec się wszelkiéj pretensyi do piękności, straszyło ją to wiosenne słońce, ktore tak prędko opala. Ze drzwi téż ukazał się wychodzący z pośpiechem służący, ktory ją prosił aby szła do pani. Wyrzec się więc musiała schwycenia czegoś więcéj, i wróciła na palcach do gościnnego pokoju...

Izdebka była pusta, chłodna i smętna jak więzienie... Na tarczanie, naprępce zasłanym sianem i pokrytym dywanikiem, spoczywała przybyła pani, z bladą twarzą i wzrokiem wlepionym nieruchomie w podłogę;—nie była jeszcze przyszła do siebie z wielkiego wzruszenia, które tak silnie podziałało na jéj słabe nerwy: — Gdy się drzwi otworzyły, drgnęła przestraszona, i rękę przyłożyła do czoła...

Nie była już młodą, ale wielka jéj piękność przetrwała znać wiek i życia burze... Czarne oczy nie straciły jeszcze blasku, twarz delikatnéj płci i świeżości, usta wdzięku z jakim się niegdyś uśmiechały...

Strój jéj podróżny dowodził téż, że o te resztki piękności dbać musiała; od maleńkiego trzewiczka, który okrywał nóżkę zręczną, aż do zasłonki, zastępującéj w drodze niewygodny kapelusz, wszystko było wytworne, kosztowne, wonne i eleganckie...

Rozrzucone na stole podróżne torebki i okrycia, również były kosztowne i piękne...

— Cóż się stało z kobietą? — odezwała się głosem słabym, postrzegłszy wchodzącą sługę — nie wiesz??

I czarne jéj oczy z jakąś obawą zatopiły się w twarzy przybyłéj, usiłując ją wybadać.

— Jakiś litościwy szlachcic kazał ją zanieść na swój wóz i położyć na nim... bo inaczéj toby ją źli na gnój, za karczmę wyrzucili... bez żadnego miłosierdzia.

— A nie pytałaś co to za jedna? jeszcze trwożliwszym głosem dodała kobieta...

— Owszem, proszę pani... pytałam... ale mi nikt prawie nic powiedziéć nie umiał, oprócz że obłąkana, że się po lasach włóczy, a czasem się zapija. Nikt jéj tu nie zna... Mówili mi że się Cześnikówną nazywa... i...

Nie mogła reszty dopowiedziéć służąca, gdyż w téj chwili jéj pani znowu się źle zrobiło, załamała białe ręce konwulsyjnie i padła na poduszkę. Służąca dostawszy flaszeczkę z solami, trzeźwić ją zaczęła przestraszona...

Były to jednak mdłości przechodzące, gdyż wprędce podźwignęła się kobieta i trąc skronie — zawołała jakby się tłumacząc...

— Powietrze w téj izbie okropne!.. Umilkła, spuściła oczy...

— Mówiłaś zdaje mi się, że ją nazywają Cześnikówną?..

— Tak jest — podchwyciła sługa, sądząc że panią rozerwie opowiadaniem—a ona sama słyszę nazywa siebie czasem—panną Różą...

Oczy słuchającéj błysnęły... Nie chcąc już więcéj wiedziéć, pochyliła się na poduszkę...

Sługa wcale stanu tego zrozumiéć nie mogła...

— Coby to pani zrobić?—spytała.

— Ale nic, moja Bugucka — nic — to przejdzie... wiesz że ja miewam takie mdłości. Wczoraj już czułam się niezdrową. Potrzeba mi spoczynku...

— Możebyśmy zanocowali... ale tu ta wrzawa targowa,... pewnie do późnéj nocy ludzie pić będą... Pani zdawała się wahać i walczyć z sobą, i nieodpowiedziała prędko...

— Moja Bogucka — odezwała się cicho... nie patrząc na nią— pójdź, proszę, i zobacz co się stało z tą nieszczęśliwą... Z myśli mi wyjść nie może—okropne na mnie zrobiła wrażenie... Powiadasz, że tam jakiś ubogi szlachcic się nią zaopiekował... pójdź proszę i daj mu dla niéj... od siebie... Zaczęła szukać woreczka...

— Daj... ile zechce — dodała;... a może jaką suknię, okrycie... Trzeba jéj pomódz...

— Ale ona to przepije...

Pani drgnęła usłyszawszy to...

— Co nam do tego—odezwała się głosem słabym... Pijąc, zapomni że jest nieszczęśliwą... albo ją wódka dobije... prędzéj skończy...

Moja Bogucka... idź, zrób od siebie—rozumiesz... co można... nie żałuj... Ty masz dobre serce...

Przełechtana tém, wybiegła natychmiast panna służąca, już tym razem nawet nie zważając na opalające słońce wiosenne. Lecz gdy z karczmy wypadłszy, szukać poczęła wozu, na którym złożono obłąkaną, już go na miejscu, w którym stał, nieznalazła. Pytała stojących, nikt nie umiał powiedzieć co się z nim stało. — Dopiero po chwili, rozpatrując się do koła, spostrzegła, że szlachcic troskliwy znać by śpiącéj słońce nie dogrzewało, podjechał z nią pod cień, który rzucała szopa, stojąca niedaleko. Tu sparty plecami o wóz, zamyślony, stał na straży.

Panna Bogucka musiała pójść do niego. Na widok zbliżającéj się, szlachcic wąsami poruszył niecierpliwie;—trzeba było być bardzo grzeczną.

— Chciałabym w czém pomódz téj nieszczęśliwéj—odezwała się nadchodząca.

— A jakże jéj dopomódz? jak? szydersko się uśmiechając rzekł szlachcic...

— Pan się nią opiekujesz, może byś dla niéj chciał przyjąć...

— Ale ja się nią nie opiekuję—jako żywo, ofuknął szlachcic—ona się nie da nikomu sobą opiekować; to darmo. Mam litość nad nią... Gdy się przebudzi... wyskoczy z wozu... i tyleście ją widzieli...

— Choćby lepsze jéj dać okrycie?

— To je paszarpie i powala, bo się w błoto na noc spać położy.. rzekł szlachcic. Na taką dolę — mówił wzdychając, nawet najtroskliwsza opieka nie pomoże. Zamknąć ją, będzie jeszcze więcéj cierpiała, bo w miejscu usiedzieć nie może. To darmo.

— Pan ją znasz?

— Tyle co i waćpanna—odparł szlachcic ponuro. Nie pierwszy ją raz ratuję, bo mam taką naturę, że się do nie swoich rzeczy mięszam nie proszony, gdy mi się serce ściśnie... Ot—stara głupota!

W tém gdy rozmowa stawać się zaczynała głośniejszą, przebudzona znać nią kobieta, ruszyła się, wyprostowała, odgarnęła włosy z twarzy, i czarnemi oczami powiodła do koła.

- Wiosna! zawołała śmiejąc się.... Wiosna... zagląda w okienko... aż pachnie. To to już Maj! A ja tu? Na cudzym wozie... Jakim

sposobem... Czy mnie myśli porwać! A! niedoczekanie... Już tego było dosyć—ja sobie swobodną być chcę... Do lasu czas... do lasu!

Żwawo porwała oburącz za drąg od wózka, podniosła się i skoczyła z siłą i zręcznością, któréjby się po niéj spodziewać nie było można. W tym skoku ostatnie z jéj włosów łatocie na ziemię upadły, prędko schyliła się zbierać; — lecz zobaczywszy je zwiędłe, odrzuciła daleko z gniewem.

— W lesie znajdę inne... a to już tylko śmiecie... Ustroję się i będę śpiewała... tam mi wszystko wolno! Wilcy wyją, a ja śpiewam jakby jedną pieśń...

Panna Bogucka osłupiała patrząc i słuchając; szlachcic także. Spojrzała na nich.

— Co wy się mnie przypatrujecie!.. Czesnikówna jestem... a co? nikt mnie nie poznaje, takiem wyładniała... Róża! Różyczka! ale z niéj liście opadły... Nagle zbliżyła się do szlachcica, kładnąc mu rękę na ramieniu.

— Kieliszeczek wódki! hę! bo już nie mam grosza.

— A dosyć już tego! dosyć — rzekł szlachcic surowo— obraza Boża...

— Obraza Boża! ale! zmieszana odezwała się obłąkana — niby to pan Bóg taki nielitościwy, jak wy, żeby się zaraz obrażał, kiedy chory się napije, a jam chora! dalipan!

— Ludzie się z was śmieją — mruknął szlachcic.

— A ja z nich...—dygając, odparła Cześnikówna. A no! niech się śmieją! na zdrowie. Ot to mi wielki strach!.. Cha! cha!

Stali w cieniu; — wiatr wiosenny pociągał od łąk; wiatr chłodnawy,—wstrząsła się kobiéta biédna i ścisnęła ręce. Bogucka wzruszona, szybko zdjęła z ramion chustkę ciepłą, i rzuciła ją na ramiona ubogiéj; — ta zrazu stała zdumiona, i przypatrywała się ciekawie swojemu nowemu okryciu. Nie podziękowawszy nawet Boguckiéj i nie rzuciwszy okiem na nią, wciąż dotykała palcami i oglądała się po chustce; — zaczęła się obwijać i układać. Spoważniała nagle, — wyprostowała się.

Bóg zapłać!—mruknęła, nie patrząc.—Bywajcie zdrowi... Czas do lasu...już bociany przyleciały dawno, a ja do mojego gniazda nie powróciłam... Co oni na to powiedzą! Trzeba spieszyć, bo tam może gospodarstwo czeka. Do nóg upadam!

Dygnęła.

Szlachcic i panna Bogucka patrzeli, jeszcze nie wiedząc czy ją wstrzymywać; gdy obejrzawszy się tylko po miasteczku, jakby dla przypomnienia położenia, znikła im z oczów, biegnąc między domostwa i szopy...

Gdy służąca przyszła zdać sprawę swéj pani z poselstwa, znalazla ją z chustką na oczach, którą prędko reszte łez otarła, usiłując je ukryć i złożyć na ból głowy. Spytała, czy miała zręczność dać co ubogiéj i otrzymawszy odpowiedź, że tylko chustką ją swoją okryła,—piękna pani chwyciła szal ze stołu, i szybko w zamian za tę jałmużnę, oddała pannie Boguckiéj.

— Cóż się z nią stało?

— Pobiegła do lasu... bo ona tam zwykle przez całe lato przebywa biedna.

Pani spojrzała na nią oczami zdumionemi, chciała pytać o coś jeszcze, i słowa na ustach jéj zamarły.

— Nie wiem, odezwała się po namyśle, czy ja już daléj jechać będę mogła — muszę trochę spocząć. Na nieszpory pójdę do kościoła... jutro rano wybierzemy się daléj.

W postanowieniu tém było coś tak niezwyczajnego, iż panna Bogucka popatrzyła zdumiona na panią, nie dowierzając swym uszom.

— Widzisz że jestem chora — odezwała się cisnąc czoło ręką białą;—potrzebuję odpoczynku... podróż mnie niezmiernie trudzi, a choć nam pilno... to pół dnia można będzie nagrodzić...

— Zapewne, odpowiedziała Bogucka, ale jeśli się pani źle czuje możeby i do kościoła iść nie wypadało. Ścisk pewnie pospólstwa będzie na nieszporach, w kościołku; albo zaducha i chłód wiosenszany.

— Potrzebuję się pomodlić.. Święto.! — odezwała się pani spuszczając oczy.

Na tém skończyła się rozmowa; służąca poszła zanieść rozkazy pani. Obiadu przygotowanego nie tknąwszy prawie, podróżna usłyszawszy dzwony kościelne, okryła się zasłoną, otuliła czarną narzutką, i wyszła. Chcącéj jéj towarzyszyć Boguckiéj prosiła, ażeby została przy rzeczach. Musiała jéj być posłuszną; lecz lękając się o powtórzenie rannych mdłości, nic nie mówiąc wysłała troskliwa sługa lokaja, który zdala miał iść za panią.

Wieczór był piękny, tłumy w rynku już się przerzedzały, reszta tylko pozostałych włościan, mieszczanie napełniali kościołek, wszystkim naszym wiejskim podobny. Pachniało w nim świeżym tatarakiem, którym potrzęsiono podłogę; — jaskrawe obrazy, postrojone w wianuszki, i chorągwie przy ławkach stojące; wizerunki Chrystusa i Świętych, złocone i malowane; ołtarze boczne obwieszone wotami i pasmami lnu,... wpół mroku wieczora składały się na wiejski obrazek, wielkiego wdzięku. Mało było osób oprócz pobożnego ludu, najwięcéj kobiet, z których część znaczna z poprzewiązywanemi białemi rańtuchami, widocznie z sąsiednich wiosek przybyła. Nieszpory i pieśni pobożne odbyły się skromnie i cicho. Organ tylko towarzyszył śpiewom, a kilka świec w wielkim ołtarzu, zaraz po ukończeniu nabożeństwa. gasić zaczęto. Przez cały czas nieszporów, ze złożonemi rękami i głową na nich opartą przesiedziała podróżna, w jednéj z ławek bocznych. Lud już wychodził i kościołek stawał się pustym, gdy przypomniawszy sobie znać gdzie się znajduje, podniosła się z siedzenia, bójaźliwém okiem obejrzała do koła. Służący ukryty był za słupem w kruchcie tak, że go zobaczyć nie mogła;... skierowała się krokiem niepewnym ku zakrystyi.

Właśnie ksiądz wikary kończąc modlitwy, zdejmował kapę i albę, gdy piękna pani weszła. Musiała poczekać chwilę, nim wstał z klęcznika; przystąpił ku niéj grzecznie.

— Jestem podróżną i nieznaną, rzekła po cichu drżącym głosem wpatrując się w księdza, który jéj słuchał z uwagą. Czy nie mogłabym kilka słów pomówić z księdzem proboszczem..... Może ma gości.. .

— Nie, pani dobrodziejko — odparł wikary, proboszcz jest trochę słaby, a że to człowiek w więku i podlega często febrze, doktór mu zakazał narażać się na wiosenne powietrze... Widzieć się z nim można, niéma na plebanii nikogo...

Wikary urwał nagle, i po chwilce dodał nieśmiało.

— Czy pani dobr... poleci mi oznajmić mu o jéj przybyciu... a może zechce powiedzieć... z kim będzie miał honor?

Kobiéta zarumieniła się mocno.

— O! moje nazwisko zupełnie tu nieznane, i ks. proboszczowi także. Chciałam powziąć pewną wiadomość...

Uważając że ją tém zakłopotał wikary skłonił się w milczeniu, i otwierając drzwi boczne zakrystyi wskazał ku probostwu drogę, sam śpiesząc ją poprzedzić i oznajmić. Scieżynka wiodła przez część starego

cmentarza, wśród któréj wznosiły się stare krzyże i ceglane pomniki,... do furtki dziedzińca.

Tu stała skromna plebania wśród krzewów rozpuszczonych i zieleniejących. Nawet bzy wcześniejsze już rozkwitały od strony południa. Cisza głęboka panowała w tym kątku ubogim... ptaszęta tylko świergotały i cała gromada kur przechadzała się na trawniku.

Podróżna szła bardzo powoli, przypatrując się temu obrazkowi jakby ociągając. Dopiéro gdy wikary powracający od proboszcza ukazał się na progu, przyśpieszyła nieco kroku. — We drzwiach głównego pokoju stał już i proboszcz staruszek, z szyją obwiązaną chustką, w czarnéj czapeczce na głowie. — Był to nie młody już człowiek i znać schorowany. Cerę miał żółtą, twarz zmęczoną, ręce któremi przytrzymywał chustkę całe były nabrzękłe i pokrzywione od reumatyzmu, jedno ramię znacznie przewyższało drugie... Opiérał się znać na kiju, który teraz miał pod pachą. Mimo tych oznak cierpienia w twarzy staruszka widać było niezmierną energię, życia zapas cały. Oczy miał czarne, małe, błyszczące i patrzące niespokojnie, czoło oznajmiało rozwinięte umysłu władze...

Ogół rysów uderzał charakterem, niepospolitością swą, wyrazem głębokim.—Piękna pani pospieszyła na próg, aby go uwolnić od niebezpiecznego przewiewu. Staruszek powitawszy ją wpatrywał się z wielkiém zajęciem w nieznajomą.— Zdumienie malowało się na jego twarzy i jakby niedowierzanie...

Wskazał natychmiast krzesło przybyłéj, i przepraszając ją sam téż siadł, chwytając się za kolano,— gdyż na nogach długo utrzymać się nie mógł.

Jak w tęczę miał w nią wzrok wlepiony, co widocznie niespokoić musiało przybyłą, gdyż osłaniała się poprawiając narzutkę, i szukała miejsca aby w cieniu pozostać.

— Przebaczyż mi waćpan dobrodziéj,—odezwała się po małym przestanku przybyła — iż się go trudzić ośmielam, nieznajomą będąc —Przejeżdżałam dziś rano przez miasteczko, i niebyłabym się w niem zatrzymała, ale widok przykry takie na mnie uczynił wrażenie żem zasłabła...

Nie będziesz się waćpan dobr. dziwił słabéj kobiecie iż ją cudze nieszczęście... obchodzi... W istocie cóż tak extraordynaryjnego... że i li-



Pan Skórski. (Do str. 15).

tość i ciekawość obudzić musiało... i to mnie powoduje, żem się ośmieliła objaśnienia szukać u duchownego ojca...

Mówiąc to, piękna pani mięszała się niezmiernie, głos jéj słabł, wysilał się, powracał; podnosiła i spuszczała oczy. Staruszek słuchał nie przerywając z wielką i bystrą uwagą. Nie zdawał się jeszcze domyślać o co chodziło.

Po chwili milczenia podróżna mówiła daléj.

— Był to widok rzeczywiście okropny. Jakaś półpijana, pół obłąkana kobiéta, którą tłum urągając się, otaczał... nie mogłam się o niéj nic dowiedziéć...

Zamilkła, staruszek patrzył zamyślony...

— Nieszczęśliwa — rzekł krótko — nieszczęśliwa...

— Lecz—czy by cóś na poprawę jéj losu, dla... uczynienia go znośniejszym nie można przedsięwziąć

Pleban głową potrząsł, patrzył ciągle na nieznajomą, przysłuchiwał się jéj głosowi i dumał. .

—Któż ona jest? niespokojnie dodała przybyła, WP dobr. wiedziéć o tém musisz?

Kończyła, gdy wikary ukazał się w progu i skinął na proboszcza, mówiąc półgłosem.

— Pan Skórski przyjechał, i chciałby się widziéć.

Słowa te były wymówione tak, że je przybyła usłyszéć musiała; zerwała się z siedzenia, konwulsyjnym ręki ruchem narzuciła gęsty wola na oczy, i cała drżąca, jakby bezmyślnie cofnęła się wgłąb pokoju.—Proboszcz to widział.

— Poproś go aby u was na mnie zaczekał, rzekł,—pani by zapewne było przykrém, spotykać się tu z znieznajomymi...

Nieuspokojona tém jeszcze kobiéta, stała w oknie kryjąc twarz.

— Niechcę przeszkadzać — odezwała się.

— Proszę pani siadać, pan Skórski poczeka na mnie... u ks. wikarego...

Znikł ks. wikary, drzwi się zamknęły i podróżna wróciła ku swemu krzesłu. Proboszcz ciągle się w nią wpatrywał, choć już nie zdjęła zasłony i uchyliła tylko nieco, aby miéć wolne usta.

— Zdaje mi się,—odezwał się głosem smutnym, żeś mnie pani pytała—kto ona jest? Przebacz, starym jestem i kapłanem, wolno mi więc odpowiedzicć wam jak owieczce... jak niewieście. — Na co ta ciekawość

próżna?— Pomódz jéj może tylko jeden Bóg, gdy ją z tego świata zabierze... Cóż wam potém że się dowiecie o téj, o któréj lepiéj by ludzie zapomnieli... Ja dotąd nie wiem, ja o losach jéj nie jestem uwiadomiony dokładnie... najjaśniejsze to coście widzieli na oczy właśne, nieporatowany upadek...

Kobiéta milczała długo, zdawała się walczyć z sobą.

— Mówiono mi że ją nazywają Cześnikówną... że ma imie Róża?— zapytała...

— Być może—odparł stary.

— Że się kryje po lasach... kończyła przybyła, lecz czyżby jéj stałego przytułku znaléść nie można?

Proboszcz popatrzył na pytającą.

— O przytułek taki nie byłoby trudno— rzekł, są litościwe serca i ludzie coby znieśli to biédactwo dla miłości Chrystusowéj, ale się ona nigdzie nie utrzyma... Wyrwie się z zamknięcia, połamie kraty, powybija drzwi, głową tłuc będzie o ściany gdy ją szał ogarnie... Potrzebuje swobody —i niech tam Bóg się nad nią ulituje;.. przerwawszy nagle dokończył stary.

Podróżna ręce załamała... wstała z krzesła, zdawało się że jakiś wyraz stanowczy miała już na ustach, lecz siadła znowu cała drżąca.

— Gdyby to się na co téj nieszczęśliwéj przydać mogło,— zawołała—złożyłabym chętnie na ręce pańskie ofiarę moję dla niéj... dla ulżenia jéj losowi.

— A cóż ja z tém zrobię? — zapytał proboszcz... dać jéj nie można nic, rozrzuci, rozda lub przepije...

Westchnął, kobieta płakać zaczęła. Czułość ta, którą zapewne niewieściéj drażliwości przypisywać musiał duchowny, nie zadziwiła go bynajmniéj, czekać się na coś zdawał...

— Ale jakże do tego stanu przyszła? zkąd i jak dawno jest tutaj? poczęła pytać z gorączkowym pośpiechem.

— W okolicy już od lat wielu się błąka, a gdzie wprzódy była—któż to wiedziéć może..?

— I zjawiła się już w takim stanie obłąkania, daruj méj ciekawości,—mówiła podróżna... nie wiem dla czego widok tego nieszczęścia takie na mnie uczynił wrażenie — jestem niém przejęta cała...

Zmieszała się widocznie...

— W początkach nie było tak źle... błąkała się —rzekł proboszcz,

nie mówiła do nikogo, nikt od niéj nie dopytał słowa... Potém rozwiązały się usta od napoju.:. i powiększył szał. Nie dziwuję się pani, że masz tę litość nad nią;—w istocie zasługuje na nią—jest bardzo biédna istota—bardzo biédna.

Słuchająca pochwyciła się za głowę, chustkę poniosła do oczów, widocznie tłumiła łkanie i wybuch płaczu... Jakby dłużéj wytrzymać nie mogła, zerwała się nagle z siedzenia... dobyła z woreczka zwitek pieniędzy i wcisnęła go w chorą rękę proboszcza.

— Na miłość Bożą, weź to ojcze odemnie, może się zdarzy okoliczność—zręczność jaka ratowania, dopomożenia jéj... błagam was...

Staruszek był wzruszony... pieniądze jednak zwolna odpychał.

— To niepotrzebne — odezwał się—znalazłyby się pieniądze gdyby niemi dla niéj co uczynić można.—Nie użyję ich...

Cała ta scena miała w sobie cóś tak dziwnego, jak gdyby ani proboszcz, ani przybyła wszystkiego co sobie powiedziéć mogli, wyjawić nie chcieli. — Staruszek poczynał otwarciéj i wstrzymywał się, kobiéta z ust prawie wyrywające się słowa cofała... Już chciała się żegnać i odejść, gdy proboszcz rękę jéj ujął i posadził w krześle...

— Czyż myślisz żem cię nie poznał? — rzekł cicho... lata cię nie zmieniły pani moja... widzę tylko że los się wasz odmienił, że lękacie się być odgadniętą i poznaną? Lecz możecież się lękać tego, komu codzień przy spowiedzi otwierają ludzie sumienia swoje?..

Krzyk boleśny wyrwał się z piérsi kobiéty, która sobie oczy zakryła.—Chciała uciekać, sił jéj zabrakło... Proboszcz siedział spokojny, krzyżem ją żegnając, jakby na nią chciał zlać spokój ducha..

— Bóg z tobą! Bóg z tobą! uspokójcie się — kapłan jestem...

Kobiéta rozpłakawszy się, długo do słowa przyjść nie mogła, na ostatek rzuciła się na kolana przed starcem... który zdawał się cichą szeptać modlitwę...

— Wstań, rzekł—mówmy, abym cię pocieszył jeśli można, i abym był pocieszony bólem twoim...

Ale łzy nie przestawały płynąć, i przybyła mówić nie mogła.

— Nie pytaj mnie, ojcze o losy moje, ani o nazwisko... Zmieniło się jedno i drugie... nic we mnie nie zostało z przeszłości, oprócz gorzkich wspomnień... Wydobyłam się z tego błota i upadku... lecz ona... lecz siostra moja... O Boże wszechmogący! co za obraz... co za dola...

I znowu płacz przerwał jéj mowę.

— Nie będę pytał o nic — rzekł stary — mówmy o niéj; — teraz już, gdyś przyznała się do niéj, masz prawo wiedziéć tyle ile ja wiem... Słyszałaś jego nazwisko?—dodał ciszéj—o ścianę tam czeka u wikarego i nie wątpię że przyszedł jak zawsze szukać u mnie rady przeciwko niéj... Ona mu nie daje chwili spocząć... ona się na nim mści, ona dla niego tu jest do dziś dnia. — Pragnienie zemsty trzyma ją przy życiu. — Skórski chciał się wyprzedać i wynieść z okolicy, probował się gdzieindziéj osiedlić, ścigała go, znalazła, nie dała mu spoczynku... Wié on dobrze iż gdyby chciał się żenić, pójdzie do jego narzeczonéj, znajdzie się u ołtarza w czasie ślubu... Wysechł i wynędzniał prześladowany tyle lat... spotyka ją wszędzie, nie śmie z domu ruszyć nogą. — Czasem jakby na umyślnie zniknie ażeby go ośmielić do pokazania się na świecie... ale zaledwie wyjdzie, spotyka ją na swéj drodze, wszędzie z groźbą i śmiechem... Pod oknami jego domu krąży nocami... słyszy jéj głos za ogrodem... czeka nań w lesie... czyha na gościńcach...

W milczeniu słuchała z załamanemi rękami nieznajoma tego opowiadania... Gdyby nie zmrok, mógłby był proboszcz dojrzéć jéj źrenice już z łez obeschłe... i pałające ogniem dzikim... Zdawała się dzielić i rozumiéć te uczucia siostry. .

— Ona jest obłąkaną, mówił proboszcz, gdy go nie widzi; ale odzyskuje przytomność zobaczywszy nieprzyjaciela... Z niezmierną bystrością umié go śledzić, z przebiegłością prześladuje... złamała mu życie.

— A on? — odezwała się nagle wybuchając kobiéta—nie zasłużył że on na to... ten człowiek bez serca i sumienia... A! ojcze — nie budź we mnie zastygłych uczuć — znajdą się one téż same co w niéj, choć je czas i oddalenie przysypały popiołami — brzydzę się tym człowiekiem, nienawidzę go...

— A odpuść nam nasze winy jako i my je odpuszczamy naszym winowajcom — przerwał spokojnie proboszcz. Bogu zostawcie sąd i zemstę... Człowiek ten odpokutował za grzechy.

— Nigdy dosyć! nie! on nie mógł pokutować, bo w tém sercu skruchy nie było... Ja go znam z tamtych czasów młodości, znam go z innych i późniejszych rozgłosu — i dziwuję się tylko jednéj rzeczy, że się dotąd wahał pozbyć tak swojéj ofiary, jak, jak...

Nie domówiła słów ostatnich.

Ksiądz rękę podniósł do góry i nakazał milczenie.

— Bóg mu daje czas do skruchy i pokuty...

— To potwór nie człowiek! — odezwała się kobieta namiętnie. Tyle lat upłynęło od nieszczęść naszych, zmieniło się wszystko... ja sama poznać siebie nie mogę — on zmienić się nie mógł — ten człowiek nigdy nie miał serca...

Proboszcz znowu nakazał milczenie.

Mrok padał, kobieta poruszona wstała... zbliżyła się do ucałowania ręki staruszka...

— Ojcze—zawołała—on tu jest—ja nie chcę go spotkać...

— Nie lękaj się—wyjdę do wikarego i zatrzymam go. Bóg z tobą... Bóg z wami... Idź w pokoju...

To mówiąc otworzył drzwi, wyjrzał do sieni i stojąc na straży wypuścił przelękłą kobietę, która do furtki, oglądając się po za siebie pobiegła, i nie odetchnęła aż zobaczywszy służącego, który tu czekał na nią.

Proboszcz tym czasem wytrzymawszy chwilę, zapukał do drzwi wikaryusza... a sam pospieszył do swego pokoju, i siadł w krześle, ręką zbolałą z trudnością ocierając pot z czoła... W progu ukazał się średnich lat mężczyzna, wyłysiały... którego ubranie oznajmywało zamożnego obywatela...

Typ to był do opisania trudny... Stary kawaler, który jeszcze resztki młodości utrzymać pragnął, natura silna a starzana życiem i zmęczona. Twarz pięknych i regularnych rysów, odrażała wyrazem dziwnym egoizmu, fałszu i przewrotności;—w niespokojnych oczach widać było jakby nieustanną obawę, a usta naprzekór im starały się grać obojętność i pustą wesołość;—z budowy niegdyś atletycznéj został tylko skielet olbrzymi, obciągnięty skórą i wyschły... Mieszkała w nim jednak siła; i muskuły rąk wydatne, kark jakby opleciony niemi, kazały się domyślać niewyczerpanego jeszcze żywotności zapasu... Ruchy miał zręczne acz wymuszone, niby młodzieńcze i żywe, choć tak one jak wszystko w nim napiętnowane było rozmysłem, fałszem i rachubą.

Resztki włosów około łysiny i zarost można było posądzać o farbę, chociaż ta, zręcznie jakoś użyta, nie raziła. Cały ubiór wielce wykwintny, młodszym był od tego, który go nosił. Przystałby dwudziestoletniemu

elegancikowi, śmiesznym niemal wydawał się na starym kawalerze. Gruby łańcuch złoty u zégarka, pierścienie na palcach, laska z gałką wyzłacaną, maleńki kapelusik słomkowy z wstążką czarną, dopełniały stroju. Nie miłe czynił wrażenie pan Skórski, choć wdzięczył się wielce, i do proboszcza zbliżył się z taką wymuszoną grzecznością, uniżonością, pokorą, iżby go za najczulszą w świecie istotę wziąć było można, ktoby go nie znał.

Staruszek widać znał go dawno i dobrze, bo zimno przyjął i na powitanie natarczywe, odpowiedział ruchem ręki wskazując obok stojące krzesło, które przed chwilą zajmowała nieznajoma.

Stary kawaler usiadł, pochylając się ku proboszczowi.

— Mój Boże, — zawołał — a jegomość dobrodziéj zawsze widzę cierpiący... Na te reumatyzmy niéma jak wody. Do Karlsbaduby, do Toeplitz lub Trenczyna.

— Gdzie mi się tam włóczyć na starość! — odparł proboszcz.

— Przytém i lato a słońce pomaga wiele, byle ciepła nadeszły.

Rozśmiał się w tém pan Skórski, i zmienił rozmowę.

— A dla tego ojciec dobrodziéj wieczorkami sam na sam jakieś wędrujące jejmoście przyjmuje...

Nieszczególny ten żarcik nie zasługiwał na odpowiedź, ksiądz zmilczał.

— Cóż to pana do nas sprowadziło? — odezwał się po chwili — boć to wpan nie częstym gościem tutaj... i w kościele go widzę rzadko...

Skórski się obejrzał i z krzesłem przysunął.

— Ojcze dobrodzieju, — szepnął, — znasz najlepiéj moje nieszczęśliwe położenie... ja dla téj baby przeklętéj, waryatki, nosa z domu wytknąć nie mogę. Pod strachem Bożym kiedy niekiedy wyjadę i to... ot jak dziś... o mało biédy nie napytałem....

Proboszcz milczał długo.

— Uderz się w piersi,—rzekł w ostatku, — a powiédz czyś nie zasłużył na to?

— A! dalipan nie gorszy byłem i jestem od drugich, — zawołał głosem zawsze stłumionym pan Skórski. — Za grzechy młodości, i to tam takie głupstwo, całe życie pokutować... Słowo daję, to za wiele. Cóż to? może się jednemu trafiło?.. Młodość,. krewkość... zwyczajne...

Na nieszczęście bardzo to są zwyczajne sprawy,—odezwał się staruszek, — a jednak inaczéj się one przedstawiają niż w tym wypadku...

Przypomnij sobie waćpan, co masz na sumieniu... Serce czasem pociągnie człowieka, Bóg słabość przebaczy, ale rozpusty... trudno.

— Albom to ja, — oburzając począł gość,—rozpustniejszym był niż inni?

— Dajmy temu pokój... rachuj się sobie z sumieniem, — rzekł stary, — to nie moja rzecz.

— Właśnie żem miał czas tu rachunek robić i przerabiać, a winy tak wielkiéj w sobie nie znajduję, za jaką nielitościwie karany jestem... I dziś tu w rynku, cudem tylko uniknąłem awantury, ta czarownica, pijaczka znowu się zjawiła. Nareszcie mi ten wieczny postrach obrzydł, nie mogę już wytrzymać dłużéj. Każę ją zamknąć, zapłacę co zechcą. Jawna i oczéwista waryatka. Możeż to być, aby się jéj dano włóczyć po gościńcach, i ludzi spokojnych napadać? Ja życia godziny nie jestem pewny. Byłbym się razy nie wiem wiele mógł ożenić... Szatan ten albo mi zawsze potrafił przeszkodzić, albo mnie strachem odegnał od ołtarza. Raz się to przecież skończyć musi. Dosyć już tego.

Poruszony wstał pan Skórski, i począł przechadzać się po pokoju. Ksiądz patrzył nań nie mówiąc słowa.

— Zapłacę za utrzymanie, za podróż, niech ją wezmą i zamkną...

— I tém uspokoisz sumienie? — spytał proboszcz.

— Moje sumienie spokojne! ja nic na sumieniu nie mam! — odwracając się przerwał Skórski,—odpokutowałem z nawiązką!!

Zburzony był widocznie, ale wkrótce się miarkować zaczął.

— Właśnie, — rzekł łagodniéj, — przyszedłem światłéj rady ojca dobrodzieja zasięgnąć, i prosić o jego opiekę o poświadczenie, że to niewyleczona waryatka... Zaświadczą mi to téż wszyscy...

— Mój panie Michale, — przerwał proboszcz łagodnie, — ja bym ci tego nie życzył. Jeszcze raz mówię uderz się w piersi, pokutę straszną prawda i długą odbywasz, aleś zawinił. Daj téj nieszczęśliwéj skończyć życie na swobodzie. Wiesz jak ją zamykanie do wściekłości pobudza. Szał jéj odchodzi... Nielepiéj żebyś na czas się ztąd oddalił, wyjechał... Ona nie pożyje długo. Dla ciebie świat otwarty... a tu w sąsiedztwie i tak ci nie bardzo wygodnie.

— Z kraju się oddalić nie mogę, — chmurno rzekł Skórski,— nie chcę, a u nas gdziebymkolwiek się przeniósł, jestem pewny, że mnie znajdzie. Jakim sposobem, jakim cudem ten szatan tropy moje śledzi, to przechodzi pojęcie... Probowałem przecie... ale już tego dosyć... —

zawołał rozpaczliwie stary kawaler, — życie całe zmarnowałem. Starzeję..... męczę się... muszę temu koniec położyć.

— Jedną tylko uwagę mógłbym wam uczynić, — odpowiedział staruszek. Ta kobiéta wprawdzie ma chwile szału, ale gdy chce, umié być spokojną i przytomną. Jeżeli ją oddacie pod klucz, a kraty wyłamać nie potrafi, mogłoby co innego nastąpić. Mogłaby wyśpiewać co nieporzebnego i pociągniętoby was do odpowiedzialności... Przypuszczam, że to co ona plecie są bajki, ale mogą się do nich niechętni ludzie przyczepić.

Ta uwaga oddziałała dziwnie na Skórskiego, skrzywiły mu się usta, potarł czoło, westchnął.

— Radzi się sumienia, — dokończył.

— To piekło istne! piekło! — zgrzytając zębami mruknął Skórski, — niéma wyjścia z tego, chyba śmierć. Już mi życie obrzydło.

Organista wchodzący z kluczami, przerwał tę rozmowę, i Skórski pochodziwszy po pokoju, wdział zwolna rękawiczki, zapiął surdut, a nie mówiąc już nic, zbliżył się z pożegnaniem do proboszcza, który go tak chłodno się pozbył jak przywitał.

Wyszedł zadumany z probostwa na rynek, z którego już ostatnie wozy odjeżdżały, wioząc śpiewających i podochoconych parobczaków i gospodynie, troskliwie piastujące garnki kupione i sita.

Z niektórych karczem odzywały się jeszcze głosy biesiadujących, a dzwon kościelny cichym dźwiękiem, powolnym wołał na Anioł Pański. Na niebie kilka bladych gwiazdek mrugało...

Noc była wiosenna jeszcze, od dnia piękniejsza kwiaty na nią zachowały wszystkie wonie swoje — dzikie ptastwo śpiéwało w łozach i błotach nad rzeczką, tysiącem głosów sprzecznych, które w dziwną harmonją pieśni się splatały. Słowiki już probowały swych trylów... życie zdawało się mieszkać w całéj téj rozbudzającéj się naturze. Szeleściało w gałęziach drzew obwieszonych gniazdami..... roiło się pod stopami, pełne go było powietrze, woda, ziemia. A choć już noc zapadła i ludzie powinni byli spocząć, ludzkie się rozmarzone pieśni rozlegały się w okolicy, wśród tententu koni i wozów powracających z jarmarku. Któż nie zna téj nuty ludowéj, co nawet gdy wesołą być pragnie, smutną być mu-

si? Z łona nocy i pół przezroczystych ciemnoście wiosennego jéj zmroku. dobywał się czasem taki śpiew daleki, tęskny, smętny, łzawy i konał z wiatru lekkim szumem, który przeleciawszy po gałęziach jak duchów orszak niewidzialny, rozbijał się gdzieś w powietrznych szlakach. Na niebiosach nie było księżyca lecz się iskrzyły gwiazdami, żadna chmurka zabłąkana nie bielała na zczerniałych lazurach. Czasami tylko ognik się zapalał na krańcach nieba, łańcuchem złotym spadał po sklepieniu— i gasł gdzieś za górami i lasami...

W miasteczku wszystkie okna gospód i chat czerwonemi blaski gorzały, mało kto zasnął wcześnie... gwarzył jeszcze jarmark wszędzie.

Przed wrotami gospody w końcu miasteczka stał pan Skórski, jakby wyczekując ciemności. Palił cygaro, puszczając dym wielkiemi kłębami, to znowu dając zagasać w zamyśleniu. Koń jego czekał osiodłany, lubił bowiem jeździć sam, może dla tego, aby ludzi napaści, których się zawsze spodziewał, nie czynić świadkami. Godzina zdawała mu się właściwą, poszedł więc po swego siwka do stajni i dosiadłszy go zręcznie, stępią wyjechał powoli z gospody.

Koń znający dobrze drogę do domu, sam go prowadził. Był to wierzchowiec do pana swego i jego przejażdżek nawykły, rzadkiéj zmyślności, nóg pewnych, na którego siły i rozum zupełnie się spuścić było można. Bywał tylko czasami nieco pierzchliwy, ale Skórski siedział jak wkuty, a skoku choćby najostrzejszego wcale się nie lękał. Ciągnął więc tak ulicą miasteczka, wśród któréj siwy się doskonale, wiosenne wymijając kałuże, kierował. Za ostatniemi domami zaczynała się grobelka przez błota, osadzona wierzbami, na któréj połowie stał młynek warczący już zdaleka. Wprawo i lewo pokrzywione i poobcinane, pogięte i ponachylane stały owe wierzby stare, poczwarne, które po nocy podobne były do jakichś karłów i cieniów dziwacznych. Wyobraźnia mogła z nich łatwo tworzyć zjawiska nocne... i koń też uszami strzygł a chrapał, mijając je ostrożnie, jakby się w każdéj z nich jakiegoś obawiał widma...

Skórski klepał go po szyi nawykły do podobnych oznak humoru, zwłaszcza w nocy. Przez mostek na grobelce przejechał szczęśliwie, i minąwszy zawady, a wydostawszy się w pole, koniowi cugle puścił wolniéj. Droga wiodła ku lasom przez piasczyste role mieszczan, wijąc się fantastycznie. Gdzie niegdzie czarny krzyż stary obwieszony płach-

tami, schylał się nad drożyną, to nastrzępiony krzak dzikiéj róży z rowu wyglądał; i znowu siwy chrapał, a boczył się i nastawiał groźnie.

Skórski znajdował go tego dnia nad wszelki zwyczaj niespokojnym, i przypisywał to długiemu staniu w stajni, wśród jarmarcznych gwarów.

Za polami czerniały lasy, których część przebywać było potrzeba, ażeby się dostać do Brończéj. Tu gościniec wybity był szeroko, wozami wsi okolicznych; ale dokoła jego, w prawo i lewo, objażdżki mnogie porobione czasu błota i grzęzawicy, stały koniowi do wyboru. Siwy znał się téż z niemi doskonale, i kierował się instynktem, który wśród ciemniejszéj już w lesie nocy, wielce był potrzebnym. Piasczysty gościniec zostawiwszy w lewo, koń i jeździec puścili się dróżyną wśród gąszczu z leszczyn, kaliny i młodych dąbczaków złożonéj. Las szumiał z cicha nad ich głowami gałęźmi sosen, dębów, osiczyny i brzozy. Zmięszana woń sosen i rozpękających liści, przepełniała powietrze... Tu wiatr, który się niekiedy dał czuć na błoniach, nie dochodził wcale; szarą ciszą ogarnięty bór drzemał... i ptastwa w nim nawet słychać nie było.

Cichość ta i ciemność przykre robiły wrażenie na podróżnym... Niekiedy sucha gałęź spadająca gdzieś w gęstwinie zaszeleściała, a koń i jeździec drgali niewytłumaczoną trwogą. Skórski rad był siwego namówić do prędszego chodu, lecz koń uparty chrapał i szedł powoli, ciągle strzyżąc uszami i głowę niosąc do góry. Na gościńcu, który o téj godzinie mógł jeszcze być ożywionym powracającemi z miasteczka, nikogo słychać nie było. Tego się niespodziewałj Skórski, i cisza leśna coraz przykrzejszą mu się stawała. Szczęściem las nie potrzebował nad dobre pół godziny stępią do przebycia.

W połowie jego mała polanka na rozstaju, z krzyżem starym, dzieliła młodsze zarośla od dębiny, rzadko na nizinach rozrzuconéj.

Zbliżał się ku niéj Skórski i, chcą ją przebyć kłusem, ściągnął koniowi cugle, gdy nagle uczuł się pochwyconym za nogę, i ujrzał przed sobą dziwną jakąś postać, która ręką drugą konia za uzdę porwała... W mgnieniu oka podniósł szpicrut, chąc nim uderzyć napastnika, gdy siwy spiął się, rzucił, a Skórski, którego suknię silna dłoń ciągnęła, obalony został na ziemię.

Koń parsknął, strząsnął się i w czwał, swobodny, pobiegł do domu... Tentent jego chwilę tylko słychać było.

Padając jeździec, uderzył się głową o pień starego dębu, błysnęło mu w oczach i zdoławszy ledwie słaby krzyk wydać—utracił przyto-

mność...—Jakby echem, powtórzył się krzyk ten drugim głosem stojącéj obok postaci, która ze śmiechem okrutnym rzuciła się ku leżącemu na ziemię.

W ciemności, machinalnie ręka napastnika szukała gardła leżącéj na ziemi ofiary, drżąca suwała się po głowie i palcami ucisnęła szyję... Milczenie Skórskiego i martwość leżącego na ziemi ciała, wstrzymała nagle zabójcę. Ciemno było wśród zarośli dokoła. Napastnik ukląkł przy leżącym, pochylił się, przyłożył ucho do ust jego, z których tylko chrapliwy oddech go doszedł, i wstrzymał się od łatwego dobicia. Jeszcze raz starał się dosłyszéć oddychanie, ręką powiódł po głowie... z któréj ciepła krew się sączyła... Uczuwszy ją na dłoni... wstał nagle wstrząsając ze wstrętem, jakby chciał pozbyć się jéj co prędzéj.

Z sukni począł szybko dobywać coś, aby ogień i światło zrobić— ale wśród powyrzucanych szmat nie znalazły się zapałki. W téj chwili głosy powracających z targu ludzi słyszéć się dały niedaleko. Napastnik zawołał:

— Bywaj! bywaj tu! trup leży! trup!!

Przestraszeni wieśniacy zrazu umilkli, krzyk się powtórzył; śmielszych dwu przedarło się przez krzaki, ale nic dojrzéć nie mogli. Jeden z nich dopiéro o krok przypadłszy do stojącego widma—zawołał:

— A to Cześnikówna...

— Ja sama... Róża—Różyczka! do usług! — odpowiedziała kobiéta jakimś głosem pomięszanym... A no tu leży trup! trup!.. a z głowy mu płynie czerwona krew, krew... Ognia zróbcie, ognia... Trzeba go dobić, żeby się biédaczysko nie męczyło...

Wieśniacy dojrzeli leżącego z głową o pień rozbitą Skórskiego. Jeden pochyliwszy się, krzyknął poznawszy go...

— A to Skórski z Brończéj? cóż mu się stało?..

— Hę?—odparła zimno kobiéta, ocierając wciąż rękę o trawę — jechał sobie na koniku pan, pan... a po ciemku jechać niebezpieczno... konik bryknął, panicz spadł i stłókł sobie główkę... Oj biédota!....

I śmiała się dziko.

Wieśniacy tymczasem co prędzéj ogień niecić starali się, i jednemu z nich nakoniec się udało zapalić kupkę suchych gałęzi, i przeszłorocznych liści.

Płomyk wybijający się z gęstego dymu, który powlókł się ku leżącemu na ziemi, oświecił dziwną tę scenę nocną. Pod omszonym pniem

starego dębu leżał wyciągnięty Skórski, z głową zwieszoną na piersi, z którój krew jeszcze się lała... twarz miał bladą i usta wykrzywione— konwulsyjnie zaciśnięte dłonie jakby do obrony od nieprzyjaciela były przygotowane... Tuż przy nim stała Cześnikówna z powiędłą resztką łatoci w rozrzuconych włosach, na pół chustką nową osłoniona, z wyrazem dzikim radości jakiéjś i szału na twarzy...

Skórski żył jeszcze, ale potrzebował co najrychlejszego ratunku. Wieśniacy zaraz się wzięli do podźwignięcia go, związania głowy, zatamowania krwi i ocucenia z omdlenia. Nie odzyskał jednak przytomności.

Cześnikówna patrzyła ciekawie zdaleka, milcząco; nagle ujęła obu rękami za suknię, podniosła głowę i gdy go złożono nieopodal na trawie,—ruszyła się do swego tańca ze śpiewem. Wieśniacy ani śmieli ani mogli ją odpędzić. Biegła w koło leżącego coraz żywiéj, coraz żywiéj, coraz śpiewając głośniéj... i straciwszy wreszcie siły, padła na kolana klaszcząc w dłonie.

Zajrzała w bladą twarz leżącego, pokazując mu pięści.

— A co, kochanie! a co? skończyło się! Przyszła kryska na Matyska... Leży kawaler na trawie, na trawie, a z głowy życie płynie—płynie... a różyczka nad nim siedzi i nie płacze... śmieje się! śmieje! klaszcze w dłonie... Skończyło się wszystko, skończyło... kochanie, zdradzanie, wesele i smutek.... Zimny leży pan na ziemi chłodnéj... a tu wiosna rozkwita, wejdzie jutro słoneczko, oświeci wykopaną mogiłę... Skończyło się, skończyło—jakby życia nie było...

Zawodziła tak pół mówiąc, pół niby śpiéwając; aż nagle umilkła, wyciągnęła rękę do ciała, ściśniętą pięścią uderzyła w pierś i serce. Ludzie odepchnąć ją chcieli, porwała się na nogi i stanęła zdala.

— Precz hołota! to mój trup! to mój kochanek... słyszycie. Ja tu nad nim pani... ja! — Dół mu wykopię sama, ściągnę go i położę i zasypię, i zaśpiéwam nad głową.—Dobranoc! dobranoc! Dygnęła...

Włościanie z zabobonnym strachem przysłuchiwali się téj mowie, któréj połowy pochwycić ani zrozumiéć nie mogli. Trzeba było coś radzić, gdyż Skórski żył i oddychał. Nieopodal stał wóz, szczególnym trafem należący do wójta z Brończy, umyślili więc włożyć go nań i wieść powoli do dworu. Lecz gdy ciało podnosili, Cześnikówna rzuciła się ku nim, jakby im odebrać chciała; musiano ją odepchnąć...

Pogroziwszy ludziom, opamiętała się, że przeciw nim jedna nieda sobie rady—i gdy Skórskiego podniesiono, poszła o kilka kroków za ni-

mi. Nie mówiła już nic... Złożono omdlałego na wozie. Cześnikówna stanęła obok, ruszyły zwolna konie, poczęła iść za niemi. Żaden z włościan nie śmiał obłąkanéj odegnać.

Dopiéro gdy z lasu wyjeżdżać mieli, Cześnikówna zatrzymała się, stanęła i rozśmiała. Rękę przyłożyła do ust, posyłając od nich całus ku wozowi.

— Bądź mi zdrów! kochanie moje... kochanie... Jak we dzwony zadzwonią i trumnę poprowadzą, znajdę się ja za nią... paciórek ci zmówię taki jakiegoś wart i nie zejdę z mogiły, nie zejdę.—Będę na niéj dzień i noc siedziała... wierna twoja kochanka... aż i mnie obok ciebie pogrzebią... albo głodne psy zjédzą... Skończyło się... dobra noc!... Skończyło...

I znikła biegnąc w las, a śmiéch jéj tylko dziki długo jeszcze w uszach przerażonych włościan się rozlegał.

Nazajutrz rano przybiegł posłaniec do miasteczka na probostwo. Staruszek pacierze odmawiał, siedząc w krześle skulony.

— A zkąd?

— Z Brończéj.

— Z czém...

— Z biédą, dobrodziejku! westchnął chłopak. Wczoraj pan nocą powracając z miasteczka, miał przypadek... Koń go zrzucił i o dąb rozbił głowę; przywieźli tam doktora, ledwie trochę odzyskał przytomności... chce się spowiadać.

— Co? jak?—porywając się z krzesła, zawołał proboszcz — wczoraj! on! co tak dobrze jeździł.

— I koń, proszę dobrodzieja, taki co go znał, co się nigdy nie utknął... To niepojęta rzecz. Gdzie jemu było z konia padać! Dopust Boży!

Usłyszawszy ten wyraz bezmyślnie powiedziany, staruszek się zadumał.

— Poproście mi wikarego—a ja sam do niego jechać muszę, co będzie to będzie.

A tuż i ks. wikary coś zasłyszawszy wpadł niewołany.

— Co ja się dowiaduję... Pan Skórski.

— Mój dobry księże Felicyanie, każ mi bryczkę wysłać — jadę tam...

— Jakim sposobem... Jegomość nie możesz?

— Ale muszę.... westchnął staruszek... idzie o duszę człowieka — cóż w porównaniu z nią nędzne moje ciało... Każcie mi wysłać bryczkę... pojadę.

Ze staruszkiem w takich razach nie było można się sprzeczać, był uparty gdy co postanowił. Kazał się więc organiście i chłopcu podsadzić i pół leżąc, pół siedząc pojechał do Brończéj.

Przed dworem zawołano sługi aby proboszcza drogą złamanego znieśli. — W ganku ledwie jako tako nogi wyprostowawszy, poszedł, modlitewkę szepcząc, do sypialni.

Skórski z głową obwiązana i obłożoną leżał na pościeli, podnieść się nie mógł, bo natychmiast porywały go nudności, znak utrząśnięcia mózgu. Z oczów widać było gorączkę. Lecz ta owładywała nim tylko chwilami — wśród niéj przychodziły błyski przytomności. Przy nim siedział stary doktór trzymając go za puls;.. gdy ksiądz wszedł, powstał na palcach.

— Mój ojcze, rzekł kłaniając się, nie wiem czy tu na teraz możecie mu być pomocni, przytomność przychodzi niekiedy ale i odchodzi téż prędko. Męczyć mu się nie można. Spoczynek najpotrzebniejszy.

— Cóż mu jest?

— Fraszka że głowa szkaradnie rozbita,—szepnął lekarz, gorzéj że mózg silnie wstrząśnięty uderzeniem... Jeśli z tego wyjdzie, będzie to wielkiem szczęściem...

Gdy tak rozmawiali, w pośrodku wielkiego pokoju pocichu, Skórski oczy otworzył, spostrzegł księdza, i coś zaczął prędko mówić a niewyraźnie—ręką niecierpliwie wskazując krzesło przy sobie... Proboszcz siadł przy nim.

Naówczas chory, ruchem do zrozumienia łatwym, począł prosić doktora by odszedł. Zostali sami. Staruszek nie śmiał pytać.

Skórski przechylił się ku niemu.

— Wiécie, mruknął—kobiéta—zemsta—zemsta... ona to... ona.

Ksiądz pomyślał że majaczy.

— Daj już tam pokój téj kobiécie... myśl o swéj duszy...

— Ściągnęła mnie z konia—to ona! nie wierzycie? tak jest...

Proboszcz zmilczał...

— Ten szatan pokoju mi nie dawał, aż mi życie wziął... Trzeba byście o tém wiedzieli...

— To się wam śni — przerwał proboszcz — spocznijcie, odej-



Przy nim siedział stary doktór. (Do str. 28).

dzie to... wytrzymacie chorobę, lecz sumienie uspokoić nigdy nie jest zawcześnie. Gorączkowemi oczyma spojrzał na kapłana Skórski i roześmiał się — śmiech ten w jego położeniu, w takim momencie miał w sobie coś przerażającego. Zdawało się że przytomność go odchodziła. Podparł się na łokciu...

— Było ich dwie — obie jak malinki śliczne. Djabeł skusił... dziewczęta jak malowane, a wesołe, a trzpioty... no! i cóż znowu tak wielkiego?.. Grzech powszedni... miałem lat może dwadzieścia... alebym był wyposażył i wydał, — i wszystkoby się zaspokoiło jak należy...

A no — Cześnikówny! — szlachcianki! Życiem trzeba płacić za te przysmaki. Cha! cha! Śliczneż bo były, cacka malowane... ząbki perłowe, usta malinowe...

— Dałbyś pokój! surowo przerwał ksiądz — co ci się tam marzy... dosyć tego!

Skórski jakby się zamyślił—potém śpiewać zaczął półgłosem...

Kochanie moje, kochanie...
Czegoś tak smutna i blada?

Oczyma potoczył ku drzwiom i wskazał ręką na nie.

— Widzisz... stoi tam... szatan ten... ręką ściśniętą mi grozi i śmieje się... dłoń ma we krwi mojéj zmaczaną. Jeszcze jéj nie dosyć... niech się napije... dajcie jéj krwi. Precz z nią... wysmagać i wygnać, to pijaczka i waryatka? kto ją tu wpuścił! precz! won!!...

Nikogo nie było, proboszcz pochwycił go za ręce i, choć słaby, zmusił do położenia się na poduszkę, nadbiegł doktór... Ledwie im dwu udało się go ukołysać; oczy się zamknęły, zdrzymywał się, ale z ust jeszcze wyrywały się jakieś wyrazy niezrozumiałe...

Proboszcz widział nareszcie, że tu nie prędko pomoc jego potrzebną być może... chciał się podnieść z krzesła i odejść po cichu, gdy odwracając głowę ku oknu, postrzegł przestraszyć mogące i zdrowego człowieka zjawisko.

Do szyby dolnéj przylepioną zdawała się rozpłaszczona twarz staréj kobiéty, pomarszczona, wynędzniona, skrzywiona, z dwojgiem oczów czarnych rozognionych straszliwie, sypiących iskry... Po nad głową tą ręka ściśnięta konwulsyjnie chwyciła ramę okna aby się utrzymać. Znać było że się wdrapała na podmurowanie... W chwili gdy proboszcz

chciał ją nakazującym ruchem ręki odpędzić precz, szyba naciśnięta z brzękiem pękła w kawałki, i straszliwe to, potworne widmo, głowę wychyliło na pokój—choć kawałami szkła do krwi rozerżnęło szyję...

— A co? zdechł pies? nie ma psa? dobrodziéju? zdechł? poczęła wołać głośno waryatka.

Uśpiony już Skórski porwał się jak iskrą jakąś wyrwany ze snu, spojrzał, krzyknął i padł bez przytomności.

Śmiech rozległ się od okna—i głowa kobiéty znikła...

Doktór załamawszy ręce krzątał się około chorego. Proboszcz natychmiast wysłał ludzi do ogrodu aby precz odpędzili kobietę, ale, mimo najściślejszego poszukiwania, nigdzie jéj znaléść nie było można...

Zabobonna czeladź gotowa była utrzymywać, że się to tym panom przywidziało, ale stłuczona szyba świadczyła, iż Cześnikówna się tu w istocie dostała i potrafiła, ze zręcznością właściwą sobie, zbiedz od pogoni lub skryć się gdzieś w kąt taki, gdzie jéj nikt szukać nie mógł.

Przez cały ten dzień nie było najmniejszéj nadziei utrzymania przy życiu p. Michała... Proboszcz pozostał przy nim, chcąc pochwycić chwilę przytomną i przejednanego z Bogiem na wielką podróż odprawić... Postawiono wszędzie straże do koła, ażeby Cześnikówna docisnąć się znów do domu nie mogła...

Późno w noc spokojniejszy sen, obudził słabą nadzieję ocalenia. Lekarz go nie odstępował, ksiądz się modlił... Nazajutrz silna jeszcze natura przemogła, bo to innego może byłoby nieochybnie o śmierć przyprawiło. Lekarz po raz piérwszy powiedział że ma choć słabą nadzieję uratowania chorego... Ale dni kilka nie powracała przytomność i podnieść się nie mógł wcale... Staruszek uspokojony powrócił na probostwo...

W miesiąc późniéj dowiedział się, iż Skórski niewiadomo dokąd, jak się zdawało, na dłuższy czas wyjechał. W miasteczku téż nie pokazała się już wcale Cześnikówna, a że i po lasach jéj nie spotkano, ktoś wieść rozpuścił, że się utopiła...

W historyi salonów warszawskich, których sama klassyfikacya niemałą dla ich dziejopisa przedstawiałaby trudność, nie zapisano wcale jednego z najoryginalniejszych w owych czasach. Uległ on temu ła-

twemu zapomnieniu, któremu uległy ruiny dawnych grodów, zasypana Pompeja i przez długie wieki zakryte katakumby... Są ludzie i salony, które tak przechodzą jak kwiaty;.. opadną z nich listki zabarwione na ziemię, noga przechodnia z błotem je pomięsza, łodyga zeschnie sieróca—woń rozniosą wiatry i wszystko na wieki skończone...

Salon pani Salomei był swego czasu bardzo świetny. Gospodyni, nie młoda już wdowa, jak się zdawało majętna, chociaż ani źródeł jéj dochodów, ani ich doniosłości nikt nie znał—miała wszystkie przymioty jakich do funkcyi téj trudnéj wymagać można. Była dowcipną, oczytaną, lubiła sztuki, bawiła się namiętnie muzyką, obchodziło ją wszelkie nowe zjawisko — miała wiele pobłażania dla ludzi i wyrozumiałości dla ich błędów—nie gardziła żadnym żywiołem, który jéj salon mógł chwilowo podnieść i uczynić pociągającym, chętnie służyła zakochanym i broniła do ostatka oskarżonych — o małe wykolejenia na smutnéj drodze żywota...

Nawet powierzchowność pani Salomei, którą w kołach zn jomych zwano pułkownikową, choć nieboszczyka jéj męża równie nikt nie znał, jak majątku — nadawała się doskonale na panią takiego salonu. — Wiek jéj był zagadką, była jeszcze ładną, już nie bardzo młodą, pełną wdzięku, troszeczkę zalotną, choć nikt, nic, nigdy zarzucić jéj nie mógł. Niektórzy dawali jéj lat trzydzieści kilka, drudzy o dziesięć więcéj. Miała tę szczególną fizyognomyą i humor że wcale nie starzała. Być może, iż rzadko pokazując się we dnie, wieczorami umiejąca obrachować efekty światła, resztki piękności tak doskonale zachować potrafiła...

Salon pani Salomei nie znajdował się w jedném z głównych ognisk miasta, gdzieby obszerniejsze mieszkanie bardzo drogo opłacać potrzeba; — zajmowała dom przy niewielkiéj uliczce, ale urządzony pięknie. A że od wielu lat w nim mieszkała — gospodarz zgodził się chętnie na to, by sobie lokal podług swéj fantazyi ubrała. Było to więc skromne zarazem i poważne i piękne, a nadewszystko w dobrym bardzo smaku. Było w modzie mieć wolny wstęp do salonu pani pułkownikowéj, która przyjmowała dwa razy na tydzień, w Niedzielę i Środy. Oprócz tego mniejsze kółka zbierały się u niéj niemal codziennie, gdyż wieczorami, prawie zawsze siedziała w domu.

Wszystko co mogło do rozmowy pobudzić, nastręczyć przedmiot do rozrywki — zająć przyjemnie gości — obficie tu było nagromadzone.

W większym salonie stał nietylko doskonały Pleyel ale i organek Aleksandra. W drugim był bilard wielki i mały. Na stołach leżały wszystkie dzienniki krajowe i zagraniczne znaczniejsze, mnóstwo albumów... Była szachownica dla miłośników téj gry, i jeden stolik do kart dla starych, choć pani Salomea otwarcie się przeciw nim odzywała. Gabinet dla nałogowych tytuniarzy, opatrzony był w dobre cygara...

Herbaty i wieczerze choć skromne, doskonałe były i starannie przygotowane. Zimą panowało w pokojach ciepło miłe, latem chłodek przyjemny. Nie dziw więc, że żaden może salon tak uczęszczanym nie był jak pani Salomei.

Oprócz jakiejś pani do towarzystwa, która wcale się do niczego nie mieszała, i rządziła tylko herbatą i wieczerzą, — nie miała pułkownikowa nikogo zawadzającego przy sobie.—Nigdy nie zjawiali się tu ani natrętni krewni, ani kuzynowie z prowincyi, owe dysonanse i nuty fałszywe, które gdzieindziéj psuć zwykły harmonią dobrze dobranego towarzystwa.

Jeden jeszcze urok pociągał ku salonowi temu, mającemu już i tak wiele wdzięku i dogodności dla dostojnych tych próżniaków, co wieczorami nie wiedzą co zrobić z sobą. Nadzwyczaj wiele małżeństw kojarzyło się pod osłoną, opieką i niewidzialną a jednak skuteczną pomocą pułkownikowéj. Tu wystawiano panny na wydaniu na widok publiczny, tu się zjawiały nieszczęśliwe wdowy po zrzuceniu grubéj żałoby, tu przychodzilikawalerowie tęskniący do złotego jarzma, wdowcy usiłujący choć późno zrobić głupstwo, a nawet rozwódki i rozwiedzeni, istoty najnieszczęśliwsze, bo odstręczające od siebie wspomnieniami przeszłość.

Pani pułkownikowa nigdy w życiu nikogo nie swatała, nigdy się nie wdawała czynnie w sprawy serc i temperamentów—zdawała się obojętnym widzem — a jednak miała jak mówiono takie szczęście, że gdy się kim zaopiekowała tylko współczuciem, poprowadziła go szczęśliwie do ołtarza. Było w tém coś nieodgadnionego, cudownego; jakiś fatalizm czy szczęście.

Ktokolwiek podówczas na dłuższy czas zamieszkać chciał w Warszawie, tak samo jak wpisywać się musiał do resursy, tak téż i prezentował się u pułkownikowéj. Ona sama téż dbała o to aby jéj nie uchybiono...

Ani téż dziwić się można, że pan Michał Skórski zjechawszy na stałe mieszkanie do stolicy, nająwszy ładne pięterko, urządzone po kawalersku odnowiwszy swą garderobę u Chabou, porobiwszy znajomości

nowe z pomocą starych odświeżonych — musiał się w końcu kazać przedstawić pani Salomei.

Obrządku tego w jednę piękną środę jesienną dopełnić miał dawny towarzysz szkolny, kolega ze służby cywilnéj, pan radca Fazyński; — bo w Warszawie mało kto nie jest, nie był i nie może być jakimś radcą... Radca Fazyński był jednym z prawdziwych i dobrego gatunku; urzędnik od lat młodych, przyrosły do tutejszego bruku i pilnie zajęty swojemi obowiązkami biurowemi we dnie, wieczorami rozrywał się w resursach, teatrze i na wieczorkach. Swobodny, wdowiec bezdzietny, pan Fazyński niczém nie był krępowany; żył jak chciał — a chciał żyć tak aby uniknąć wszelkich zawikłań, kłopotów, przeszkód i t. p. Miał za prawidło do niczego się nie mięszać, od nikogo nic nie żądać i nigdy się nie unosić....

Skórski odwiedził go przybywszy. Radca go naprzód wybadał wielostronnie, czy nie miał jakich kolców, dziwactw, pretensyj, procesu, zaległości do odzyskiwania, potrzeby protekcyi i t. p. a przekonawszy się, że żadnym z tych defektow dotknięty nie był, chętnie mu podał rękę....

Miał gotowego wista u niego i doskonałą herbatę w dnie niezajęte innémi rozrywkami. On sam wniósł iż powinien się zaprezentować pani Salomei, opisał mu dom, wskazał spływające z uczęszczania doń korzyści i—namówił łatwo...

— Chociaż trochę na starego kawalera wyglądasz, rzekł — ale możesz się jeszcze rozpatrzywszy ożenić. — Tu do wyboru znajdziesz co zechcesz...

— Ja chcę już pozostać wdowcem, mam bratunków jako spadkobierców, a komplikować sobie ekzystencyi drugi raz — ochoty już nie mam. Zęby mi powypadały... gdzie się już żenić...

Skórski oświadczył się z gorącą chęcią zrobienia znajomości z pułkownikową. Jednéj tedy środy ubrawszy się starannie, i wyglądając wcale przyzwoicie, Skórski towarzyszył przyjacielowi na pokoje pani Salomei.

Przyjęcie się tu rozpoczynało o ósméj, lecz z lepszym tonem było przybyć około dziewiątéj. Tak téż uczynili.

Osób zastali już kilkanaście. Piękna gospodyni, któréj nadzwyczaj do twarzy było w sukni czarnéj, przywitała radcę nader wdzięcznym uśmiechem, a na Skórskiego rzuciwszy okiem znawczyni, posadziła go

przy sobie, grzeczną z nim wstępną rozpoczynając rozmowę. — Był to egzamin wstępny. Piękna pani umiała — bawiąc gościa, badać go niepostrzeżenie. W kilku zręcznych zwrotach dowiedziała się zaraz, że miał majątek w okolicach nadleśnych, że nie był żonatym, że dla braku zajęcia jakiś czas chciał mieszkać w Warszawie... Sposobami sobie tylko wiadomemi, wyprobowała nieco charakter, ukształcenie, serce, humor — i znalazła że Skórski nie będąc salonu ozdobą, może w nim być wcale pożytecznym sprzętem.....

Udało jéj się zręcznie wśród tego egzaminu zaprezentować go kilku osobom, a gdy nadeszli nowi goście, mogła już własnym siłom zostawić p. Skórskiego... Nie był to człowiek salonowy, znać na nim było długie zadawnienie, rodzaj rdzy, która pada na odwykłych od towarzystwa — ale umiał sobie przypomnieć swój dawny pobyt na świecie, i choć formy miał nieco przestarzałe — nie raził w salonie. Czyniło go to oryginalnym.

Panna Olimpia, osoba lat trzydziestu i kilku, niegdyś bardzo piękna, dziwnym składem okoliczności przywiędła w stanie dziewiczym, rozpoczęła była zajmującą rozmowę z panem Michałem o Hrubieszowskich, Chełmskich i Lubelskich stronach, gdzie miała krewnych i znajomych, — gdy w salonie ruch jakiś dał się uczuć, gospodyni wstała z kanapy, mężczyzni się rozstąpili i kobiéta średnich lat, nosząca na warzy ślady niezwykłéj piękności, majestatycznéj i zręcznéj postawy, ubrana niezmiernie wykwintnie — ukazała się idąc od progu...

Oczy pana Skórskiego skierowały się ku niéj machinalnie; w téjże chwili jakimś wypadkiem wchodząca spojrzała w tę stronę i spotkała się z jego wzrokiem... Skórski, który miał odpowiedzieć pannie Olimpii, z ustami otwartemi skamieniał... Bladość pokryła twarz jego, rzucił się w krześle jakby chciał uciec, i nim zdołał opanować się i do spokoju wrócić, postrzegli wszyscy iż drżał i zmięszał się — jakby na widok widma lub przerażającéj mary.

Kobiéta wchodząca zatrzymała się na mgnienie oka, zbladła także, lecz znać nawykła do panowania nad sobą, umiała wytłumaczyć ruch niby zaplątaną suknią, którą poprawiła,—i choć twarz jéj nieco była zmienioną, nie oglądając się już na nikogo, zasiadła dosyć swobodnie przy gospodyni... -

Miejsce które zajęła tak blizkie Skórskiego, iż słyszał szelest grubéj, jedwabnéj sukni przy siadaniu. Panna Olimpia z nadzwyczaj-

ną ciekawością wpatrywała się w niego, siedział nie śmiejąc oczu podnieść... zdrętwiały... Odpowiedź — którą został dłużnym, razem z pytaniem zapomnianą znać została. Powtórzyła ją napróżno panna Olimpia, Skórski nie słyszał... Rozbudził się dopiéro po chwili i uczuł potrzebę wytłumaczenia się tém, że przed kilką miesiącami miał straszny przypadek, że spadł z konia—i od tego czasu cierpi gwałtowne bóle, które nagle przychodzą i przechodzą.

Czy panna Olimpia zadowolniła się tém, nie wiémy; to pewna, że go już więcéj nie zabawiała rozmową i po chwili wysunęła się — a Skórski także wstał i w tłum się wmięszał co prędzéj...

Przybyła pani prowadziła rozmowę z gospodynią, co nie przeszkadzało jéj razy kilka rzucić okiem po salonie, jakby szukała zniknęłego Skórskiego. Zwolna lekki rumieniec na twarz jéj powrócił, i niktby się nie był domyślił, że ją ten człowiek mógł obchodzić.

Skórski tymczasem cofnął się pod opiekę radcy, który stał jakoś osamotniony, tylko co dokończywszy pobieżnéj rozmowy z panią Cymińską, wdową, którą go prześladowano. Osoba była nie młoda, otyła, nie ładna ale majętna. Ludzie pletli, że się koniecznie za radcę, dla tytułu, wydać chciała.

Skórski przystąpił do niego, ujął pod rękę i poprowadził do okna.

— Mój radco — rzekł głosem w którym jakieś wzruszenie czuć było — kto jest ta pani, która teraz weszła, siedząca obok gospodyni na kanapie.

Radca przyłożył szkiełko do oka.

— Ta w koronkach, z wstążką pąsową we włosach—zapytał.

— Tak jest.. tak; drżąco odparł Skórski.

— A to pani generałowa Hochwarth...

— Generałowa?...

— Tak jest; mąż jéj służył podobno w wojsku pruskiém — nie wiém; potém na wschodzie...

— Niéma go tu?..

— Nie postrzegam, odparł radca.

— Któż to jest?—dodał Skórski

— Mówiłem ci, generałowa Hochwarth.

— A z domu?—zapytał przybyły.

— No, nie wiém, mógłbym odpowiedziéć jak Rzewuski, dodał

śmiejąc się—bo nawet nie wiém czy z domu, czy zkąd wyszła... i nikt tego nie wié.

Ruszył ramionami.—Bardzo piękna kobiéta była i jest nawet... ale smutna jakaś, pognębiona; zdaje się nieszczęśliwą i ludzie odgadują, że pożycie z mężem nie osobliwsze być musi. Hochwarth jest dziki człowiek, gbur i choć go z wielu przymiotów chwalą, w towarzystwie nieznośny...

Gdzież, tu czy gdzieindziéj się z nią ożenił? zaczął Skórski.

Któż to może wiedziéć — odezwał się radca — Widzę że cię szczególnym sposobem zainteresowała... Daj pokój... nie myśl wcale o przybliżeniu się nawet do niéj, mówią że wcale nie jest przystępną. Musi się męża obawiać...

I począł się śmiać radca, posadziwszy towarzysza, że na nim czarne, smutne oczy jenerałowéj uczyniły wrażenie.

— To zagadka pono i to małżeństwo, kobiéta i mąż... mówił daléj. — Ja tego rodzaju zadań towarzystkich rozwiązywać nie lubię; lecz jeśli tyś się co więcéj chciał dowiedziéć, chodź, dam ci tu kogoś co wié wszystko, nawet to czego niéma i nie było. Mój przyjaciel Pacierzyński...

— Ale ja ani pytać chcę, ani z moją ciekawością wydawać! zawołał broniąc się Skórski — proszę cię...

— No, to chodź, a ja go będę pytał dla ciebie, nie skompromituje cię słuchanie.

Właśnie daleko stali od Pacierzyńskiego, którego radca zapoznał z przyjacielem.

— Mój prezesie, odezwał się — (Pacierzyński kiedyś raz w czémś prezydował, tytuł mu pozostał),—mój prezesie, ty co wszystko wiész, gdybyżeś téż mi powiedział zkąd się tu wzięła generałowa ta... i kto ona z domu...

Pacierzyński, mały, zwinny, zaschły człowieczyna, w niedostrzeżonéj peruczce, artystycznie przytwierdzonéj do głowy, począł odpowiedź od śmiéchu.

— Rozumiem, rzekł — chcesz może mię zawstydzić tém, że nic nie wiém. Wiész że toby mnie bolało,... że jestem ciekawy, że choruję na przenikliwość... hę? nieprawdaż.

— Wszystko to być może.

— I chcesz mnie przed obcym upokorzyć—wszak tak?..

— Przypuśćmy! rzekł radca—jestem ciekawy i daję ci do rozwiązania zadanie.

Pacierzyński pogładził się po brodzie.

— Wiész co—odparł, — kilka lat widuję jenerałowę po salonach, spotykam ją często... ciekawość moja do najwyższego stopnia jest rozbudzoną, używałem wszelkich środków dla dobadania się czegoś—wiém, muszę wyznać, mało... ale coś wiém...

Skórski pobladł słuchając.

— Jest rzeczą prawie pewną, że jenerałowa występowała wprzódy na jakimś teatrze. Nadzwyczajna jéj piękność skusiła jenerała. Jest rodziców szlacheckich, ale z rodziny ubogiéj... Zdaje się téż że w młodych latach ciężkie jakieś przebyła próby, czemu uwierzyć łatwo, zważywszy jéj nadzwyczajną piękność. Otóż widzisz dokończył Pacierzyński, że nie jestem tak znowu nieświadomy jak sądziłeś. Gdybym po téj nitce chciał dochodzić, gdyby mi o to chodziło, dóbadałbym się może i więcéj....

— Wiédz, odezwał się radca, wskazując Pacierzyńskiego — to niebezpieczny człowiek. Żaden sędzia śledczy nie ma większego talentu do prześwidrowania na wylot wskazanéj ofiary. Pacierzyński ci z czoła czyta...

Skórski niezmiernie się jakoś zmięszał, choć chciał udawać wesołego; oczy jego mimowolnie błądząc po salonie, z przerażeniem się wstrzymywały, jak przykute, na jenerałowéj. Ciasno mu było i duszno i radby był uciec co prędzéj... Szczęściem, że i pani Höchwarth podejrzliwie nikt nie śledził tego wieczora, byłby bowiem dostrzegł w niéj niezwyczajnego poruszenia — niepokoju, gniewu niemal, który napróżno ukryć się starała. W pół godziny potém zaczęła się skarżyć na silny ból głowy, gospodyni wyprowadziła ją do swego gabinetu i powróciła już sama... Jenerałowa odjechała do domu.

Skórski wolniéj odetchnął, gdy się przekonał że jéj już nie było. Mało kto zresztą dostrzegł nawet oddalenie to, gdyż zagadkowa ta postać nie wiele osób obchodziła. Radca tylko począł się wyśmiewać z przyjaciela, iż na pół zwiędła twarzyczka mogła go zająć tak bardzo...

Ponieważ oddalać się wcześnie nie wypadało, bo gospodyni tego nie lubiła, — poszli więc z kilku innymi panami do gabinetu na cygara... Wyborne, suche Havanny stały na stoliczku, a kronika miejscowa przypisywała ich doskonałość temu, iż sama gospodyni, ale w wielkim sekre-

cie — miała podobno wonią ich się napawać. To pewna, że na białych jéj jeszcze ząbkach, nie było śladu téj ekscentryczności.

Pacierzyński, Radca, Skórski i dwóch młodzieńców wielkich nadziei, z których jeden już cały majątek stracił (co go mogło do pracy napędzić), drugi nigdy nic nie miał nad długi — składali towarzystwo. Pacierzyński był w werwie, i nikomu nie dał przyjść do słowa.

— Pytaliście się o generałowę, rzekł — a czemu nie o generała... tuby dopiéro było co opowiadać! Hę! bo tego znam i całe jego *curriculum vitae* od dzieciństwa umiém na palcach. Ojciec był jakimś urzędnikiem za rządów pruskich szczęśliwych, gdy bruki Warszawy trawa porastała. Ożenił się tu z polką, i syn pół po polsku, pół po niemiecku został wychowany. Mówią że te Hochewarty to goła jakaś szlachta nadreńska, potomkowie Raubritterów... W charakterze generała coś z tego zostało, bo to djabeł nie człowiek. Dumny, zarozumiały, fantastyk i ma coś w charakterze odstręczającego, dzikiego... Służył w wojsku pruskiém, bił się gdzieś na wschodzie, podróżował po całym świecie, powiadają że pojedynków miał mnóstwo, a—po cichu nawet twierdzą, że były gorsze niż one wypadki... że generał wcale się nie wahał sprzątać ludzi gdy mu zawadzali. Jednémi słowem awanturnik... ale człowiek ciekawy bardzo. Zna Indye i Chiny, bywał w Afryce, czytał wiele opowiada z wielkim zapałem, chociaż żadnym językiem nie mówi dobrze, bo mu się wszystkie pomięszały. Bądź co bądź, choćby żonę kochał, bo mówią ze namiętnie do niéj jest przywiązany—nieszczęśliwa to być musi kobiéta. Zazdrosny jak Otello... To téż ona oczów na nikogo podnieść nie śmié...

A no, cóż! — odezwał się Pacierzyński, nie odmalowałem wam go dobrze?

— Nikt ci tego talentu nie zaprzecza, przerwał radca—ale o generałowéj—przyznaj się nie wiele wiész... Wszystko oparte na domysłach...

Prezes ręką machnął.

— A no! a no! przyjdzie może do tego że się i o niéj dowiem więcéj. Przyznam się że znowu tak bardzo mnie ona nie zajmuje; kilka razy zbliżyć się do niéj miałem zręczność. O ile jeszcze dziś piękna i ponętna, o tyle zimna, odpychająca, dumna dla wszystkich... nie wiém czyście się przypatrzyli jéj wzrokowi? W jéj wejrzeniu jest coś przerażającego, strasznego, jakby chęć zemsty i pragnienie krwi.

Radca się rozśmiał—Romanse!

— Śmiéj się! śmiéj!—mówił Pacierzyński—po mnie dreszcze chodzą, gdy na nią spojrzę, więcéj ci powiém: — jest coś obłąkanego w jéj wzroku.

Skórski rzucił się na krześle; spojrzano na niego, udał że się tylko poprawił na niém.

— Gdy mówi o czém—kończył prezes, nie umié inaczéj jak z goryczą... z ironią. Pani Salomea, która jest samą dobrocią i łagodnością, powtórzyła mi razy kilka, że czasem krótka z nią rozmowa strachem ją przejmuje. Powtarzam wyrazy pułkownikowéj — powiadała mi że ta kobiéta, musiała wycierpiéć nadzwyczaj wiele... jest w niéj coś niewyleczonego, zbolałego, co przeraża... Wzrok niekiedy miewa jakby nieprzytomny... Jedno tylko ją rozczula i roznamiętnia, to widok dzieci... ale to się tém tłumaczy, że ich nie miała pono i nie ma.

Skórski zerwał się nagle z krzesła i począł chodzić po pokoju, cygaro mu za preteks posłużyło. Radca zauważał, że go już to opowiadanie zajmować przestało, że patrzył gdzieindziéj i był jakby roztargniony. Pacierzyńskiego jednak, gdy raz puścił wodze sobie, nie łatwo było powstrzymać.

Skórski był struty. — Napróżno starano się gościa czémś zabawić; wrócili do salonu, mówił mało, nie podobał sobie w towarzystwie, choć tego wieczora było jak rzadko dobraném... Młody poeta deklamował wiersz, przez siebie ukuty; młody pianista o mało niepodruzgotał fortepianu, za co go oklaskami okryto; jedna z pań śpiéwała arią z Normy bardzo miłym głosem, — a jednakże Skórski się nudził, i rychło zniknął z horyzontu. Radca zawyrokował, że na wsi ludzie dziczeją.

Gdyby kto nazajutrz z rana, po mszy rannéj u dominikanów, stanął był u kruchty i przypatrywał się wychodzącym z kościoła, byłby mimowolnym świadkiem sceny, którą tylko ubodzy, naówczas tu zgromadzeni, widzieli... dobrze jéj nie mogąc zrozumiéć.

Wówczas gdy się prymarya odprawiała, weszła, nieśmiałym krokiem, do przedsionka kobiéta niemłoda, któréj twarz zarówno jak ubiór, choć poszarpany, świadczyły, iż nie była na żebraczkę urodzoną. Rysy jéj niegdyś piękne i szlachetnego wyrazu, czarne oczy ogniste, zacięte usta, choć nędza je powykrzywiała i napiętnowała — zachowały coś

z dawnéj piękności, jakby przysypanéj gruzami. Odzież była poszarpana, lecz niegdyś kosztowniejsza niż zwykłe łachmany żebracze... Ogromną chustką, jeszcze nową ale zbłoconą i zszarzaną, okrywała starannie ten strój, który nawet od zimna przejmującego nie mógł jéj uchronić. Na twarzy wzruszenie, obłąkanie, smutek; — dzikie jakieś a gwałtowne uczucia wybijały się z pod przybranéj maski obojętności. Kij prosty miała w ręku, pomarszczoną skórą okrytéj, małéj i pięknego kształtu. Znać obca tu, bojaźliwie się wcisnęła, oglądając, do kościoła... padła na kolana w kruchcie, pocałowała podłogę, podniosła ręce do góry, jęknęła i zaczęła się modlić. Była to piérwsza stacya, bo po niéj wstała, poszła ku ławkom i tam tak samo klękła, po raz drugi całując ziemię; naostatek dociągnęła się przed wielki ołtarz, i tu się krzyżem układła...

Słychać było płacz jéj i głośną modlitwę... Gdy ją potém opuściły siły, poszła pod boczny ołtarz i tam do ściany przyparta, zgarnięta cała dla zimna, drżąc, przesiedziała mszą świętą.

W piérwszéj ławce siedziała, na tęż mszą przybyła, generałowa, którą widzieliśmy wczoraj na wieczorze pani Salomei. W początku mszy zaraz wzrok jéj padł na żebraczkę;... zadrżała, przestała się modlić, i już go od niéj odwrócić nie mogła. Uboga nie postrzegła zrazu że zwróciła na siebie tak pilną baczność, patrzyła na ołtarz tylko... Zapomniawszy się jednak... znużona, gdy i modlitw jéj już do odmawiania nie stało, obłąkanym wzrokiem powiodła po kościele, i postrzegła generałową.

Oczy jéj wlepione w nią zaiskrzyły się, wyprostowała się... Osłupiała patrzyła na nią długo, wreszcie jakby omamieniu się broniąc, odwróciła się nagle i znowu gorączkowo modlić zaczęła... Kilka jeszcze razy machinalnie obróciła się ku generałowéj... i za każdym razem schylała ku ziemi, jakby karząc siebie za grzészną ciekawość.

Generałowa siedziała jak wkuta w swéj ławce, nie mogąc się ruszyć...

Widocznie między temi dwoma kobiétami, stojącemi dziś na ostatnich, przeciwległych sobie krańcach, społecznych stopni — musiał niegdyś być jakiś stosunek—znać się musiały kochać czy nienawidziéć—cóś je łączyło z sobą. Z wejrzeń nie podobna było poznać, miłość czy nienawiść miały w sercu... obu im paliły się oczy, drżały usta i ręce, obie zdawały się chciéć zbliżyć i wstręt miéć a obawę spotkania... Generałowa nie mogła się ruszyć złamana, żebraczka miotała się usiłując



Stój, zawołała półgłosem — tyś Natalia... (Do str. 41).

utrzymać w miejscu, choć coś ją pędzić się zdawało ku niéj. Kościół się powoli chwilowo wypróżniał... dziadek gasił świéce, bractwo miało rozpoczynać różaniec, gdy, przemagając obezwładnienie swe, generałowa wstała, zadrżała niby od dreszczu, narzuciła chustkę czarną, i chwiejąc się a przytrzymując ławek, zwolna, nie oglądając się już, wychodzić zaczęła z kościoła.

Żebraczka wstała téż, przeżegnała się, i krokiem przyśpieszonym z drugiéj strony ławek pobiegła, usiłując w twarz zajrzéć generałowéj. Mrok był w kościele, a zasłonka spuszczona na czoło niedozwalała dojrzéć dobrze jéj rysów.

Niespokojna aby jéj nie uszła, uboga zabiegła drogę, — od wnijścia padało trochę światła. Chciwie zaczęła się wpatrywać w idącą, która czując to nie podnosiła oczów... Tak doszły do kruchty, w któréj kilku tylko siedziało żebraków. Generałowa ręką sięgnęła do kropielnicy po wodę święconą, i w téjże chwili palce żebraczki dotknęły się jéj także... ale oczów nie spuszczała z generałowéj. Od progu dzienny blask wpadając już w pełni, zbladłą twarz jéj oświecał, i pałające nieodgadnioném uczuciem oczy. Mimo różnicy wieku, stanu, wyrazu, dwie te twarze, które los zbliżał wypadkiem, uderzały nadzwyczajném podobieństwem rodowém. Były to jakby dwa odbicia jednych rysów: wypieszczonych dostatkiem, wyniszczonych nędzą. Generałowa teraz zdawała się wysilać na to aby zwyciężyć siebie samę—i nie podnieść oczów. Odchodziła już od kruchty ku drzwiom, gdy drżąca żebraczki ręka chwyciła jéj chustkę.

— Stój, zawołała półgłosem — tyś Natalia... jam cię poznała! tak poznałabym cię w piekle nawet, w którém może obie będziemy! I rozśmiała się dziko...

W tém na bladéj, oniemiałéj twarzy generałowéj, która osłabła o słup się oprzéć musiała, spostrzegła dwa strumienie łez, płynące cicho...

Twarz jéj zmieniła się nagle, załamała ręce—z oczów zaczerwienionych trysnęły łzy, i rzuciła się ściskając ją za kolana.

— Natalio—nie odpychaj nieszczęśliwéj... Natalio—czyż my sobie będziemy obce?

Jenerałowa jeszcze się odezwać nie mogła. Przerażona potoczyła wzrokiem dokoła, nie było nikogo oprócz zdumionych ubogich, przypatrujących się scenie dla nich nie zrozumiałéj.

— Chodź za mną! odezwała się półgłosem, tu nie miejsce.

Postąpiła krokiem; żebraczka posłuszna puściła jéj suknią, cofnęła się, otarła oczy, ujęła swój kij upadły na ziemię, i zwolna za nią się powlokła. We drzwiach obejrzała się jeszcze generałowa, dając jéj znak oczyma aby szła za nią. Biegła prędko zrazu, ale wypadłszy w ulicę, gdy ją owiało powietrze, musiała się wstrzymać trochę, aby go do piersi zciśniętych zaczerpnąć.

Żebraczka stała w pewném oddaleniu za nią...

Po chwili spoczynku, generałowa, zasłoniwszy twarz zupełnie, otuliwszy się okryciem, skierowała się na Podwale. Kilka razy oglądała się nieznacznie, aby obaczyć czy żebraczka idzie za nią—widziała ją idącą zawsze w tém samém oddaleniu. Tak doszły obie do bramy jednego domu, w któréj nie było nikogo. U wschodów stanęła generałowa, ledwie się na nogach mogąc utrzymać, i czekała. Żebraczka weszła.

— Różo — zawołała do niéj szybko, zebrawszysię na męztwo generałowa, stój tu i czekaj aż przyślę po ciebie. Nie mogę przyjąć cię w moim domu... Mąż mójby cię zobaczył... on nic nie wié—niemogę, tu mieszka przyjaciółka lat dziecinnych... muszę jéj powiedziéć, poprosić, oznajmić... przyślę po ciebie... Zatrzymaj się chwilę...

Odwróciła się, wymówiwszy te wyrazy szybko... Żebraczka wysłuchała ich niema i padła na piérwszym stopniu, głowę złożywszy na wyższym, znużona i osłabła...

Dzwonek dał się słyszéć na piérwszém piętrze, otwarły się drzwi:— kobiéta średnich lat, niegdyś piękna, któréj płeć zjadły jakieś kosmetyki, żółta, blada, ale twarzy ożywionéj i wesołéj, ubrana na wpół dziwacznie bardzo, sama wyjrzała i zobaczywszy nadchodzącą, krzyknęła.

— A! to ty! sługi nie mam! wystaw sobie probuję tego nieszczęsnego stroju, który ma być wschodni! Znajdujesz mnie jakby gotującą się na maskaradę... Gdy to mówiła, mała, może dwunastoletnia, dzieweczka, jak anioł śliczna, z rozpuszczonemi włosami blond na białe ramiona, z okrzykiem przypadła do Natalii.

Pokój, którego drzwi się otwarły, przedstawiał obraz dziwnego nieładu. Po krzesłach i kanapach leżały różnokolorowe jakieś części ubrania... Na stole mnóstwo rysunków i książek. Wśród nich na drewnianéj głowie przepyszna peruka upudrowana, zdawała się do włożenia przygotowaną.

Kobiéta, która drzwi otwarła, z wesołą twarzą uśmiechem i szczebiotaniem, dziéwczę, które z radością wybiegło naprzeciw generałowéj,

na widok jéj twarzy — stanęły osłupiałe i przelękłe. Zmienioną była, jak trup bladą i oczy miała obłąkane.

— Moja najdroższa — zawołała szybko — ratuj mnie... potrzebuję z tobą dwa słowa pomówić sam na sam... Prędzéj—ginę!

Gospodyni gwałtownie pochwyciła, całując, dzieweczkę i popchnęła ją do drugiego pokoju, drzwi zamykając za nią; a sama przypadła z załamanemi rękoma do generałowéj.

— Co ci jest! ten przeklęty mąż znowu!

— A, nie! dola, dola moja! odparła kobiéta, padając na krzesło i głowę kładnąc na stole — dola mnie prześladuje! przeszłość mnie goni. Droga moja, zlituj się, pozwól... ja muszę tu u ciebie widzieć się i pomówić—z siostrą. Zobaczysz ją! to widmo straszne! tę żebraczkę na pół może pijaną; — załamałe ręce.

— Gdzież ona jest? gdzie?

— Czeka u wschodów...

Gospodyni, nie pytając już o nic więcéj, narzuciła ogromny płaszcz na siebie i zbiegła coprędzéj.

Na widok odartéj żebraczki, na pół leżącéj na wschodach—stanęła — męztwo ją odstąpiło. Cześnikówna podniosła głowę słysząc nadchodzącą, i zaczęła szukać upuszczonego kija.

— Chodź pani za mną! zawołała głosem zmienionym gospodyni.

— A śliczna mi pani! rozśmiała się uspokojona już na chwilę żebraczka, opamiętywając się gdzie była... Dajże mi jéjmość rękę... bo nogi jak połamane...

Mimo wstrętu wyciągnęła rękę gospodyni, a żebraczka poczęła się ciągnąć zwolna, trzymając poręczy. Tak się dowlokłszy do drzwi Róża postawiła swój kij w sieniach, owinęła się chustką i zwolna wsunęła, oczyma wodząc po pokoju. Zobaczywszy generałową, stanęła naprzeciw niéj w milczeniu.

Gospodyni łatwo było się domyśléć, że przytomność jéj była tu zupełnie zbyteczną; spojrzała na przyjaciółkę, skinęła, wskazując że będzie obok, i wyszła.

We drzwiach już litość ją wzięła nad nieszczęśliwą, któréj podsunęła krzesło, zrzuciwszy z niego strój jakiś.

— Siadaj pani—rzekła.

— Co! ja? na krzesełku? a tobym wam obrzydziła je na wieki—

odparła, śmiejąc się gorzko, kobiéta. Stać nie ustoję, ale siąść nie siądę — chyba na podłodze.

Obejrzała się wkoło, zsunęła powoli na ziemię i westchnęła, sparłszy na łokciu.

Zostały sam na sam z generałową, która mierzyła siostrę oczyma długo, aby rozpoznać, czy była przytomną.

Ślady odbiegłego szału widoczne były wprawdzie na zwiędłéj twarzy żebraczki, lecz w téj chwili patrzyła spokojniéj, i nic nie zdradzało obłąkania. Z czerwoności pijaczéj na licu zostały tylko dwie wypalone plamy ceglaste. Usta popękane zbladłe, drżały chorobliwie.

Dwie siostry mierzyły się oczyma.

Siedząca na ziemi poczynała się uśmiéchać.

— Ot tak — zawołała, uderzając się ręką po odartéj odzieży — rodzone—jedne losy, jedne winy, a sprawiedliwość dla nas nie jedna! Ja w łachmanach, ty w koronkach... ha! ha! a pies nie zdechł?

— Wiész — dodała — myślałam żem już z nim skończyła. W nocy ściągnęłam go z konia pod dębem, rozbił sobie czerep o pień, krew ciekła, umoczyłam w niej rękę, czuję ją do téj pory... Sądziłam, że szatan weźmie duszę, która mu się należy, ale i on jej nie zechciał. Żyje, a ja się i tu musiałam przywlec za nim.

Zamilkła, patrząc znowu na płaczącą generałowę.

— Różo, odezwała się nareszcie, ociérając łzy — widzisz mnie i zdaje ci się żem szczęśliwą! Nie wiész com przeżyła, nie wiész jak żyję, drżę przed tym, który mnie podniósł z ziemi.. codziennemi łzami opłacam koronki swoje...

— Tośmy obie nieszczęśliwe — krzyknęła żebraczka, a ten łotr co nam obu wziął szczęście, życie złamał, chodzi swobodny, bezkarny... i naigrawa się nędzy naszéj...

— Gdzie twoje dziecko? zawołała po chwili — gdzie ono...

Generałowa zakryła oczy...

— Ja nie mam dziecka!..

— Zabił je? podchwyciła żebraczka; a cóż mu tam było jednym trupem mieć na sumieniu...

— Ja nie mam dziecka! powtórzyła, płacząc, kobiéta; o! nie mów, nie wspominaj mi o tém... miéj litość nademną...

Zamilkły obie. — Żebraczka bezmyślnie palcami darła podłogę. Podniosła oczy.

— Ja się mściłam całe życie—rzekła—ale co ja mogę? czemu ty mocniejsza nademnie nie pomścisz się na nim za mnie i za siebie?... Przecież twój mąż;—bo masz męża... musi znać przeszłość twoję... Każ mu go zabić... zabić!...

Natalia podniosła głowę nagle.

— O, gdybym słowo rzekła — odezwała się — nie przebaczyłby!! nie zniósłby tego aby z moją tajemnicą w piersi chodził kto po świecie.

Zamyśliła się, brwi marszcząc dziko.

— Uczyń to — krzyknęła żebraczka — ja ci wszystko przebaczę...

— Któraż ma z nas przebaczyć? — przerwała generałowa — ja czy ty? Która z nas winna... Nie odebrałam ci jego serca, bo on nigdy nie miał go, bo dać nie mógł... Zbójca—zdradził nas obie.

— Gdybym go zobaczyła na marach — jakby sama do siebie poczęła mówić żebraczka — powróciłabym do lasu, wlazła w dębowe dziupło, przysypała się suchemi liśćmi i zasnęła... Umrzeć mi nawet nie daje!!...

— A mnie żyć!—wybuchnęła, wstając, generałowa.—Słuchaj, Różo — nie mówmy o tém — dosyć — nie chcę byś się tak włóczyła... Zalewasz się i pośmiewiskiem jesteś dla ludzi....

— A no? wielka pani moja—rozśmiała się z ziemi żebraczka — cóż ty mi dasz? pałac? cztéry konie? sługi? wór pieniędzy? Dobraś ty! Myślisz że po całego życia włóczędze z cyganami i złodziejami, usiedziałabym na poduszkach, w okienku z różańcem w ręku! Ale!... mnie w izbie duszno... ja wódkę pić muszę... Pali we wnętrznościach, gdy jéj nie mam.—Wolałabym nie jeść... Jak się spiję, to mi szczęśliwe czasy śnią się, i śpiéwam, i skaczę, i jestem różyczką różową, z wianeczkiem na głowie.... a tak... tom nędzna... w łachmanach.—Spuściła głowę. — Co ty mi poradzisz? Nic — bo to przeznaczone! Tobie koronki ze łzami, mnie łachmany ze śmiéchem. Diabeł-że wié, które gorsze...

Popatrzyła na siostrę, a potém w długiém stojącém zwierciadle na siebie, i poczęła włosy zeschłą ręką przygładzać...

— Byłyśmy niegdyś podobne do siebie — a teraz jak wiecheć do strusiego pióra... Jaka ty jeszcze młoda, a jaka ze mnie diablica straszna... A nom się nahulała po świecie...

Pokiwała głową.

— A ty?—pytała.

— Jam się męczyła tylko!—odparła cicho generałowa...

— Aleś rozum miała... Ja mój wrzuciłam do studni. Kat mi po nim, aby mnie nieustannie swędził; — nie było już czego szczędzić... to się żyło... aby prędzéj do końca... O nieraz, jak w głowie zaszumiało błyskawicami i wszystko się poplątało, myślałam: będzie koniec... już się téż nie zbudzę. Chłodny ranek bólem wyrwał ze snu i trzeba było iść daléj, a męczyć się znowu...

— Dokończ-że życia inaczéj — odezwała się z litością Natalia — choć ukradkiem od męża znajdę grosz na twoje utrzymanie. Spocznij — ty się na nim nie pomścisz... zostaw to mnie...

— Dosyć by mnie widział że za nim chodzę w tych łachmanach—przerwała Róża — to dosyć... Przywlekłam się tu za nim... będę mu stać u progu, wypędzę go ztąd...

— Nie—zawołała Natalia — niech zostanie—na mnie koléj—daj mi go—ja lepiéj potrafię...

Mówiąc to wstała cała drżąca i obie zdawały się jednėm uczuciem oddychać.

— Ot tak, to ja Natalkę lubię... rozśmiała się żebraczka, czuję żeśmy rodzone... Już tylko ty dokończ com ja poczęła, a o mnie się nie frasuj. Pójdę w las... albo głód dobije, albo wilcy zjedzą, albo mróz duszę wyciśnie...

Potrzęsła głową.

— A co powiész — odezwała się ze śmiechem dzikim — wilcy starych kości nie chcą ogryzać. Razem się z niemi nocą spotkała .. Sześciu ich stało... oczy im się świeciły jak węgle... Nie było co robić? wzięłam się w boki i poczęłam śpiewać i tańcować? Patrzyli na mnie oczyma krwawemi patrzyli... potém zawył jeden, drugi i wyjąc w las uciekli... Już się ich teraz nie boję...

Mówiąc otarła usta ręką... obejrzała się do koła, oczyma czegoś szukając...

— Nie jadłam dwa dni, a nie piłam od wczoraj, rzekła cicho—ostatnie trzy grosze poszły juści na wódkę nie na chléb... Chlébaby było za mało, a wódki starczyło głodnéj na upicie...

Generałowa usłyszawszy to pobiegła do drzwi gospodyni i zapukała do nich, poszeptały z sobą w progu. Róża oczyma chciwemi ścigała wszystkie siostry ruchy, a gdy zobaczyła w jéj ręku talerze i chléb... podniosła się nieco...

— Pić! zawołała, na miłosierdzie — wódki!.. co mi tam jadło! mnie wnętrzności pali pragnienie, smoły dajcie, byle pić! pić!

Karafka z wodą stała na stoliku, pochwyciła ją generałowa, ale spójrzawszy na nią żebraczka odepchnęła,

— Ale! ale! krzyknęła — to ja i w kałuży znajdę... Umywać się nie będę... a wodybym nie przełknęła... Każ dać wódki...

Siostrze ręce opadły z politowania i zgrozy... nie umiała odpowiedzieć.

— Bo ty wielka pani! a ja stara żebraczka... rozśmiała się—nie bój się, nie bój! ja się i kwartą nie upiję, a już pić muszę...

— Nie każże mi na to patrzéć...

Zamilkła Róża wreszcie — rękę wyciągnęła po talerz, spuściła głowę i jadła posłuszna. Trwało to chwilę tylko, odsunęła talerz próżny...

— Różo — odezwała się generałowa — mówmy rozsądnie, posłuchaj mnie.—Dosyć téj włóczęgi—ja ci znajdę co trzeba na życie... W tym domu izbę ci najmie przyjaciółka moja... Siedź, spocznij... ja opatrzę w co będzie potrzeba... nie zabraknie ci niczego...

Ze spuszczoną ciągle głową, słuchała żebraczka... gdy podniosłszy ją mówić zaczęła, głos miała zupełnie zmieniony—spokojniejszy, ustąpiła gorączka z którą weszła...

— Cóż? zamkniętéj chyba umrzéć, — rzekła, i myślami się własnemi udusić? Cóż ja pocznę z dniami? co pocznę z godzinami?

— Będziesz się modlić.

— Tak — ja się modlę — modlę gorąco, leżę krzyżem, płaczę i jęczę u ołtarzów, nie pomaga nic — nie słucha Bóg... Modlitwa idzie do Niego, a od Niego pociecha nie spływa...

— Różo moja — siostro moja — rozczulona poczęła generałowa— jeśliś mnie kochała kiedy — zaklinam cię, usłuchaj... daj się uratować!...

— A tak! tak! kochałyśmy się kiedyś — póki on nas nie pokochał obu, aby nas obie zwieść—od tego czasu tylko nienawiść została...

— Jam jéj nie miała w sercu.

— Ja jéj dziś nie mam już — odparła Róża — Bóg z tobą! Gdyby jeszcze ten pies zdechł...

Generałowa dała jéj znak aby zamilkła.

— Cicho—rzekła—teraz koléj na mnie; zobaczymy.

I nie czekając odpowiedzi żebraczki, wyszła do drugiego pokoju.

Róża układła się na ziemi, podsunęła rękę pod głowę i usnęła natychmiast, długiém znużeniem złamana...

W drugim pokoiku nie było nikogo. W trzecim dopiéro siedziała z książką w ręku, skromnie ubrana ta sama kobiéta, która drzwi otworzyła wchodzącéj generałowéj. Przy jéj kolanach stała dziéweczka, z rozpuszczonemi włosami, ręce wyciągając ku wchodzącéj i śmiejąc się do niéj z radością dziécięcą.

Generałowa pocałowała ją w główkę.

— Lizko moja—rzekła—idź.... zabaw się—ja z twoją mamą muszę cóś pomówić długo... Nie wchodź tylko do piérwszego pokoju... tam leży kobiéta... któréj przeszkadzać nie trzeba...

Dziécię doskonale zrozumiawszy, rzuciło się jeszcze raz na szyję generałowéj i pobiegło. Dwie przyjaciółki zostały same. Ta którąśmy przed godziną widzieli na pół ubraną, wdziała już skromną suknię czarną i wydawała się w niéj lepiéj, choć twarz zmęczona, oczy wpadłe głęboko, znamiona ciężkiéj pracy i przebolałych godzin, nadawały jéj coś prawie męczeńskiego. Wesołość i rezygnacya kontrastem podnosiły ten wyraz utajonéj boleści życia.

Generałowa, która łzy miała na oczach, uściskiem dziecka wyciśnięte, otarła je prędko, pochwyciła dłoń jéj i ściskając, zawołała głosem stłumionym:

— Daruj mi, przyjaciółko, towarzyszko, siostro moja, jeśli mi cię tak nazwać wolno — scenę dzisiejszą. Rachując na serce twe, pod dach się twój schroniłam z niedolą moją... Znasz mnie od lat wielu, od tych dni, gdyśmy razem młodą nędzę na tych deskach teatru spędziły, z których tyś dotąd nie zeszła... A! i dobrześ uczyniła! Jam na innym teatrze i własnego życia gram tragedyą! Widziałaś tę żebraczkę — to siostra moja — siostra rodzona, siostra upadła aż na dno najgłębszéj kałuży. Ja ją ratować muszę! Pomóż mi! Ty masz serce ludzkie, niewieście—tyś dobra...

— A! z duszy, z serca!—przerwała gwałtownie i ze łzami w głosie artystka — zrobię co każesz! Choćbym ją za własną moję siostrę nawet podawać miała—cóż mnie to zaszkodzić może—nic nie mam do stracenia, a zyszczę dobry uczynek.... Rozkazuj, droga moja..

— Dam co potrzeba na to... zaopiekuj się nią... najmij dla niéj izdebkę — odziéj, nakarm... zapobież, jeśli podobna...

Tu rumieniec okrył jéj twarz.

— Ona pije! ona się zapija! i szaleje pijana!—dodała ciszéj.

Zamilkły obie, patrząc na siebie przerażone...

— Jakże mogła upaść tak nizko! — zapytała aktorka.

— Spytaj dlaczego i jak ja także nie upadłam z nią na równi— mówiła generałowa — nigdy ci się nie spowiadałam z losów naszych... Ten sam człowiek, który złamał życie moje, zabił ją także... jeden los spotkał nas obie. — Ona żyła i żyje zemstą tylko, na moję teraz dopiéro czas nadchodzi...

Artystka, spojrzawszy na przyjaciółkę gdy wymawiała te słowa, zdumiała się zmianą wyrazu jéj twarzy. Coś dzikiego i okrutnego nagle te piękne rysy uczyniło strasznemi. Ściągnęły się brwi, zsiniały usta, pobladły policzki — oddychała szybko i ciężko.

— Ale dość o tém — zakończyła — winien mi nietylko rachunek nieszczęść moich, ale i losu dziécięcia... Odpowiedziéć za to musi... Męża użyję... raz w życiu przyda mi się dzikość tego człowieka, od któréj wycierpiałam tyle.

— Natalio—siostro—chwytając obie jéj ręce—podchwyciła aktorka — zaklinam cię — zastanów się, opamiętaj... Cierpiałaś dosyć! Zemstę zostaw Mścicielowi krzywd wszystkich—daruj mu winę.

— Moję—przebaczyłabym—zawołała generałowa... ale ta jasna główka mojego dziéwczęcia, które mi odebrał, które znikło... którego się pozbył, które cierpi może za grzechy moje—A! nigdy! nigdy!...

— Tereniu moja — dokończyła — to sprawa obca tobie... ja ci oddaję siostrę — czyń co możesz... Bóg ci to nagrodzi, ja nieskończoną wdzięcznością odpłacę.

Rzuciły się sobie na szyję, płacząc...

— Chodźmy do niéj—zawołała Teresa—zostawisz mi ją. Ja dziś od repetycyi jestem wolną, próby nie będzie, mam dzień cały... Na górze są izdebki.... Dam sobie rady.... dodała wesoło.—My ludzie biédni zmuszeni się ocierać o różne istoty upadłe... umiémy zawiązywać rany i balsamować blizny. Zostaw mi ją... Za grzéchy młodości, niech mi się zdaje żem mogła zostać siostrą miłosierdzia! niestety! gdybym kiedy nią istnie być chciała, odepchnęłyby mnie ze zgrozą święte niewiasty... dowiedziawszy się żem była artystką!! Dawniéj były plemiona przeklęte, dziś jeszcze są przeklęte stany...

To mówiąc, otwarła drzwi piérwszego pokoju... weszły. Na podło-

dze wyciągnięta spała głęboko znużona kobiéta.. Nie słyszała ich, nie poczuła, gdy stanęły nad nią.

Generałowa dobyła woreczek i położyła na stole, ścisnęła rękę przyjaciółki i skierowała się ku drzwiom.

Tu czekała ją Lizka, aby uściskiem pożegnać... Dziécię to było wychowanką panny Teresy, a nazywało ją mamą. Ludzie, nawet generałowa, nie wierząc opowiadaniu panny Teresy, posądzali ją o bliższy stosunek z dziécięciem, które miało być wzięte od Dzieciątka Jezus. Ile razy panna Teresa opowiadała, jak je sobie uprosiła na wychowanie, uśmiéchano się nieznacznie, udając tylko że tę bajeczkę za prawdę przyjmowano. Czuła to bardzo dobrze artystka, iż posądzoną być może, ale się przywiązała do dziéweczki i niewiele ją to obchodziło.

— Mój Boże! — mawiała, śmiejąc się i całując dziécię — cóż mi to szkodzi, że mnie sobie posądzają.—Byłabym szczęśliwą, żeby to prawdą być mogło! ale i tak, któżby mi ją kochać bronił?

Kochały ją we dwie na wyścigi, bo i generałowa, ile razy ukradkiem przed mężem mogła się wybrać do przyjaciółki, bawiła się Lizką i bałamuciła ją potrosze a psuła nawet bardzo. Dziéwczę dobre było, ale rozpuszczone i swawolne...

W kątku sieni zakradłszy się, Lizka przyczajona wpadła, oburącz chwytając za szyję generałową, aby ją wycałować na pożegnanie.

— Nie puszczę cię — wołała — musisz mnie téż pocałować z obu stron... bo cię pewnie znowu długo widziéć nie będę... Ale pocóżeś taką brudną i brzydką babę tu sprowadziła do nas...

— Bo biédna bardzo...

Dziéwczę pomyślało trochę.

— Jabym jéj téż ze skarbonki groszyk dała—ale taka brudna...

Pożegnały się uściskiem. Generałowa z przestrachem spojrzała na zegarek i co żywiéj pobiegła do domu.

P. Michał Skórski urządził się był po kawalersku, lecz jak mówił radca z szykiem. Choć nieco zardzewiał na wsi, miał wiele smaku i dobre tradycye. Żyjąc w miasteczku — powiadał — chciał życia używać. W planach było porobienie przyjemnych męzkich znajomości, a może na-

wet i niewieścich. — Był wielkim zawsze wielbicielem płci pięknéj, nie dla idealnego jéj uroku, lecz szczególniéj dla plastycznych wdzięków.

Niebardzo więc przebiérał w towarzystwie, byle było swobodne i wesołe. Od niejakiego wszakże czasu, szczególniéj od ostatniéj słabości i nieszczęśliwego w lesie przypadku z koniem, mniéj już myślał o kobiétach i zdawało się, że chciał od nich stronić nawet. Łatwe znajomości i stosunki, dawniéj dlań najponętniejsze, nie nęciły wcale—zdawało się, że w lepszém towarzystwie szukać zamyślał już nie rozrywki, lecz stalszych jakichś węzłów któremiby życie bez celu mógł lepiéj, niż je zaczął, dokończyć.

To postanowienie wpłynęło téż pewnie na przedstawienie się w salonie pułkownikowéj, o którego cudownych skutkach radca mu opowiadał. Zapewniał go, że z tego salonu sześćdziesięcioletni i nieco kulawi ludzie wychodzili najszczęśliwiéj ożenieni z dziedziczkami wsi i kamienic.

Piérwszy ten jednak wieczór próby wcale nie odpowiedział oczekiwaniom Skórskiego. Wprawdzie począł go od znajomości z panną Olympią, ale téj się naraził, urwawszy rozmowę — do reszty zaś dobiło go spotkanie z generałową, o któréj losach nie wiedział wcale.

Rozstali się byli przed laty tak, iż raczéj mógł się domyśléć zupełnego upadku nieszczęśliwéj, niż tak świetnego jéj losu. Czuł, że w tém sercu zasiana nienawiść nie mogła zamrzéć i wygasnąć: generałowa teraz szkodzić mu i wywdzięczyć krzywdy swoje, jako kobiéta — musiała. O tém nie wątpił bynajmniéj. Spojrzenie jéj nienawiścią i wzgardą zatrute, ścigało go powracającego do domu. Długi czas do późnéj nocy myślał, co ma począć z sobą.

Chciał uciekać naprzód — lecz zdało mu się to ze wszech miar niewłaściwém. Cóżby ludzie powiedzieli i jak mógł im wytłumaczyć nagłe zniknięcie objawiwszy wprzód wszem wobec i każdemu z osobna, że przybył na stałe mieszkanie.

Rozumując w ostatku przychodził i do tego przekonania, że jakkolwiek wielkie były winy jego, generałowa powoli przejednać się może z saméj obawy, aby o przeszłości jéj nie mówił nikomu.

Oprócz tego, tu w Warszawie przynajmniéj czuł się zupełnie wolnym od prześladowania waryatki, o któréj śmierci mówiono wprawdzie, ale Skórski jeszcze temu nie dowierzał. Wyjechać zresztą zawsze czas

było, gdyby się tu pobyt okazał nieznośnym, a tymczasem należało próbować czy się go urządzić nie uda.

Generałowéj mógł unikać — mógł się zbliżyć... czas zresztą musiał wskazać jak postąpić wypadnie. Uspokajając się wedle możności, Skórski ukołysał myśli wzburzone, lecz zupełnie spokoju odzyskać nie mógł. Chodził prześladowany widmami przeszłości, nie żeby one sumieniowi jego ciążyły — lecz że się następstw obawiał.

— Fatalizm jakiś prawdziwie prześladuje mnie za te dwie głupie dziewczęta, — mówił do siebie. — Jednéj ledwiem się pozbył, zjawia się druga, któréj pewny byłem że nigdy w życiu nie zobaczę—i to jeszcze w położeniu takiém, w jakiém anim mógł marzyć ją spotkać. Zawsze z tą prędzéj sobie dam rady, niż z szaloną — która mnie omało życia nie pozbawiła. Mściwe natury obu...

Wzdychał tedy Skórski, niewiele spał, a nazajutrz, nie spuszczając się na to, co mu opowiadano o generale i o niéj saméj, poszedł na zwiady ostrożne. Miał tu wielu dawnych znajomych, z którymi poufale mógł mówić o salonie pułkownikowéj i rzucić nieznacznie, pomiędzy dwoma pytaniami, coś o Hochwartach... Nie mając nic do czynienia, cały dzień przewędrował po cukierniach i restauracyach, nie spotkawszy jakoś nikogo od któregoby mógł dostać języka... W końcu z nudów pociągnął na teatr.

Grano jakąś komedyą tłumaczoną z francuzkiego, któréj siedząc w swojém krześle słuchał roztargniony. Gdy lornetką obchodził loże dokoła—dostrzegł w jednéj z nich, nie mogąc się od wzdrygnięcia powstrzymać, generałowę sam na sam z mężczyzną, — który jak się łatwo mógł domyśléć, musiał być jéj mężem. Nieznacznie zwrócił oczy na postać tę, zresztą godną bliższego przypatrzenia się.—Był to mężczyzna atletycznéj postawy, barczysty, ogorzały na brunatno, z wąsami i hiszpanką, z czołem wyłysiałém—we fraku zapiętym na wszystkie guziki, wyemaliowany orderami i rozmaitemi znaczkami jakiemiś, trudnemi do wytłumaczenia. Mówiono że to były ordery tureckie, egipskie, tunetańskie i rozmaitych tym podobnych państw i państewek wschodnich...

Generał powabnym nie był ani młodym, minę miał rębacza, żołnierza i starego wilka morskiego...

Naprzeciw niego siedząca żona spoglądała nań z obawą jakąś widoczną, ukradkiem, on zdawał się więcéj teatrem niż nią zajęty. Kłaniał się téż naokoło rozmaitym znajomym, równie ekscentrycznie jak on sam

wyglądającym. Jak wczoraj wieczór u pani Salomei, tak i dziś struł się tym widokiem, do tego stopnia, że mimo mistrzowskiéj gry Żółkowskiego, wyszedł w pół przedstawienia i schronił się na górkę do Lours'a. Tu z początku niewiele osób zastał; czytał niby gazety, w istocie nie wiedząc ani co miał przed sobą, ani w jakim języku;—po teatrze dopiéro młodzież stara i młoda napłynęła szumnie. Znaleźli się znajomi.

Radca także zaszedł wypadkiem — był bowiem w teatrze.

— Cożeś to wyszedł tak prędko?—zapytał—widziałem cię w krzesłach — straciłeś najpiękniejsze sceny nieporównanego Żółkowskiego.

— Duszno było w teatrze — rzekł Skórski, rozbolała mię głowa, musiałam wyjść.

— Mogłeś się dziś właśnie przypatrzéć nietylko téj generałowéj, która cię wczoraj tak zajęła, ale i jéj małżonkowi... Widziałeś go!

Skórski udał że nie spostrzegł,—tak mu jakoś wypadło.

— Szkoda,—rzekł radca—boć to przecie figura ciekawa. Rozbijał się na morzu nie wiém ile razy, kąsały go grzechotniki, miał żółtą gorączkę — pojedynkował się za kilkudziesięciu, nosi gdzieś kulę w boku— a jeszcze taki zdrów i silny, jakby spokojnie całe życie siedział przy piecu.

Są ludzie, co utrzymują, że przyjął był wiarę muzułmańską i trzymał harem na pół z białych na pół z czarnych pań złożony... Uprzykrzyły mu się wreszcie i poprzestał na jednéj... ale za to wziął ją z teatru... Kobiéty powszechnie się nad jéj losem użalają.

Skórski milczał jeszcze słuchając, gdy we drzwiach ukazał się — ów wilk o którym była mowa. Znać żonę wysławszy do domu, sam przychodził się tu rozerwać. Wszystkie oczy skierowały się ku niemu z ciekawością widoczną, nie mógł się od niéj powściągnąć i p. Michał.

Generał wydał mu się tu jeszcze atletyczniejszym niż wprzódy i brzydszym daleko niż z daleka. Rysy twarzy miał grube, nos nieforemny, wargi odstające a płeć ciemną rumieniec krwawy jeszcze czynił brunatniejszą.—W tych rysach nieforemnych jednakże było wiele wyrazu siły i przebiegłości zarazem. Można go było posądzać, że rubasznością pokrywał chytrość, z którą się wydać nie chciał.

Generał miał dosyć znajomych, witał się dokoła ze wszystkimy po żołniersku z miną wesołą, chociaż ci którym ten honor czynił, ostrożnie jakoś i nie bardzo poufale go przyjmowali. Znać w nich było jakby pewien wstręt i obawę. Przyszedł wreszcie do radcy, który siedział obok

Skórskiego, podał mu rękę; oczyma zdawał się pilnie śledzić P. Michała, skłopotanego wielce i widocznie nie mającego wielkiéj ochoty zbliżać się, ani poznawać z Hochwarthem.

Przypadek to był zapewne, że generał rozpocząwszy z radcą rozmowę, obejrzał się i przysunąwszy sobie krzesło do tego stolika, przy którym ci panowie siedzieli, kazał tu przynieść grok żądany.

— Nie cierpię teatru — rzekł — człowiek się dusi w téj atmosferze gorącéj, pełnéj obrzydliwych wyziewów i przypłaca wątpliwą przyjemność widowiska, droższém nad wszystko zdrowiem... Ja muszę zawsze odchorować każdy taki wieczór, ale dla żony trudno tego nie uczynić. — Ją to bawi.

W ciągu kilku podobnych frazesów zamienionych z radcą, Skórski się wcale nie odzywał i siedział nieco na bok usunięty. Po chwili generał spytał po cichu Fazyńskiego o jego towarzysza i dowiedziawszy się kto był, prosił aby go z nim zapoznał. Nie mógł mu tego odmówić radca... Skórski pochwycony niespodzianie tą niemiłą mu wcale znajomością, chciał się ukłonić zdala, ale generał podał rękę i ująwszy dłoń jego, ścisnął ją tak serdecznie, iż Skórski o mało nie krzyknął. Siedli potém. Generał był w doskonałym humorze... Począł Skórskiego dopytywać zkąd przybywa, co w mieście robić myśli, jak długo zabawi.

— Prawdziwie że na to pytanie, jeszcze stanowczobym odpowiedzieć nie umiał, rzekł Skórski — zależy to od tego jak mi w mieście będzie...

— Nie wątpię że sobie pan upodobasz pobyt w niém, rzekł generał—bo dla człowieka ucywilizowanego jest tylko dwa sposoby znośnego spędzania tego co się życiem zowie — miasto albo pustynia, spoczynek lub walka. Starzejąc mniéj się pragnie walki z krokodylami, wężami, bawołami i indyanami...

Skórski podszywszy się w niebardzo rozmownego człowieka, słuchał i milczał. Pot mu występował na czoło... Zmięszany był bardzo i pocieszał się tém tylko, że trzymając się zimno, na uboczu, nie będzie w żadnym obowiązku dalszego rozwijania znajomości i stosunków z generałem, oddawania mu wizyty i t. p. Jakby na przekór temu postanowieniu Hochwarth ciągle się ku niemu zwracał z rozmową, był nadzwyczaj uprzejmy i żarcikami podsycał ciężko się wlokącą wymianę myśli. Radca, który się nie dorozumiewał dla czego Skórski nie miał chcieć zawiązać stosunków z tak ciekawą osobistością, zbliżał ich o ile

możności. Tak męcząc się blizko godzinę przesiedzieli razem, słuchając opowiadań awanturnika, często zakrawających na myśliwskie historye nieprawdopodobieństwy i przesadą. Naostatek generał wstał, obu podał rękę i pożegnał ich, spojrzawszy na zegarek.

— Otóż masz czegoś sobie życzył, szczęśliwy człowiecze, odezwał się po odejściu generała radca—pragnąłeś poznać tych państwa, sam ci się nastręczył Hochwarth...

— Ale któż ci powiedział żem ja sobie tego życzył?

— Z wczorajszych pytań twych, łatwo się tego było dorozumiéć—dokończył radca, jest to tém osobliwszy wypadek, że generał nie szuka nigdy znajomości, bo jest niemi obarczony.

— Ja mu téż ciężarem nie będę — odezwał się pan Michał.

— Ale go powinieneś odwiedzić!

Skórski aż się wstrząsł. — Po co? na co? dosyć mam tego...

Rozeszli się późno do domu.

Następny dzień upłynął dosyć nudnie, trzeciego około dwunastéj, gdy Skórski miał wychodzić, służący przyszedł oznajmując generała Hochwartha.

P. Michał pobladł. — Cóż było począć? przyjąć musiał, wyszedł nawet naprzeciw niego. Stary żołnierz z wesołą miną wtłoczył się, rubasznie witając szlachcica.

— Piérwszy do pana przychodzę,' rzekł — ja tu już zasiedziały, pan dopiéro przybyły, poczuwam się do obowiązku opiekowania się nim... Już mi się waszmość nie wykręcisz...

Skórski sam nie wiedział jak dziękować, a gość gdyby był chciał nieco nań zwrócić uwagę, musiałby był dostrzedz w jego twarzy takiego przerażenia i pomieszania, jakby go największe dotknęło nieszczęście.

Skórski, ledwie podawszy cygaro, na parę słów się mógł zdobyć. Nie zważał na to generał, sam mówił wiele, śmiał się jakimś śmiechem suchym i przykrym; opatrywał wszystko, zabawił dłużéj niż zwykła trwać piérwsza wizyta — jakby się nasycał zadawaną męczarnią, i opuścił Skórskiego natrętnie zapraszając do swojego domu...

Odprowadziwszy go do drzwi przedpokoju, Skórski zaniechał tego dnia wyjść na miasto i padł w fotel, aby się namyśléć co miał począć. Położenie stawało się tak' przykre i niebezpieczne, iż zrazu nie widział innego wyjścia nad udaną chorobę i ucieczkę. Bił się z myślami długo... wstyd, bądź co bądź, było uchodzić, nie wiedział już zresztą co daléj po-

czynać z sobą... dokąd się udać... Na tych rozważaniach, rachubach i kombinacyach, upłynęło godzin kilka... Złamany, niemal chory, p. Michał nie miał już ochoty szukać ani obiadu, ani rozrywki... Więcéj dla niepoznaki przed sługą, niż z potrzeby, powlókł się do restauracyi. Wyglądał jak z krzyża zdjęty. Jadł obiad nie wiedząc co mu podają, dotykając ledwie potraw, ogłupiały i nieprzytomny... Ci co go znali, postrzegli łatwo że coś mu się stać musiało — zły humor złożył na ból głowy nieznośny...

Nie mógł z nim pójść już nigdzie, powrócił do domu i sam na sam z sobą wieczór przepędził a część nocy bez snu przewracał się po łóżku przychodziły mu dzikie myśli, samobójcze...

W marzeniach, które były, jak zwykle gdy człowieka trwoga i troska uciska—dalszym ciągiem tego co dręczyło na jawie — przyszło mu dopiéro do głowy, ażeby odwiedziny w domu generalstwa nieuniknione, oddać w godzinie gdy ich tam nie będzie. O téj łatwo się było dowiedziéć od służącego, zapłaciwszy za fatygę... W ten sposób mogła się przynajmniéj odroczyć chwila ciężka do przebycia.

Trzeciego dnia szedł do generała. Chciał z sobą wziąść dla odwagi radcę, ale ten się obowiązkami urzędu wymówił. Musiał iść sam.

Generał zajmował mieszkanie obszerne i piękne, lecz prawie w końcu Nowego-Świata. Z bijącém sercem wszedł Skórski na wschody, zatrzymując się niemal co krok dla nabrania sił. Na drzwiach przybita była blaszka bronzowa z napisem bardzo prostym, niezawierającym żadnych tytułów:

v. Hochwarth.

Drżącą ręką chwycił Skórski za dzwonek... Chwila upłynęła, chód się dał słyszéć — służący w liberyi skromnéj wyszedł. Na zapytanie o generała, odpowiedziano że go nie było. Uszczęśliwiony, odetchnąwszy swobodniéj Skórski, zostawił bilet i uciekł. Zyskiwał przynajmniéj na czasie.

Tegoż wieczora znalazł w domu bilecik, zapraszający go jutro na—obiad. Grzeczność była wielka—ale zabijająca. Położyć się w łóżko zdawało się jedynym środkiem... Michał całą noc znowu myślał, przemyśliwał i postanowił pójść; — ściągnąłby na siebie podejrzenia gdyby się wymawiał.

Naznaczoną była godzina trzecia; — Skórski tak się czuł jakoś zmięszanym i zesłabłym, że po drodze idąc wstąpił do winiarni i pół bu-



Pan Michał Skórski obywatel z Lubelskiego. (Do str. 57).

telki czer^w onego wina wypił duszkiem, aby sobie dodać męztwa i siły.— W istocie poskutkowało ono o tyle, że jeszcze czuł się mniéj przytomnym.—Ten sam służący w białych na ten raz rękawiczkach, otworzył mu drzwi do saloniku... przyciemnionego ciężkiemi firankami u okien... Nieopodal od wnijścia stał gospodarz... na kanapie siedziała gospodyni w sukni czarnéj. Nikogo więcéj nie było...

Hochwarth postąpił kilka kroków na spotkanie gościa, uprzejmie bardzo go przywitał i podprowadził ku żonie, na którą Skórski spojrzéć nie miał odwagi. Głosem dobitnym przedstawił go jéj.

Pan Michał Skórski, obywatel z Lubelskiego...

Natalia skłoniła się w milczeniu.

Siedli—Hochwarth zaczął rozmowę ożywioną—Skórski powoli słuchając go, przyszedł do siebie, ośmielił się, podniósł oczy i spotkał wejrzenie pani domu z zimną, okrutną obojętnością wlepione w siebie. Chłód ten obrachowany krył cóś przerażającego, był groźbą, od któréj Skórski zadrżał. Po chwili drzwi się otwarły i weszło dwóch ichmościów we frakach znać oddawna w domu tym poufale przyjmowanych, bo generał powitał ich nie wstając nawet i wskazując siedzenia. Poznał ich zaraz ze Skórskim, wymieniając nazwiska.

Jeden z nich słuszny, suchy, wyprostowany, z wąsami wyczernionemi i włosami ufarbowanemi na rudawo-brunatny kolor, zwał się kapitan Bobrski, drugi pękaty i łysy, czerwony, uśmiechający się pokornie, miał tytuł regenta, a nazwisko pocieszne Rybki.

Ci panowie wzięli na siebie podsycanie dalszéj rozmowy, do któréj gospodyni prawie się nie mieszała. Siedziała z tym wyrazem groźnym a zimnym, jak żelazo, w oczach czarnych, ledwie po kilka słów niewyraźnych rzucając, jakby przymuszona...

Gdy oznajmiono do stołu... generał wskazał Skórskiemu żonę. Zmuszony podać jéj rękę, p. Michał cały pomięszany, blady i czerwieniejący poszedł do jadalnego pokoju, szczęściem o kilka tylko kroków oddalonego. Ustąpiła była nieco obawa jaką miał w początku, lecz w ciągu rozmowy przedobiedniéj pochwycone przypadkiem jakieś wejrzenia dziwne, które na siebie generał i goście jego rzucali, wzmogły ją na nowo... Zastawa stołu była przepyszną, obiad wyszukany i wytworny, wina doskonałe. Generał sam nie pił, ale gości przynaglał, zachęcał, niemal zmuszał do wypróżniania kieliszków. Skórski wymówić się nie mógł. W ciągu obiadu, posadzony przy generałowéj, parę razy był zmu-

szony odezwać się do niéj, i odebrał nic nie znaczącą, obojętną odpowiedź.

Ochłonął. Pani Natalia zdawała się bez żadnego wzruszenia widziéć go w swoim domu. Skórski zaczynał sobie mówić, że jéj interesem więcéj daleko niż jego było wszelkie dawne stosunki pokryć zapomnieniem, to go jakoś ośmiéliło, i od połowy obiadu weselszym już być począł.

W końcu podano wino szampańskie, stary węgrzyn, a po przejściu do salonu, kawę i likwory... Kapitan i regent byli oba w takich humorach, że dwu ich starczyło na ożywienie towarzystwa...

Kwadrans może jeszcze zatrzymała się gospodyni domu w salonie—i znikła... Zapalono światła wcześnie, zapuszczono firanki... W bocznym pokoju zjawił się z całym przyrządem do gry zielony stolik, karty i świéce.

Generał natarczywie proponował wista... niepodobieństwem było odmówić. Skórski przebywszy jak mu się zdawało Scyllę i Charybdę, zupełnie odzyskał swobodę, mowę i humor, który dobry obiad podsycił.

— Myśmy tu sobie zwykli wieczorami grywać małego wiścika— odezwał się gospodarz. Wiém od radcy że i pan go grywasz chętnie — ja nie lubię dziadka. Rad jestem że siądziemy we czterech.

Punkt był po dukacie, ze wszystkiemi możliwemi szykanami.

W takiego małego wiścika, można było przegrać dwieście do trzechset czerwonych złotych jednego wieczora. Ceny téj nie spodziewał się Skórski, zmieszał się nieco, ale mu wstyd było się wymawiać.

— Przyznam się panu generałowi, rzekł — że nie zwykłem grywać tak drogo.

— Cóż za drogo! co za drogo! podchwycił Hochwarth — z gubernatorem Indyj wschodnich grywaliśmy co wieczora po funcie szterlingu... Gdy się ciągle na tę cenę gra, mała wypada różnica. Nie idzie zresztą o wygranę, ale o zabawę. Grać zaś na złotówki i ruble, nie ma wzruszenia i interesu.

— Ja nawet w przypadku gdyby mi nie służyła karta... nie miałbym przy sobie...

— Cóż znowu, przerwał, siadając, gospodarz i rozdając już karty—o to przecie nie idzie! U mnie rachunki raz w tydzień są płatne...

Regent i kapitan nie wymawiali się wcale, śmiano się delikatnie z wieśniaka, aby w nim szlachecką miłość własną obudzić... Wiścik się począł...

Osobliwszym trafem po piérwszym robrze wygranym, Skórski gdy jakoś śmielszym być począł, bo miał pięćdziesiąt punktów w zapasie — szansa zmieniła się nagle. W drugim wziął szlema. Kapitan grający z nim strzelał z zimną krwią niedarowane bąki, bił swe własne lewy, zrzucał najpotrzebniejsze kolory, słowem zdawał się nieprzytomnym. Robr ogromny wypadł i Skórski przegrał go na głowę. Ucieszył się zmieniając partnera, ale kapitan okazał się jeszcze gorszym graczem, i w dodatku kłócił się zrzucając winę na milczącego Skórskiego; trzeci robr był nieszczęśliwy. W następnych trzech p. Michał spodziewał się to sprostować, miał bowiem sto kilkadziesiąt punktów przegranych. Lecz gdy komu nie idzie to nie idzie, gospodarz wygrywający dotąd i grający doskonale, z p. Michałem przegrał znowu, zrzucając winę na niego...

— Kochany panie, rzekł z dziwnym wyrazem, musisz być djable szczęśliwym do kobiét, bo w kartach nie masz szczęścia...

Kapitan i regent śmieli się, mimo przegranéj nie tracąc humoru. Skórski zaczynał być milczącym. Obliczał już przegranę na dwieście kilkadziesiąt punktów i dawał sobie słowo, że więcéj do takiego wista nie usiądzie. Ktokolwiek dawał karty, wypadało zawsze tak, iż p. Michał najfatalniejszą dostawał.

Była godzina dziesiąta gdy tego nieszczęśliwego wista skończyli. Skórski oświadczył, że więcéj już tego dnia grać nie może, bo mu widocznie szczęście nie służy. Nie nalegano wcale. Gospodarz kapitanowi zaproponował małego sztosika dla rozegrania kilku punktów. Zaczęli we trzech grać i — choć się dawno rozegrali, ciągnęli daléj. Przystawiał któś zawsze. Skórski siedział i patrzył.

— No—a pan... Popróbuj że przynajmniéj, zawołał gospodarz.

Postawił p. Michał kilka dukatów na kartę niechętnie — i — wygrał... Dosyć tego było aby się w nim stara żyłka obudziła. Przysunął się i rozpoczął stawiać. Szło mu zrazu nadzwyczaj szczęśliwie, i to go tak ośmieliło, iż podwajał kusze, ale szczęście znowu zmieniło się... i po pół godzinnéj męczarni postrzegł że przegrana cała urosła do takich rozmiarów jakich nawet przewidywać nie mógł. Rzucił więc karty i grać przestał.

— Niezmiernie mi przykro—odezwał się generał, spoglądając na niego, że pan piérwszy raz będąc w moim domu, tak niefortunnie wyszedłeś na naszéj zabawie. Ale proszęż najmocniéj — odegraj się pan!

Ja nie życzę sobie być wygranym tak wiele. Byłoby mi to niezmiernie przykro.. Staw pan, ja trzymam... Uczyń pan to dla mnie.. Zmienią się szanse...

Regent i kapitan zaczęli go żartami i na seryo podbudzać.

Skórski niegdyś był namiętnym graczem, namiętność, którą stłumił w sobie a przynajmniéj do mniéj niebezpiecznych doprowadził rozmiarów, teraz z całą gwałtownością wracała. Nie bardzo go trzeba było zapraszać nawet do odegrywania się. Summa przegrana przechodziła już zapas jaki wziął z domu.

Naglony p. Michał, aby się nie okazać tchórzem, postawił całą przegranę na jednę kartę. Generał zgodził się ją trzymać. Wszyscy pochylili się z ciekawością niezmierną nad ciągnącym, który powoli, jakby na tortury biorąc gościa, kartę po karcie wysuwał. Dama ta którą trzymał Skórski zaciągnęła długo — był to zły znak.

Regent i kapitan krzyknęli... — Skórski przegrał.

Tu nastąpiła długa pauza. Nieszczęśliwy stał w potach, nie wiedząc co począć.

— Staw kochany panie – ja trzymam, nie mogę pozwolić aby się to tak skończyło... Nie uwierzysz jak mi przykro! Staw, proszę...

Skórski obawiał się na jednę stawkę znowu wszystko rzucić, lecz kapitan dawał mu znaki potajemne. Regent szeptał, że gospodarz tego sobie życzy...

Stało się tedy, że postawił raz jeszcze i soniko przegrał. Nie wiedział tego z pewnością, ale mu się zdawało, że kapitan tę nieszczęśliwą kartę podsunął.

Gospodarz na stół rzucił karty z widocznem nieukontentowaniem, ocierał pot z czoła, twarz jego była chmurna i ponura... Nie mógłby inaczéj wyglądać gdyby sam był przegrał...

Summa dochodziła do kilku tysięcy rubli. Skórski stał blady jak ściana, usiłując nie pokazać po sobie co czuł i co się z nim działo.

— Nie! już dziś nie mogę ciągnąć — zawołał gospodarz do gościa. — Nie czyń pan sobie z tego nic... O pieniądzach ani myśl... Później poregulujemy te rachunki, pilnego niéma nic... Zagramy wiseczka znowu kiedyś i rozegramy się, gdy ci lepsza szansa służyć będzie...

— Ale tak! tak! chórem powtórzyli kapitan i regent.

Kazano przynieść herbatę; — generałowa już się nie pokazywała.

W kilka dni po tym wieczorze pamiętnym i powtórzonych próbach

odegrania się, które mimo chwilowego powodzenia, kończyły się zawsze znaczném długu powiększeniem, — Skórski winien był dwadzieścia tysięcy rubli generałowi, który się o nie nie upominał, i niby sobie z tego żartował. Zapraszał nieustannie p. Michała do siebie, pragnął mu ułatwić środki do odzyskania straty i wciągnął go tak, iż Skórski z przerażeniem widział przed sobą ruinę...

Z samą panią generałową spotykał się często ale chwilowo, a oswoiwszy się z tém widmem, uspokojony iż nie zdawało się go znać nawet — przychodził już bez obawy. wmówiwszy w siebie że przeszłość zapomnianą została...

Jakkolwiek gra ta zdawała się wcale nie obrachowaną, a wypadek jéj dziełem losu, zwiększając się przegrana, coraz bardziéj niepokoiła Skórskiego. Wstydził się mówić o tém komukolwiek. Nareście jednego wieczora wejrzenia i obroty kapitana i regenta tak jakoś zdały mu się znaczące, iż mocno przelękły pobiegł do swego przyjaciela pana radcy.

Zastał go szczęściem w domu, przy poobiednim Kuryerku i drzymce, ze zgasłém cygarem.

— Cóż ja ciebie nie widzę już! zawołał radca—co się z tobą dzieje! Generał cię zaarendował — słyszę przesiadujesz tam całe wieczory... toście się poprzyjaźnili.

Skórski ani przeczył ani potwierdzał; — siadł zdyszany spocząć obejrzał się i nie rychło odezwał do radcy...

— Powiedz ty mnie — nie słyszałeś nigdy nic o generale i jego grze w karty?

— Jakto grze w karty? on! w karty? piérwszy raz słyszę... Wista grywają u niego, więcéj nic... Coż to ma znaczyć?

— Tak, wista — odparł Skórski — nie mam się co przed tobą taić. Grałem i ja u niego wista... potemeśmy się rozgrywali...

— Cóż? przegrałeś? dużoś przegrał? zapytał radca przestraszony, bo on sam nie grywał nigdy droższego nadkilkogroszowego.

— Bardzo dużo...

— Ale przecież nie tysiące?

— Tysiące — rzekł spokojnie. Generał wprawdzie pieniędzy brać nie chce, ani o nich słyszéć nawet... Każe mi się odegrywać...

— Niechże cię kaci porwą! krzyknął radca... Cóż? kilka tysięcy złotych?

— Gdzie zaś — zawstydzony cicho szepnął Skórski, — summa do któréj ci się przyznać nie mogę, ależ to przecież szuler nie jest?

Radca ruszył ramionami. — Nigdy o niczém podobném nie słyszałem. W resursie grywa grubo, szczęśliwie, to prawda, lecz nikt nigdy go nie śmiałby posądzić o grę wyrachowaną, mówiono kilka razy o znacznych przegranych.

Zamyślił się Skórski.

— To chyba gra była na żart, na kredkę i bez konsekwencyi, nic innego nie przypuszczam...

— Ja także,—jednak przyznam ci się, jestem niespokojny trochę...

— Sam ci winien sobie, — zimno odezwał się przyjaciel — tak się dać unieść, zapalić.

Mogę ci tylko zaręczyć, że choć z innych względów o generale mówią bardzo różnie, nigdy nikt o grę chciwą, o szulerstwo go nie posądzał.

Skórski opowiedział ze szczegółami swoję przygodę, i wymienił kapitana Bobrskiego i regenta Rybkę.

— To mnie dziwi że oni byli do gry proszeni, odezwał się radca, bo kapitan osławiony szuler, a regent już miał z tego powodu nieprzyjemności. Za podrabiane karty zleciał raz ze schodów, i nikt z nim uczciwy nie gra...

Skórski oniemiał.

— Ale oni oba przegrywają ciągle! zawołał.

— To rzecz niezrozumiała — zakończył radca. Przegrałeś więc do gospodarza, to jeszcze nic... da ci się odegrać.

Niewiele tém pocieszony, prosząc o tajemnicę, odszedł Skórski do domu. Wmawiał on spokój sam w siebie, ale go trawiła gorączka, po nocach spać nie mógł, olbrzymi ten dług leżał mu na piersiach. Prócz tego zmuszony dlań bywać w domu generała i spotykać się z twarzą Natalii chmurną i groźną, choć nigdy słowa od niéj nie posłyszał przypominającego przeszłość, — doznawał niewysłowionego wrażenia jakiegoś, gdy czuł wzrok jéj tylko zwrócony na siebie. Palił go on, dręczył, nękał...

Dziwnym skutkiem uroku jaki na nim wywierał było, że lękając się tego wejrzenia przebijającego jak żelazo zimne, nie mógł się wstrzymać od szukania go. Wkuty nim siedział niemy jak pod pręgierzem, niekiedy sam na siebie się gniewając, iż zwyciężyć się nie mógł, i odejść uciec nie umiał.

W domu generałowa widocznie grała rolę podrzędną, sam pan oka-

zywał jéj wielkie przed ludźmi poszanowanie, lecz nie miała woli, nie śmiała się odezwać, i stosunek małżeństwa tego między sobą, musiał być bardzo przykrym. Obcym nawet łatwo się tego było domyśléć.

Generał rozporządzał zwykle tém gdzie żona znajdować się miała, jak długo gdzie mogła zabawić. — Pytała się go o wszystko. Ton jakim mówili do siebie, mimo udawania czułości zdradzał walkę i nieporozumienia. Natalia poddawała się z pokorą rozkazom, — lecz gdy dla oka ludzkiego generał chciał jéj dać jaki dowód miłości, z widocznym wstrętem oznaki jéj przyjmowała. Skórski to widział a raczéj zgadywał...

Gdy w salonie generałowéj nie było, mąż nie wspomniał o niéj nigdy. Czasem na służącego zadzwonił, by spytać czy pani jest w domu, ruszył ramionami niecierpliwie dowiadując się że nie wróciła, — ale milczał. — Niekiedy wśród gry wychodził na chwilę i powracał jakby sporem jakim roznamiętniony i gniewny. Dom zresztą był dziwny. Zjawiały się w nim najosobliwsze postacie, cudzoziemcy bogaci, figury widocznie awanturniczém życiem napiętnowane, jacyś ludzie milczący i niezrozumiali, a obok nich najsłynniejsze imiona arystokratyczne...

Generał umiał te żywioły różnorodne uporządkować, wypraszać skinieniem gdy zawadzały, zbliżać, naznaczać im godziny takie aby się z sobą niespotykały. Kobiét bywało nie wiele, a stosunki generałowéj były z niemi zimne i ceremonialne. Jedyną przyjaciółką serca, była dawna towarzyszka, ta panna Teresa ukochana, która dziś słynęła jako jedna z najzdolniejszych artystek... Do niéj generałowa każdego prawie ranka zbiegała na chwilę z kościoła, i u niéj sam na sam z nią spędzała godzinę, często łzami oblaną. Bawiła się z Lizką, uśmiechnęła do niéj, mogła tu serce otworzyć... potrzebowała tego wytchnienia i orzeźwienia...

Dwie przyjaciółki rozumiały się i kochały, a były po sercu siostrami. Panna Teresa żyła sztuką tylko... i dla sztuki. Dla niéj teatr nie był zarobkiem i rzemiosłém, był jéj namiętnością. Gdyby los rzucił jéj pod stopy bogactwo, niezależność, skarby, imię, byłaby wszystko to poświęciła dla sceny — bez któréj dla niéj życia nie było. I nie żądza oklasków, ani pragnienie zdobycia sławy były dla niéj celem, bardzo często okryta wrzawą i bukietami swych czcicieli, schodziła za kulisy smutna i nie rada z siebie.

— Dla tych ludzi, mówiła, jak dla głuchych krzyczéć — grać trzeba przesadzenie, jaskrawo, nienaturalnie. Inaczéj cię nie zrozumie-

ją,—odcienia delikatne giną, pochwycona na uczynku natura dla nich będzie hieroglyfem. Sztuka jest im zabawką, roztargnieniem tylko... bengalskim ogniem co oślepia, nie chlebém co karmi i słońcem co grzeje. Panna Teresa utrzymywała téż, iż powołaniem artysty jest wtajemniczać tłumy, jest uczyć je a nie do nich się poniżać... Oprócz sztuki, kochała tylko wychowankę, którą wszyscy mieli za własne jéj dziecię, z czego się śmiała, ramionami ruszając — i — kogoś jeszcze...

Ten ktoś, był to dawny przyjaciel młodości, mogący czulszém nazwać się imieniem, — ubogi profesor, który osiwiał kochając się w pannie Teresie, a nie mając męztwa się z nią ożenić. Ona mu to przebaczała. — Był ubogi jak profesor, na artystę się nie zdał, choć miał sztuki poczucie.., Ona nie mogła zejść już z tych desek zaczarowanych, a jako pani profesorowa, musiałaby je porzucić. — Kochali się więc platoniczną miłością, która z namiętności młodzieńczéj, przeszła w nałóg serca, w przywiązanie spokojne i trwałe. Co wieczora przychodził profesor do niéj, jeśli była w domu wcześniéj, późniéj jeśli grała w teatrze — czytali razem, opowiadali dnia dzieje i żegnali się do jutra uśmiechem. — Ludzie mówili o téj przyjaźni z przekąsem, ale Teresa która nie obawiała się potwarzy biorąc Lizkę na wychowanie, nie myślała wyrzec się stosunków niewinnych dla złych języków.

Niespodziewany spadek po ciotce, nie wielki lecz zapewniający pewną niezależność, dozwalał pannie Teresie żyć i nieco wygodniéj i swobodniéj.

Do jéj zajęć, istotnie wielkich, bo miała teatr, wychowankę i opiekę nad najniepraktyczniejszym w świecie profesorem... pamiętając o wszystkich jego potrzebach — przybywała teraz nad wszystko trudniejsza piecza nad kobiétą nieszczęściem złamaną, upadłą, schorowaną i zepsutą. Początki zwłaszcza były niezmiernie trudne. — Cześnikówna nawykła do włóczęgi, zamknięta w pokoju wytrwać nie mogła.

Teresa zrozumiawszy to, nie wymagała w piérwszych dniach, aby za próg nie wychodziła, dozwoliła jéj pójść do kościoła, pobłąkać się po ulicach, ale głodem zmuszała do powrotu do domu. Tu miała izdebkę na górze czystą, usługę, i zaraz piérwszego dnia po kąpieli przymusowéj, zupełnie nową odzież wdziała. Teresa dopełniając chrześciańskiego uczynku z poświęceniem, sama własnemi rękami poszła ją uczesać, przybrać... i dobrém słowem ukołysać.

Spostrzegłszy że widok Lizki oddziaływał na nią uspokajająco, że



... obłąkanie z niéj znikło. (Do str. 65).

wobec dziecka wstydziła się nieszczęśliwa niedorzecznych wykrzyków i stawała łagodniejszą, spokojniejszą, Teresa użyła jéj dla pohamowania wybryków Róży. Dziwnym skutkiem jakimś niewinny uśmiech dziewczęcia, miał potęgę niezmierną nad zepsutą kobiétą. Rumieniła się, milkła, stawała łagodną i dobrą. Patrzyła na tę istotę czystą jak aniołek, wesołą jak ptaszę i widok ten sprawiał jéj spokój — trzeźwił — koił ból, sprowadzał zapomnienie... Lizce téż winną była Teresa, pohamowanie, nawrócenie, uspokojenie nieszczęśliwéj Cześnikównéj.

Gdy trzeciego dnia zdoławszy się wyrwać z domu, generałowa z bijącém sercem, ze strachem o los siostry przybiegła zastukać do drzwi przyjaciółki,—Teresa nic nie mówiąc zaprowadziła ją, przodem puszczając Lizkę, na trzecie piętro...

Znalazły tu Cześnikównę ubraną czysto i próbującą modlić się na książce. Oczy miała zapłakane... Izdebka z widokiem na ogrody, miała wesołą fizyognomją... Nie było w niéj śladu już ani odzieży, ani szału z którym tu weszła Róża... Natalia zdumiała się. — Twarz jéj siostry bledsza była teraz, mizerniejsza — smutniejsza może, oczy wpadłe i podsiniałe, ale obłąkanie z niéj znikło.

Uściskały się milcząc, nie mogły nic mówić przy Lizce, którą szczególniéj szanowała Róża... Dała znak sama siostrze, pokazując dziecię. — Dopiéro gdy Teresa z nią na dół odeszły i pozostały same... generałowa mogła z nią pomówić.

— Przynoszę ci niezłą wieść, rzekła... twoja zemsta się skończyła — moja rozpoczęta... Ten człowiek już wpadł w szpony mojego męża i nie wyjdzie z nich całym...

— Zabić go! zabić! — wracając do dawnego szału odezwała się nagle Róża — zamęczyć...

— Nie—odparła marszcząc brwi generałowa—on mi jest potrzebnym. Ja chcę wiedzieć co się stało z dzieckiem mojém... czy je mam opłakiwać, czy go szukać. Jeśli się dowiém że żyje, porzucę męża, rzucę wszystko... pójdę żyć dla niego... Jeśli zaś zabił... jeśli umarło...

Generałowa nie dokończyła.

— To nie może być! przerwała.

— Niech powié na torturach... a potém go zabić! zabić!.. powtórzyła Róża uderzając ręką w stół.

— Nie — nie — zawołała generałowa, — on się z tobą ożenić musi...

Krzykiem który się zmienił w śmiech dziki, rozdarła się pierś Róży, która klasnęła w ręce...

— On? zemną? ja w łachmanach do ołtarza... i pijana... i tysiące świadków? nieprawdaż... poczęła wołać — możeż być zemsta słodsza... a u ołtarza już plunę mu w oczy i zawołam przy świadkach, na kościół cały: — ja żebraczka, ulicznica nie chcę cię—boś ty gorszy łotr i zbój i nie warteś mnie...

— A! daj mi taką chwilę — a umrę szczęśliwą; — dodała, na kolana rzucając się Róża.

— Cicho! na Boga! cicho — i uspokój się, rzekła generałowa — zostaw mnie staranie... Skórski nie długo będzie jak ty żebrakiem... naówczas...

Ściągnęła brew generałowa i dodała ponuro: — naówczas muszę uczynić to z mężem, aby on mi dopomógł. Nienawidzę go, ale mam nań sposób—coś znajdę; on mnie nie cierpi, lecz się ulęknie...

Róża spojrzała w zwierciadełko wiszące przy umywalni...

— A no! i nie tak już haniebnie wyglądam jak dawniéj...

Wzięła się po dawnemu w boki...

— Jego sprawą upadłam... niechże mnie dziś weźmie taką jaką uczynił... Należy mu się to... O! że będzie kochanek szczęśliwy ręczę... Opowiadać mu będę wszystkie moje włóczęgi z cyganami i złodziejami... jakeśmy łotrowali na węgierskiém pograniczu... i słoninkę piekli z papryką przy wesołym ogniu, popijając gorzałką... Dżengo grał na cymbałach, drugi na drumli... a my szalały aż popadały jak martwe na ziemię...

Generałowa bladła słuchając, w tém w progu pokazała się główka jasna Lizki. Cześnikówna palec przycisnęła do ust, przestraszona i zamilkła jak złapana na uczynku. Twarz jéj zmieniła się, spuściła oczy pokornie zawstydzona. Dziecię czyniło ją inną, bojaźliwą i spokojną. Lizka przychodziła zapytać o coś od panny Teresy, a w istocie był to tylko pozór do przybliżenia się ku generałowéj, która ją lubiła i pieściła.

Względem żebraczki Liszka zachowywała się bojaźliwie, trzymała z daleka i choć biedna kobiéta wdzięczyła się do niéj jak umiała, dziecię nie mogło przemódz wstrętu. Posługiwało jéj chętnie, ale do zbliżenia się i pieszczot nie miało ochoty; takie na niéj wrażenie uczynił widok łachmanów i rozognionéj twarzy piérwszego dnia po przybyciu.

Generałowa pomówiwszy jeszcze z siostrą o jéj potrzebach, pożegnała i zeszła na dół, Lizkę trzymając za rękę.—Tu zastała Teresę nad

książką, zatopioną w jakiéjś nowéj roli, którą studyowała. Rzuciła ją zaraz dla przyjaciółki, która raz jeszcze poleciwszy siostrę i uściskawszy ją czule, wyszła z powrotem do domu.

Zbliżała się do progu kamienicy, spuściwszy zasłonę na oczy i miała wynijść z niéj, gdy stojący tu, jakby na czatach, mężczyzna drogę jéj zastąpił; zlękła się z początku poznawszy w nim generała. Okryty płaszczem widocznie przyszedł ją tu szpiegować, i jak mu się zdawało, pochwycić na uczynku. W twarzy jego złośliwy tryumf się malował gdy ją zobaczył. Natalia pobladła, drgnęła, ale oczy jéj zapłonęły ogniem dzikim i stanęła z dumą naprzeciw niego, marszcząc brwi ciemne.

— Nie dobrze jest tak chodzić pieszo saméj po oddalonych ulicach — rzekł sarkastycznie, dla tego zdawało mi się właściwém, pójść za panią i ułatwić jéj powrót do domu...

Natalia spojrzała mu w oczy śmiało.

— Rozumiem, rzekła spokojnie — posądziłeś mnie pan, masz słuszność — takiéj jak ja kobiécie nigdy wierzyć nie można. — Niechcę jednak abyś mnie o więcéj posądzał niż jest... i bardzo się cieszę że będę mogła z nim pomówić otwarcie.—Chodź pan zemną.

Generał zmieszany stanął.

— Chodź pan zamną! powtórzyła nakazująco kobiéta — potrzeba żebyś moję zbrodnię naocznie widział i o niéj się przekonał.

Cała drżąca i poruszona zawróciła się na wschody, oglądając na męża.

— Proszę zamną, rzekła raz jeszcze, powrócimy tam zkąd idę, zobaczysz zkim miałam schadzkę.

Szła szybko na wschody, generał gniewny i chmurny, mrucząc, postępował za nią. U drzwi Teresy zadzwoniła tak gwałtownie, że artystka wybiegła przelękła... Ujrzawszy ją na progu, generałowa czekała aż się pokaże mąż, i odezwała się głośno.

— Przyprowadzam ci kochana Tereso męża mojego, który tak był łaskaw i troskliwy, że aż tu po mnie przyszedł. Obawiał się pan generał, ażebym w zbyt złe towarzystwo nie wpadła... muszę cię mu zaprezentować.

Zmieszany mąż, napróżno chciał wstrzymać potok słów rozgniewanéj żony — dając jéj znaki. Wszedł nareście, poznając Teresę, którą widywał w teatrze, i mrucząc coś niezrozumiałego aby się przed nią wytłumaczyć. Generałowa zamknęła za nim drzwi, aby przechodzących

korytarzem nie mieć świadkami téj sceny, lecz była rozogniona, gniewna, łez już powstrzymać nie mogła.

— Panie generale, rzekła ze śmiechem boleści pełnym, kto bierze kobiétę jak ja zza kulis teatralnych, nawykłą do swobodnego życia, do towarzystwa innego niż wasze, ten się zawsze spodziewać może, iż ona dla wytchnienia choćby do dawnych przyjaciół uciecze.

Jestem biedną aktorką, a gram tylko rolę waszéj żony i jakiéjś pani generałowéj... która mi dosyć dokuczyła... Dla tego chwilami zbiegam tu odetchnąć, poskarżyć się i zapłakać. Nie dałeś mi waćpan szczęścia, ani ja panu... Ale ja nie mam sobie nic do wyrzucenia, bom mu to wcześnie zapowiedziała...

Generał zburzony, pomieszany, dawał znaki napróżno.

Przy pannie Teresie nie chciał wybuchnąć, ani też przepraszać, czerwienił się od wstydu.

— Zdaje mi się, odezwał się wreście, że tu ani czas ani miejsce do małżeńskich waśni i tłumaczeń...

— Owszem, odparła generałowa, musimy tu pomówić z sobą, przy świadku. — Mam wistocie wiele do mówienia i winy, do których się przyznać muszę, a wolę z tą spowiedzią tu skończyć, niż ją do domu odwlekać.

Generał stał zdziwiony. Teresa zakłopotana spoglądała to na przyjaciółkę, to na niego.

— Kochana Natalio — odezwała się, na miłość Bożą, spokojnie— nie unoś się...

— Potém osądzisz o ile być mogę w mém położeniu spokojną, poczęła wibrującym od wewnętrznéj burzy głosem generałowa... Pan generał raczył mnie szpiegować i być zazdrosnym, wszak to jeszcze honor dla mnie — bardzom mu za to wdzięczna... Skorzystam z tego... Tereso, bądź tak dobra, pójdź i poproś tu mojéj siostry...

Generał rzucił się aż...

— Waćpani masz siostrę, o któréj nie wiedziałem.

— Tak, biédną istotę, o któréj i ja nie wiedziałam, mówiła Natalia — sądziłam że dawno z nędzy umarła. Znalazłam ją jako żebraczkę pod kościołem — jest tutaj, dla niéj i ja tu przyszłam — chcę abyś ją widział...

W chwili gdy panna Teresa posłuszna kierowała się ku drzwiom, rada że téj sceny uniknie, generał się rzucił zastępując jéj drogę.

— Ja nie chcę widzieć téj siostry! proszę mi oszczędzić tego widoku...

Zaczerwienił się cały.

— Żeniąc się z panią, dodał gniewnie — sądziłem że biorę siérotę, i że żadnéj familii nie będę miał na karku...

Dość tego i chodźmy do domu.

— Musisz mnie posłuchać, panie generale, odpowiedziała Natalia — bo ja się ztąd krokiem nie ruszę, do domu nie wrócę i jutro całe miasto wiedzieć będzie, że siostra żony waćpana żebrała pod kościołem. Mnie to wszystko jedno...

Hochwarth za włosy się pochwycił.

— Mów pani, czego chcesz... zawołał gwałtownie, a krótko i prędko...

— Potrzebuję pomocy waćpana, dla pomszczenia honoru mojéj siostry...

Usłyszawszy ten wyraz, generał wykrzywił usta, żona jego mówiła daléj.

— Biédna siostra moja została uwiedzioną przez niepoczciwego człowieka... Kilkanaście lat, aż do obłąkania przywiedziona, usiłowała się pomścić. Do téj zemsty pan nam dopomódz musisz.

— Ja? do zemsty? podchwycił generał. A mnie to co ma obchodzić? to sprawa mi obca! Dosyć już i tak brnąłem w téj kałuży... Ja o tém słyszéć ani wiedzieć nie chcę...

— Waćpana to obchodzi równie jak mnie—krzyknęła generałowa — wierzaj mi! Dla Teresy nie mam tajemnic, dla waćpana miéć ich téż nie chcę. Ten człowiek który zgubił siostrę moję... i przeciwko mnie jest winnym! Rozumiesz mnie pan? dodała rumieniąc się... Zgubił nas obie!

Nie kryłam tego wychodząc za was, żem była nieszczęśliwą i występną. Wziąłeś mnie taką jaką byłam... Zniesieszże aby człowiek, który był kochankiem moim, chodził bezkarnie po świecie?

Generał zbladł i ręce załamał.

— Mów waćpani — kto on? znam go? gdzie jest...

— Tu jest... odparła Natalia, lecz nim powiém ci imię jego — daj mi słowo, że postąpisz jak ja chcę... On się musi ożenić z Różą.

Hochwarth posępny milczał długo.

— Sposób pomszczenia się, środki — proszę mi zostawić, rzekł ponuro — nic przyrzekać nie będę... nie zwykłem się wiązać... Mogę tyl-

ko zaręczyć pani że nie ścierpię tego, abym miał za żonę rumienić się przed kimkolwiekbądź. Co uczynię, nie wiém. Kto on jest?

Natalia zawahała się chwilę.

— Chcę, rzekła — aby ci moja siostra potwierdziła prawdę słów moich.—Nie wierzysz mnie, posądzasz... Idź i rozmów się z nią.

— Nie — dosyć tego — obruszył się generał, mów mi jego nazwiko... jego nazwisko...

Generałowa zawahała się jeszcze. — Czuła że wypowiadając je, da go na łup najprzebieglejszemu najmściwszemu z ludzi.

— Waćpan się go zechcesz pozbyć pocichu... i uprzątnąć go z drogi, rzekła — ja tego niedopuszczę... trzeba go ożenić z nią...

— Ale mów mi waćpani jego imię! krzyknął przyskakując generał — ja będę wiedział co uczynię — spuść się na mnie.

Śmiech ironiczny przebiegł mu po ustach, drżał cały...

— Nic wprawdzie nowego dla mnie nie dowiedziałem się tu—rzekł dysząc i przechadzając się po ciasnym pokoiku, — ale niespodziane zjawienie tego jegomości nie da mi spocząć.., trzeba z nim skończyć... kto to jest? mości pani kto jest ten Don Juan szczęśliwy... mów...

Generałowa namyślała się jeszcze.

— Moja siostra — poczęła.

— Mnie bynajmniéj nie idzię o tę siostrę — ale o nią — przerwał wybuchając mąż... ale o mnie...

I uderzył się w piersi.

— Popełniłem szaleństwo żeniąc się z nią, pokutuję za to słusznie... nie chcę się jeszcze wstydzić w dodatku — kto on jest...

— P. Michał Skórski! wyraźnym, spokojnym głosem odezwała się żona. Znasz go waćpan...

Hochwarth usłyszał to nazwisko i stał jakiś czas jak przykuty—nie odpowiadając nic—po brunatnéj twarzy przebiegły drgania jakieś jakby apoplektyczne, wprędce jednak oprzytomniał, uspokoił się, ostygł i rzekł zimno.

— Zobaczymy...

— To mówiąc podał rękę żonie, która się cofnęła nie przyjmując jéj, uścisnęła w milczeniu przyjaciółkę i nic nie mówiąc wyszła; — Hochwartch skłonił się zimno, i w ślad za nią pośpieszył.

Pomiędzy gośćmi tego samego wieczora zaproszonymi przez pana generała, na wiseczka i wieczerzę, znajdowali się, oprócz Skórskiego, jeden markiz francuzki, dawny Hochwartha znajomy, który przejeżdżał dla objęcia posady sekretarza przy ambasadzie, i podpółkownik pruski, znajdujący się tu dla rozrywki może, z ołówkiem i książeczką do notat...

Generał miał twarz wypogodzoną i wesołą, a sama pani dawno nie była tak ożywioną.

Ze Skórskim, który zawsze nie bez pewnéj obawy wchodził do tego salonu, generał przywitał się zaraz przy drzwiach bardzo serdecznie, uśmiechając mu się, okazując przyjaźń poufałą, niszcząc wszelkie podejrzenie. — Śledził nieznacznie powitanie jego z żoną, ale Skórski skłonił się jéj z daleka, ona ledwie mu na to skinieniem głowy odpowiedziała, i p. Michał powrócił do męzkiego towarzystwa.

Nie był on zwykle bardzo rozmownym, lecz tego wieczora zmuszono go niemal do wmieszania się w ogólną paplaninę o sprawach miejskich, o teatrze, koncertach i brukowych plotkach... Podpółkownik pruski ciekawy poznać charakter tutejszego społeczeństwa, przysłuchiwał się i badał z wielkiém zajęciem; markiz znajdował że nigdzie w ogóle piękniejsza połowa rodzaju ludzkiego, nie wydała mu się wdzięczniejszą jak w Warszawie i Paryżu.—Mówiono z tego powodu wiele o kobiétach. Generałowa także kilka słów rzuciła w obronie płci swojéj. — Po herbacie zaraz zasiedli wszyscy do wista, gospodyni znikła, a Skórskiego zamówił sobie do swéj partyjki gospodarz... Nigdy może nie był dla niego tak uprzejmym.

P. Michał wyciągał ztąd najlepsze wróżby dla swego długu, który bądź co bądź go niepokoił. — Tego wieczora jak prawie wszystkich innych, w grze mu się znowu nie poszczęściło, co gospodarzowi dało powód do śmiechu i prześladowania go szczęściem w miłości...

— Waćpan musisz być wielkim bałamutem rzekł do niego.

— Już chyba tylko byłem nim, odparł Skórski naiwnie, bo dziś za stary jestem na to...

— Ale, ale! w starym piecu djabeł pali... rozśmiał się Hochwarth. — A w istocie czasby się ustatkować i ożenić... prawda?

— Ożenić? bodaj czy nie będzie trochę póżno—odezwał się pan Michał.

— Sama pora — kończył gospodarz — posłuchaj mnie, ja waćpanu żonę znajdę... Stateczną, nie zbyt młodą.

— I posażną — wtrącił kapitan Bobrski, aby p. Michał miał co w wista przegrywać.

Śmiano się tak z biédaka, który udając spokojnego i zadowolnionego, dawał z siebie stroić drwinki i przyjmował je łagodnie.

Zwykle unikając obrachunków z gry powstałych, Skórski najczęściéj się był wynosił od generała wcześniéj niż inni goście. — Nie wstrzymywał go Hochwarth. P. Michał miał myśl szczęśliwą wydania kiedyś wieczorku u siebie, popojenia gości i zaproponowanie gry, przy któréj w domu spodziewał się być szczęśliwszym. Nie posądzając wcale generała, uderzony był tém że mu się tak u niego fatalnie nie powodziło. Tym razem też gdy wist się skończył, brał już za kapelusz i miał się do wyjścia, gdy generał wziął go poufale za obie klapy od fraka i szepnął mu w ucho.

— Proszę cię, panie Michale, zostań na chwilkę, mamy z sobą coś do pomówienia.

Nie ulegało najmniejszéj wątpliwości, iż szło o dług kartowy. Skórski posmutniał, ale naturalnie pozostał; goście się porozchodzili, zostali tylko kapitan i regent probujący się z sobą w ecarté, i generał wziął pod rękę przyjaciela i wyprowadził go do gabinetu, dając mu świeże cygaro...

Był w najwyśmienitszym humorze, sam ognia przyniósł do zapalenia hawanny, posadził Skórskiego w najwygodniejszym fotelu i z twarzą uśmiechniętą, klepiąc go po kolanach, rozpoczął:

— Szanowny panie Michale, rzekł, tak ci się ze mną w grze nie wiedzie, iż mi to największą w świecie czyni przykrość. Doszliśmy odegrywając się do sumki wcale nie szpetnéj. Widzę że chcąc ci usłużyć, powolnością moją coraz cię daléj popycham, i nie wiedzieć na czém się to skończyć może.

Musimy nasz interesik uregulować; nie wymagam pieniędzy — będziemy grali zawsze i zwolna, możesz się oczyścić, jeżeli ci posłuży szczęście... Jednakże na sumieniu mieć cię nie chcę...

Skórskiemu cygaro zagasło; słysząc te czułe napomnienia przyjacielskie, robiło mu się zimno i gorąco na przemiany...

— W istocie, odezwał się — zabrnąłem zbytecznie i nieostrożnie.

— Widzisz, ja cię przestrzegałem! dodał generał czule... masz go-



Począł mu palcem cyfry wskazywać... (Do str. 73).

rączkę studencką. Gdyby tak z kim innym, korzystałby z niéj. Wiész mi, ludzie na szulerów narzekają i okrzykują szulerami tych, którzy tylko bardzo po prostu z szansy i głupstw ludzkich korzystać umieją. Należy być panem siebie i ostrożnym...

Ale wracając do naszego rachuneczku, dodał generał idąc do szufladki blizko stojącego stolika, i dobywając notatki—proszę cię zweryfikujmy je...

Pochylił się siadłszy obok Skórskiego i począł mu palcem cyfry wskazywać. P. Michałowi w oczach się ćmiło — marzenie owo zaczynało przybierać smutne barwy rzeczywistości...

— Mieliśmy parę dni temu dwadzieścia? nieprawdaż dwadzieścia tysięcy? Przybywa nam półtrzecia, za dwa wieczory... razem z dzisiejszą przegraną uczyni to dwadzieścia cztéry tysiące sześćset...

Pot wystąpił na czoło Skórskiemu, który cyfrom nie mogąc zaprzeczyć, szepnął po cichu ledwie dosłyszanym głosem.

— Dwadzieścia cztéry... tak... sześćset.

— Słuchaj że, odezwał się generał — może potrzebujesz pieniędzy, bo to w mieście człowiek się nigdy wyrachować dobrze nie może... Ja ci dam gotówką te cztérysta, a ty mi wystawisz weksel na dwadzieścia pięć... Ja go schowam do kieszeni! daję ci słowo! To rzecz między nami... ale śmiertelni jesteśmy to raz — i — dodał śmiejąc się—będzie ci to hamulcem od gry... Życzę ci dobrze... nie chciałbym abyś się zgrywał...

Skórski milczał. Niepodobna mu się było oprzéć, a jakaś obawa niewysłowiona przejmowała go i napełniała niepokojem. Czuł się zrujnowanym.

Generał ani nawet przypuszczając ażeby tak prosta operacya, mogła najmniejszéj ulegać wątpliwości, dobył z kieszeni pugilares, wyliczył rubli cztérysta i położył je na kolanach niememu i osłupiałemu Skórskiemu; potém na stoliczku nagotował papiér wekslowy, pióro, kałamarz i wskazał je ruchem ręki...

P. Michał siadł pisać nie wiedząc co czyni. Gospodarz ostrożny wezwał z drugiego pokoju kapitana, aby się za świadka podpisał... To się bardzo niepodobało Skórskiemu, ale i temu oprzéć się nie umiał.— Wiedział już że szczególnym składem okoliczności mąż téj co go nienawidziła, pomścił się na nim ruiną. W odegrane wcale nie wierzył...

Twarz jego malowała stan ducha upadłego. Nie mógł się odezwać ani słowa. Położył pióro na stoliku i siedział ogłupiały.

Generał nań spojrzał i poklepał go po ramieniu.

— Masz w istocie minę, odartego na gładkiéj drodze człowieka... Mógłbym się za to pogniéwać! Co u licha. — Chciałeś grać, trzymałem ci póki i jak ci się podobało... Los tak rozrządził. — Nie możesz mi tego miéć za złe...

Mówiąc to weksel zasypał i schował do pugilaresu.

— Ja cię o dług ten wcale naglić nie myślę i nie będę. Możemy grać, służę ci zawsze... tylko nie pozwolę już żebyś tak szalenie ponterował... Zapalasz się.

— A tak! zapala się pan! bardzo się pan zapala! potwierdził przywołany kapitan... a w grze, piérwsza rzecz krew zimna... to prawidło...

Tym razem Skórskiemu zdawało się że miał prawo już wziąć za kapelusz, i pożegnawszy gospodarza wyjść — na świeżém powietrzu medytować nad swojém położeniem...

Niezmiernie uprzejmie pożegnał go, cisnąc mu obie ręce gospodarz i odprowadził aż do drzwi...

— Nie frasuj się pan, i nie miéj do mnie pretensyi — odezwał się — uczyniłem to dla twego własnego dobra... Rozmyśliwszy się przekonasz o tém... Dobranoc — jutro czekamy cię z wiseczkiem a choćby i sztosikiem...

Tak pożegnawszy zszedł ze wschodów Skórski, z pomocą przyświecającego mu lokaja, któremu za tę grzeczność jeszcze zapłacić musiał. Znalazłszy się w ulicy, nie wiedział dokąd iść, — chciał co najrychléj pomówić z radcą, była godzina późna, o któréj go najprędzej mógł zastać w domu. Spiesznym krokiem pobiegł do niego.

Fazyński tylko co był z resursy powrócił i zabierał się do snu, gdy mu spóźnionego gościa przyprowadzono. Poznał z twarzy od razu iż nie przychodził darmo.

— Co ci to jest zapytał cicho.

— Jestem — zrujnowany, krótko odparł Skórski. Wasz pan generał to poprostu łotr i szuler... Grałem jak dzieciak... zapędziłem się, żartował ze mnie traktując tę sprawę jakby jéj nie brał na seryo—a dziś, dziś mi sobie kazał wydać weksel... na dwadzieścia pięć tysięcy rubli, z których patrz ile mi pozostało...

To mówiąc owe cztérysta rzucił na stół.

Radca porwał się za głowę i krzyknął.

— To nie może być!

— Ale mówię ci, tak jest!

— Dwadzieścia pięć tysięcy rubli... ale to fortuna... Czyś oszalał...

— W istocie wart jestem aby mnie wsadzono do czubków. Zrazu łudziłem się tém, że mi się da odegrać, — dziś, pomimo jego przyjacielskich zaręczeń, przekonany jestem że weksel...

— I dałeś mu — weksel! przerwał radca.

— Musiałem! wybąknął Skórski.

— Fatalnie! szepnął rzucając się w krzesło gospodarz.

— Byłeś i jesteś moim przyjacielem — odezwał się Skórski, trąc czoło, jakby uciekającą pamięć chciał przywołać; radź mi...

— Cóż tu radzić — odparł radca — to poprostu ruina. Wiele warta Brończa.

— Może być warta pięćdziesiąt...

— Masz na niéj Towarzystwo...

— Naturalnie.

— Długi prywatne?

— Któż bez nich...

— Cóż ci zostanie?

Skórki pomyślał i gorzko się śmiejąc rzekł:—Zostaje mi rewolwer, którym sobie mogę w łeb wypalić — lub kij i torba...

— No — przerwał radca — przecież możesz znaleźć jakieś zajęcie!

— Jakie? zapytał z goryczą Skórski, chyba leśniczego lub berejtera... a tych jest więcéj niż miejsc dla nich... Jeżeli generał zechce być surowym, choć mi obiecuje powolność...

— Obiecuje ci...

— Tak... ale 25,000?

Zamilkli... Radca ziewnął, pora była późna, przyjaciel zrujnowany wcale nie na rękę...

— Jakoś to będzie! rzekł wstając... Idź spać, uspokój się — namyśl... Sądzę że generał nie zrobi skandalu... Będzie mu szło o to, aby za szulera nie uchodził.

Pożegnali się i Skórski pociągnął do domu. Nie powiedziawszy słowa służącemu, rozebrał się i położył...

Nazajutrz uczuł się chorym i nie wyszedł wcale, ani dnia następnego — nikt go nie odwiedził, ani się dowiedział nawet... Czwartego

dnia z rana, gdy się zbierał już na miasto wyjrzéć, służący oznajmił mu wizytę generała.

Zwykle Hochwarth przychodził wesół, żartobliwy, nastrojony na ten ton wygodny, który dozwala mówiąc wiele nie powiedziéć nic.—Tym razem z twarzy posępnéj widać było, zły chumor jakiś, nieukontentowanie, kwas niezwykły.— Wcale się nie rozczulając nad Skórskim, zdaleka go powitał, dosyć zimno, zamknął drzwi od pokoju w którym byli, i usiadł w krześle zachmurzony. — Skórski nie mógł jeszcze odgadnąć co to znaczyć miało, ale łatwo się domyślał że nic dobrego...

Po chwili milczenia, Hochwarth począł tonem zmienionym i dosyć twardym.

— Nigdym się tego po panu nie spodziewał, abyś mi za moję powolność miał się tak wywdzięczyć?

— Ja? cóż to jest? spytał p. Michał.

— A no, pozwól, gorąco rzekł ciągnąc daléj Hochwarth, tak się nie postępuje z ludźmi, którzy z pełną ufnością, po przyjacielsku, w domu przyjmują...

Grałeś pan u mnie jakeś chciał, przegrałeś niemal dobrowolnie... Zamiast mi być wdzięcznym, żem mu był powolnym, tegoż samego wieczora gdyśmy się obliczyli, pobiegłeś na skargę do radcy. Okrzyczano mnie w mieście za szulera! a! tak się nie robi, mości panie! tak się nie robi!

— Panie generale — rzekł zmieszany Skórski, klnę ci się wszystkiem co mi najdroższe, nie skarżyłem się, poszedłem się radzić.

— Cóż znowu! mów pan sobie co chcesz! co to jest! wołał generał coraz się mocniéj ożywiając—to nie jest postępowanie ani przyjacielskie, ani roztropne... Ja tego znieść nie mogę! Otrąbiają mnie po mieście jako gracza, który waćpana całego majątku pozbawił, dla tych tam głupich dwudziestu tysięcy...

Wstał nagle Hochwarth.

— Kiedy tak jest — dodał — przyszedłem panu oznajmić, że między nami stosunki są zerwane... Rozumié się iż mojego długu poszukiwać będą prawnie... Niechże za to że na mnie psy wieszają, mam przynajmniéj korzyść jakąś...

Skórski milczał. — Przez parę dni miał czas rozważyć swe położenie i wiedział, że w razie pociągnięcia do wypłaty, nie uratuje się od zguby.

Generał pomimo roznamiętnienia ogromnego był panem siebie — groził zerwaniem i odejściem, ale z niém nie spieszył wcale. — Przechadzał się po pokoju, trzymając kapelusz w ręku, zdawał czekać na tłumaczenie obwinionego.

— Nie czuję się wcale winnym, odezwał się Skórski.—Nie było grzechem w położeniu jak moje naradzać się z przyjacielem, którego prosiłem o sekret...

— A który nazajutrz nic nie miał pilniejszego nad rozniesienie po mieście wiadomości, że ja waszmości ściągnąłem do mojego domu, aby go do koszuli zgrać. Ja waćpana nie zachęcałem ale odciągałem od gry... Ja téj kalumnii znieść nie mogę i nie zniosę...

— Cóż ja mam uczynić, i czego pan żądasz ode mnie? zapytał Skórski już podrażniony... Czy satysfakcyi?

Generał odwrócił się szybko...

— Jakiéj satysfakcyi? rozśmiał się ironicznie. Najprzód mi waćpan uczyń to, żebyś mi przegraną sumę zapłacił. Potém, jeśli chcesz innéj, dam chętnie i pozwalam ci wybierać broń, rodzaj pojedynku, jaki się podoba... Wprzód tylko zapłać! cha! cha!

Chciałbyś się tanim kosztem zbyć długu... Przepraszam...

Cierpliwości brakło Skórskiemu.

— Licytuj pan majątek — zabierz go sobie—rób co chcesz...

— Zapewne że inaczéj uczynić nie mogę... odparł generał...

Zamiast wyjść, czego się spodziewał p. Michał, Hochwarth usiadł i mówił nieco łagodniéj..

— Ja waćpana żałuję—rzekł, mogłeś nie mieć złéj woli, a mimo to wyrządziłeś mi krzywdę. Droższą mi jest reputacya nad wszystko... Radbym waćpana ratował...

Skórski milczał...

— Mogę waćpanu nastręczyć ożenienie, które ruinie majątkowéj zapobieży...

— Co ożenienie? zapytał zdumiony Skórski. Z kim?

— Nie mogę osoby kompromitować, dopóki w zasadzie się ze mną nie zgodzisz na nie — chcesz się żenić... połatamy wszystko, będzie cicho, sza, zgoda i przy wsi zostaniesz...

— Ale z kimże przecie? powtórzył Skórski, na ślepo się żenić nie mogę...

— Osoba ze wszech miar dla waćpana przypadająca... a nawet do pewnego stopnia krewna moja — odezwał się generał...

Ostatnie wyrazy tak zdumiały Skórskiego i jakieś w nim podejrzenie obudziły, iż poskromiwszy się i nie dając poznać co uczuł, spolitykował.

— Nad tém, rzekł, przynajmniéj mi się pan dasz namyśléć.

Hochwarth popatrzył nań.

— Nie naglę, odparł, namyślaj się pan—przyjdę za parę dni po odpowiedź. — Wstał, bez ceremonii kapelusz kładząc na głowę, i bez pożegnania wyszedł z pokoju...

Skórski upadł na krzesło...

Położenie było rozpaczliwe. — Dziwna ta zagadkowa propozycya ożenienia, chodziła mu po głowie, jak coś niezrozumiałego. Widział się osnutym siecią intrygi jakiejś, zgubionym... Życzył sobie ożenienia, ale jak wszyscy starzy kawalerowie trudnym był w wyborze. To co mu tak narzucano, nie mogło być czém iném jak ciężarem i niewolą. Oburzył się...

— Wolę sobie w łeb strzelić! zawołał... Nie mógł już i tego dnia wyjść z domu, zamknął się, służącemu nakazał aby nie puszczał nikogo i gryzł się myślami, z których się wyplątać nie umiał...

Zmierzchało już, gdy siedzący w przedpokoju lokaj, pomimo rozkazu pańskiego nie przyjmowania nikogo, przyszedł oznajmić, iż pani jakaś zakwefiona, nieznajoma, koniecznie się domaga być wpuszczoną.

Skórski począł zniecierpliwiony dopytywać, jak wygląda,jak ubrana... Nie miał żadnych stosunków w Warszawie. — Ciekawość go wreście pobudziła do przyjęcia.

W mroku ujrzał w chwilę potém kobiétę zakwefioną, idącą krokiem śmiałym do jego pokoju... Z postawy poznał że to ktoś był z towarzystwa lepszego, na myśl mu przyszła dziwaczna propozycya generała. Nie wiedząc co myśléć, postąpił kilka kroków... Kobiéta odsłoniła w milczeniu twarz, poznał generałową Hochwarth.

Na widok jéj cofnął się przerażony. Blada, z oczyma gniewem zapalonemi, stała przed nim patrząc nań z pogardą i wyższością sędziego, który ma wyrokować o winowajcy.

— Poznajesz mnie pan — odezwała się — domyśléć się powinieneś po co do niego przychodzę... Winieneś mi sprawę zdać z losu mojego dziecka... Gdzie ono jest? mów.

Skórski oniemiał.

— Mów prawdę — dodała generałowa — jesteś w ręku męża mojego, który cię może oszczędzić lub zgubić — zależy to ode mnie... Mów, mów mi prawdę, coś zrobił z dziecięciem...

Skórski, któremu zimny pot na twarz wystąpił, nie mógł słowa przemówić. — Wejrzenie jego ukośnie badało kobiétę, namyślał się nad kłamstwem, które miał powiedzićć.

— Dziecię umarło, rzekł słabym głosem.

— Kiedy i gdzie? zapytała generałowa.

— Na wsi — u mnie; — cicho odparł Skórski.

— To fałsz — niegodny fałsz jak wszystko co twoje usta wymawiały... Dziecię oddałeś precz z domu, wysłałeś je... to wiém? Dokąd?

Skórski upokorzony zamilczał...

— Jeśli masz odrobinę sumienia, mówiła generałowa, powiedz prawdę... Komu i gdzie je oddałeś? Chciałeś się go pozbyć...

Wzięty na badanie — p. Michał wybuchnął wreście gniewnie.

— Nie wiém co się z niém stało... Oddałem człowiekowi, który się podjął wychować je — zapłaciłem mu za to; — nic więcéj nie wiém...

— Człowieku bez sumienia, bez wiary! łamiąc ręce krzyknęła kobiéta. Przyznajesz się do tego żeś nie miał miłości ojca, ani nawet litości człowieka. — Oddałeś dziecko?... Kłamiesz i teraz...

— Mówię prawdę — ponuro i ostro krzyknął Skórski, — o dziecku nic nie wiém, o człowieku co je wziął nie miałem wieści...

— Rozpłakała się Natalia; Skórski stał zimny i rozdrażniony tylko

— Nie miałbym żadnego powodu skrywać wam losu dziecięcia, gdybym o nim wiedział. Winny czy nie, przysięgam wam...

Generałowa słysząc o przysiędze rozśmiała się głośno, popatrzyła na niego z pogardą największą, zakryła twarz i wyszła z pokoju...

Ta scena dobiła już nieszczęśliwego, starego kawalera; jak na pół obłąkany zawołał naprzód służącego, chcąc mu coś rozkazać, namyślił się potém — i począł śpiesznie odziewać jak do drogi... Drzwi zamknięte były na klucz... Około godziny dziewiątéj wieczorem, uporządkowawszy wszystko, wydawszy rozkazy słudze, Skórski po cichu wysunął się z domu.

— Zabierzesz rzeczy i pojedziesz do Brończéj jutro — rzekł wychodząc. — Nie było czasu do stracenia. Na Pradze u znajomego han-

dlarza koni, mimo nocy, kupił piérwszego z brzegu jaki mu się nadarzył, dostał siodło... i puścił się nad ranem w podróż.

Gdy nazajutrz około południa przyszedł Hochwarth odwiedzić Skórskiego, znalazł tylko sługę i tłumoki.

Na zapytanie o pana, odpowiedział pozostały, że wyjechał nocą pośpiesznie, niewiadomo dokąd, a jemu polecił rzeczy odwieźć do Brończéj.—Generał nie zdawał się tém ani zdziwiony, ani bardzo zagniewany. Przyjął wiadomość dość zimno, uśmiechnął się ironicznie, popatrzył na zegarek, zaczął świstać chodząc po pokoju, popatrzył na tłumoki, pogadał ze służącym, rozpytał go o folwark, dom, pola i gospodarstwo w Brończéj, a w ostatku dawszy mu parę złotych na piwo—odszedł.

Daleko więcéj zdziwiony był radca, który dla ceremonii chciał odwiedzić dawnego towarzysza, a przybył *post factum*, gdy już nawet sługi i tłumoków nie było. Stróż kamienicy, człek poważny i umiejący opowiadać *detalicznie* historye swych lokatorów, trzymał go pół godziny, opisując jak ten pan drapnął po nocy na piechotę, jak sługa późniéj wyjechał z rzeczami, i jak najpewniéj długów się moc po nich zostać musiało...

— A mnie co do tego? dokończył stróż, nie zgłaszali się do mnie żebym dał znać gdyby *fugas chrustas* chciał zrobić; — nie dał żaden złamanego szeląga.

Na gościńcu wiodącym z Lublina do Warszawy, w okolicy leśnéj, pod wsią wyciągniętą sznurem nad samą drogą—stała opodal nieco od niéj chatka, którą zdala za pustkę wziąć było można. Niegdyś zajmował ją podobno kowal, i była przy niéj kuźnia tak licha jak ona, aż gdy drugą murowaną postawiono na saméj drodze, około nowéj austeryi, a tamtą ludzie nocami rozerwali na opał — chata została się sama, i parę lat nikt w niéj nie mieszkał.

Ostatni właściciel, wedle zwyczaju, zabrał nawet okna; z dworu, na którego gruncie była wystawiona, posłał nierychło ekonom deski i kazał niemi okna pozabijać, aby pustkę uchować, bo jeszcze na co przydać się mogła. Jakoż po dwu latach zgłosił się do ekonoma człowiek nie młody, na dworaka wyglądający, nie znany w okolicy, który prosił go czyby

chatki nająć sobie nie mógł, a do niéj parę zagonów ogrodu. Składał papiéry i świadectwa jako bywał w różnych służbach po dworach, a wszystkie, szczególniéj ostatnie świadczyły, iż musiał być człek stateczny. Powiedział o sobie, że mu już na późniejsze lata służba była ciężką, że trochę grosza uciuławszy, pragnął spokojnie gdzie życia dokończyć... Z oczów mu ni źle ni dobrze patrzyło,—ekonom z nich nic nie wyczytał; chłodny miał wzrok jakiś i na pytania ogólnikami, krótko, a wzdychając tylko odpowiadał. Dwór nic nie miał przeciwko wypuszczeniu chaty, z któréj grosza nie było,—a i ogród chwasty zarastały, z wyjątkiem jednego zagona, który sobie wdowa jakaś na kartofle wyprosiła.

Chatę więc wypuszczono za złotych dwadzieścia rocznie, a ów człowiek nieznajomy, którego panem Mikołajem nazywano, zaraz się tam wprowadził. Okna kupił tanio na jarmarku, a zresztą niczego tam nie brakło do zamknięcia. Sługi sobie żadnéj nie wziął, z czego miarkowano że ubogim być musiał, obchodził się téż lada czém i sprzętu wiele nie zaprowadził. Mówiono nawet iż na podłodze sypiał, o lada jaki tarczan nie chcąc się postarać. W ogródku sam kopał, ogrodzenie, chrust wyprosiwszy i na plecach go nosząc, połatał powoli, a choć stary był i zwolna robił, nikim się posługiwać nie potrzebował.

Miano go z początku we wsi powszechnie za bardzo biédnego człowieka, bo i odzież nosił starą a zszarzaną, ale się późniéj okazało, że więcéj w tém było chciwości i skąpstwa niż ubóztwa. Owszem, z razu okrzyczany niemal za żebraka, mało co późniéj, chociaż się zapiérał, począł uchodzić za bogatego sknerę.

Wydało się to w ten sposób, iż włażąc w drogę arędarzowi, począł na lichwę potroszę pożyczać. Gdy to gruchnęło po wsi, a ten i ów już się mu zadłużył i niesposób się było ukryć z tém, że w chacie coś grosza być musiało, pan Mikołaj psa sobie dostał, którego trzymał na powrozie cały dzień, złości go ucząc, a na noc tylko na podwórko go spuszczał.

Pies był niepozorny, kundys prosty, kudłaty, plamisty, brudny, ale stróż jakich mało. Spał we dnie, a po nocach całych chodził do koła, naszczekiwał lub wył, tak że się aż ludziom przykrzyło, bo inne psy we wsi rozbudzone głosem jego, ujadały strasząc naprózno, lub wyciem mu wtórowały.

Wiele się do tego przyczyniało okoliczności, iż wkrótce i pana

i psa we wsi znienawidzono. Pan Mikołaj był na pozór flegmatyk, spokojny, małomówny, czasem się od niego słowa było trudno dopytać, niekiedy nawet się jąkał tak zawzięcie, iż najcierpliwszego znudził. Uważano wszakże iż jąkanie mu przychodziło gdy się nad czém potrzebował namyśléć, jakby się niém umyślnie posługiwał. Do kościoła uczęszczał bardzo regularnie, przychodził niemal pierwszy, odchodził ostatni, modlił się na różańcu z podniesionemi do góry rękami, wzdychając głośno, a gdy się w piersi bił, na cały kościół słychać było... W wielki piątek zawsze krzyżem leżał godzinę, pościł z suchotami. Dla ludzi wszakże co z nim mieli sprawy pieniężne ciężki był, gorzéj żyda... Mówił do nich słodko, a bardzo pobożnie zawsze, ale serca w nim za trzy grosze nikt nie znalazł... Już drugiego roku chodził z rękami w kieszeniach, około chaty i ogrodu sam nic robić nie potrzebując, bo sobie w procencie od pieniędzy daremszczyznę zawsze wymawiał. Jeden mu rąbał, drugi kopał, trzeci grodził, czwarty łuczyny musiał dać, i to się wcale nie liczyło... W karczmie nigdy go nikt nie zobaczył, naprzód dla tego, że z arędarzem byli na bakier, bo mu chléb odbierał, powtóre że wódki nie pijał, chyba mu ją kto kupił, i to nie więcéj kieliszka. Żywił się téż pan Bóg wié czém, dla obrzydliwego skąpstwa nigdy nic nie kupując, tylko albo z ogrodu zieleninę i ziemniaki sobie gotując, lub garstkę wyżebraną krup. Chléb stary, zeschły brał w miasteczku u żydów zabezcen, maczał go w wodzie, i innego nie znał...

Przyzwyczaili się ludzie;— ale nikt do niego nie przystał. Nie potrzebował téż zdaje się nikogo oprócz swojego psa, z którym był w przyjaźni.

Pies był równie na pozór spokójny i niewinny, a miał zwyczaj milczkiem kąsać... Nawet nocą, gdy najzawzięciéj szczekał a zbliżył się kto, ustawał, przyczajał się i dopiéro dopuściwszy na podwórze, rzucał się na nieznajomego.

P. Mikołaj przebył kilka lat we wsi, płacąc regularnie dworowi, choć za każdym razem urywać coś próbował;—obyli się z nim ludzie, ale niechęć ku niemu rosła, bo był lichwiarz bezlitośny i kto mu się w ręce popadł, to go powolutku ze skóry odzierał, pobożne dając nauki, że się odeń wyzwolić nie było podobna. Ostatniego roku p. Mikołajowi jakoś gorzéj być zaczęło, skarżył się na rwanie i łamanie po kościach, nogi mu i ręce brzękły i czerwieniały. Do lekarza kazać się zawieść nie chciał, żałując pieniędzy, tém mniéj do siebie go sprowa-



Za płotem stał jeździec na koniu... (Do str. 83).

dzić. Czatował czasami na drodze czy przejeżdżającego nie pochwyci, ale i to mu się długo nie udawało; a gdy nareszcie raz zatrzymał jadącego, prosząc o radę, doktór go zbył ni tém ni owém, powiadając, że w jego wieku z téj choroby wyleczyć się już trudno, że bogaci na to tracą wiele pieniędzy i podołać biedzie nie mogą. Poszedł więc p. Mikołaj do domu z głową spuszczoną, a smarował się różnemi rzeczami, które mu baby doradzały. Kazał nawet zamawiać jednéj, ale to nie pomogło. Mniéj już coraz wychodził i to o kiju. Nie mógł się téż obejść bez sługi i nastręczyła mu się niejaka Pawlicha, wdowa, stara sekutnica, okrutna, którą tylko dla tego przyjął, że za strawę i dach, bez pieniędzy, służyć się podjęła... Tak się męczył prawie nie wstając, a gdy ludzie dla pieniędzy doń przychodzili, na łóżku siedząc ich przyjmował, i z węzełków, koło siebie pozawijanych, grosze dobywał.

Pawlicha powiadała że po nocach jęczał i w piersi się bił, i wzdychał, tak że nieraz z chaty uciekała, sądząc że go zmory lub szatany duszą.

Jednéj takiéj nocy nieszczęśliwéj, gdy Pawlicha z kądzielą siedziała przy łuczywie, palącem się jeszcze w kominie, a stary co ciemności znosić nie mógł, bezustanku jęczał na swoim barłogu, pies strasznie ujadać zaczął. Nie bardzo z początku nań uważano, bo to było jego zwyczajem iż niewiedzieć co słysząc z daleka, darmo ludzi ujadaniem niepokoił, ale wkrótce potém koło chaty dał się słyszéć tentent,—a żadna tamtędy nie szła droga, tylko wązka ścieżyna do łąk wiodąca. Pawlicha się ulękła jeszcze bardziéj, posłyszawszy głos za płotem, wołający.—Jest tam kto?!

Lękała się wyjść zrazu, aż jéj pan Mikołaj nakazał. Noc była bardzo ciemna. Za płotem stał jeździec na koniu, powtarzając hukanie i nawoływanie. Pies, aż łapami się na płocie oparłszy, szczekał zajadle. Gdy posłyszał przybyły otwierające się drzwi chaty, w któréj się świeciło, począł na babę wołać, aby do niego szła...

— Co wy tu robicie, na miłego Boga! zakrzyczała Pawlicha—tu drogi tędy niéma żadnéj; czemu nie jedziecie do wioski?

— A kat was tam wiedziéć ma, gdzie u was wieś, a gdzie jéj niéma, — odezwał się przyjezdny. Ciemno choć oczy wykól... Na światło i na szczekanie psie jechałem, bom zbłądził... Baba mu chciała do karczmy pokazać.

— Weźcie ino psa aby on mnie nie zjadł, albo ja go nie skaleczył,

rzekł podróżny. Muszę choć wytchnąć u was, bom się stłukł tą jazdą na miazgę. Dam dwa złote...

Obietnica poskutkowała, Pawlicha psa uwiązała, otworzyła furtkę i podróżny wjechał, a konia uczepiwszy do kołka, sam do chaty wszedł.

W blasku od świeczki począł się on przypatrywać chacie i jéj mieszkańcom, a oni jemu.

Mikołaja trudno było dojrzéć, tak miał i ręce i nogi, ba i twarz szmatami poobwiązywane, a popatrzywszy na podróżnego, zamiast się do niego ruszyć, jeszcze się szczelniéj pookrywał i nawet jęczéć przestał...

Oprócz téj izby i alkierza, w którym ledwie było miejsce na sypanki, worki i zastawione kożuchy, nie miała chata więcéj izb; wszystko więc co Mikołaj posiadał wisiało po ścianach. Była tam i odzież, była i strzelba stara i różnych rupieci dosyć. Wodząc oczyma po izbie, przybyły zobaczył na ścianie stary surdut z białemi guzikami, który Mikołaj snać z dawnéj służby przyniósł z sobą. Coś go tknęło, poszedł się guzikom przypatrywać, po chwili zdziwiony zapytał:

— A to się tu zkąd wzięło?

Mikołaj przyczajony czy śpiący nic nie odpowiedział; Pawlicha powoli objaśniła, że to była z dawnéj służby liberya.

Posłyszawszy to podróżny, szybko do łóżka podszedł i schylił się nad niém. Mikołaj do ściany odwrócony, udawał że usnął. Stojąc nad nim przybyły zawołał: — Hej, mospanie — obróć no się, mam się spytać o coś...

Na to nie było odpowiedzi. Pokiwał pytający głową... poczekał trochę,— a że człek był jakiś impetyczny, pochwycił leżącego za kark i ku sobie przyciągnął. Mikołaj krzyknął, a ów gość jeszcze głośniéj.

— A widzisz—nie skryć ci się przedemną.

Baba, która była téj sceny świadkiem, nie wiedziała co myśléć, sądząc że szatan na koniu czarnym po duszę p. Mikołaja przywędrował.

Chory odwrócił się, oczy niby przeciérał i niezrozumiale coś bąkał.

— Cóżeś to nie poznał mnie? groźnie zapytał stojący nad łóżkiem — może po głosie dawnego pana przypomnisz sobie...

Mikołaj dopiéro teraz cichuteńko począł:

— Dajcież mi choć skonać spokojnie. — Widzicie żem chory...

— Nic ci nie uczynię, ale ze szczęśliwego trafu co mnie tu sprowadził muszę korzystać, boś mi znikł i odszukać cię nie było sposobu...

Mikołaj milczał i stękał tylko.



Kłamiesz! kłamiesz niepoczciwy... (Do str. 85).

Podróżny to milczenie przypisując nie potrzebnéj obecności Pawlichy, wyprawił ją małym datkiem za drzwi. Szła tedy do sieni, konia niby doglądać, aby się nie urwał; — a koń prędzéj miał ochotę się kłaść niż biegać, bo okrutnie bokami robił i dyszał.

— Stary, ozwał się, po wyjściu Pawlichy, siadając na ławie przybyły, ty mnie nie zwiedziesz.—Znam cię dawno. Skonasz sobie późniéj, a teraz mi musisz odpowiedziéć...

Mikołaj się zwlókł jakoś i siadł na łożu, trzęsąc się ze strachu...

— Co zrobiłeś z dzieckiem? zapytał go podróżny... mów!

— Wychowywałem je, Bóg widzi, do ostatniego grosza się na nie wyszafowawszy, jęknął Mikołaj. Wyrosła dziewczynina pięknie, a no przyszła odra czy jakaś choróbsko i—umarła...

— Kiedy? spytał podróżny.

— Już temu drugi rok — rzekł Mikołaj. Baba, która pode drzwiami słuchała, chwytała przez szpary w nich i pytania i odpowiedzi. Zrozumiała że szło o jakieś dziecko, i że ono miało umrzéć dwa lata temu, a Mikołaj daleko dawniéj tu mieszka i żadnego dziecka nigdy przy sobie nie miał... listów nie odbiérał, nigdzie się z domu nie ruszał,—kłamał więc.

Przeszły dreszcze Pawlichę, bo pomyślała sobie że stary coś z dzieckiem zrobić musiał, a kłamstwem to pokrywał. Przelękła się niezmiernie...

— Gdzież ona umarła? spytał podróżny.

— A to nieborzątko... a to — rzekł wzdychając Mikołaj, pochowałem ją sam na cmentarzyku za wsią.

— Więc i sepultura musi być — odezwał się przybyły, a téj mi teraz koniecznie potrzeba. Zabawię więc do jutra, i od księdza ją dostanę.

Mikołajowi oczy błysły...

— Gdzie? jaka sepultura? odezwał się—czy to dzieci zapisują? Ja nawet się nie meldowałem z tém do księdza—samem trumienkę na cmentarz zaniósł i dołek wykopał.

— Kłamiesz! kłamiesz niepoczciwy — zakrzyknął przybyły... kłamiesz!..

— Prawdę mówię...

— Zobaczymy zaraz, przerwał idąc do drzwi podróżny, ale nim doszedł, zerwał się z łóżka Mikołaj o kiju i odciągnął go...

— Co pan chce robić? co? mnie i siebie gubić? Tak jest jak mówię.

— Kłamiesz — zawołał podróżny — ja muszę wiedziéć co się z dzieckiem stało, abym siebie oczyścił. Dałem ci je na wychowanie. Miałeś kobiétę wziąść i hodować dziecię aż by dorosło... na toś pieniądze wziął...

I otrząsnąwszy się od chwytającego go za rękę Mikołaja, podróżny drzwi otworzył, baby wołając...

Pawlicha, która wszystko przez szpary widziała, odskoczyła naprzód za próg, aby ją na podsłuchach nie pochwycono, potém przybiegła... Miała ona żal do Mikołaja za twarde i nielitościwe obchodzenie się, a podejrzywała go że coś mu na sumieniu ciężyć musiało; gotowa więc była przeciw niemu świadczyć.

— Dawno on tu przybył? zapytał podróżny Pawlichy.

Zaczęła liczyć na palcach, przypomniała że tego właśnie roku, córka jéj zmarła na Zielone Święta, i obrachowała łacno lata.

— A miał z sobą dziecko gdy do was przyszedł?

— Mogę choćby i przysiądz na Ewanielii — odezwała się Pawlicha — bo co prawda to prawda, że samiusieńki jeden przyszedł i nigdy nikogo przy sobie nie miał.

Mikołaj spuchłą, czerwoną pięść wyciągnął—babie grożąc.

— E! co mnie tam — dodała — ja dla waszeci sumienia mego nie zaprę i duszy gubić nie będę. Nikogo nie było...

Podróżny dobył pieniędzy i dał babie, nie potrzeba już było za drzwi ją wyprawiać. Mikołaj się zwlókł do łóżka, i siadł na niém milczący...

— Nie zmarła tu — to zmarła wprzódy... rzekł z gniewem... Chorowite było dziecko... darmom na ręku się je nadźwigał. Cóż pan myślisz że ja zbój jestem... dzieciobójca... co? że ja dziecku życie odjąłem. Tak mi Boże grzechy odpuść — tegom nie zrobił, na przenajświętszy Sakrament przysięgnę. Bóg widzi przysięgnę.

— Mów że mi całą prawdę! mów mi ją zaraz! grożąc zawołał podróżny...

— Co mam mówić! dziecko umarło... Spuściwszy głowę odezwał się Mikołaj.

— Gadaj bo będzie źle—krzyknął nalegając gość ów natarczywy, mam cię w ręku, postawię cię przed sąd...

Mikołaj oczy podniósł powoli, białka mu w nich zaświeciły i głową począł kiwać.

— A jak że by to jaśnie pan mógł zrobić? A toć by sam musiał się oskarżyć, po co mi na zatracenie i na biedę swoje dziecko oddawał.

Porwał się na te słowa podróżny, aż Pawlicha ze strachu krzyknęła ręce łamiąc, i chwyciwszy starego za ramiona, trzęść nim począł jak martwém drzewem, a Mikołaj jęczyć i krzyczyć. Pawlicha przyskoczyła nie wiedząc już co czynić, żeby kryminału nie dopuścić, bo ze starego łatwo było i rękami i strachem duszę wygnać.

— Mów mi zaraz, niegodziwcze... wołał przybyły...

Rzucił go na łóżko aż stary głową o ścianę stuknął, ale się zaraz porwał i siadł. Pawlicha zawodziła ze strachu... pies pod oknem wył... Chwila była okropna... bo i ów podróżny któremu twarz krwią nabiegła, jak bies z piekła wyglądał...

— Dziéj się wola Boża nademną! zawołał stary z łóżka... tracąc poszanowanie wszelkie dla tego, którego tylko co jaśnie panem nazywał. — Co ja się mam bać albo taić! Toś ty lepszy odemnie? Albo to dziecko było moje? Dałeś mi je tylko dla tego, żeś mu kamienia do szyi przywiązać nie mógł, boś się bał!! Co ja miałem z dzieckiem zrobić — ja, stary? sam jeden? A gdybym je wychował coby z niego było? Żebraczka... Com miał uczynić? — Sumienie moje od twojego czyściejsze? Podrzuciłem je tam gdzie inne rzucają dzieci, aby panny co siéroty chowają, wychowały... Nie było w tym zbrodni...

Przybyły zamilkł, patrząc na starego, który się miotał...

— Tak mi panie Boże dopomóż, — dodał Mikołaj, mówię prawdę.

— Ale jakiż dowód na to? krzyknął podróżny, ja potrzebuję dowodu!..

— Żadnego nie mam — odezwał się stary—rób co chcesz, albo mnie zduś tu na miejscu, albo mnie sobie do kryminału oddaj, więcéj cierpiéć nie będę — wszystko mi jedno...

To mówiąc, zsiniałą twarz, wśród któréj dwoje oczów białych świeciło, podniósł ku napastnikowi, jakby wyzywając go... trząsł się cały.

Zmilczał chwilę przybyły mężczyzna.

— Ty kłamiesz zawołał — ty jeszcze kłamiesz... przyznaj się...

— Do czego się mam ci przyznać? zuchwale odparł stary.—Niech pójdą i popytają u podrzutków, powiém rok, miesiąc i dzień i godzinę, kiedy podrzuciłem dziecko, bom je sobie zapisał... dojdą łatwo czy praw-

dę mówię. — I począł na półce, nad głowami łóżka uczepionéj, szukać staréj książki, która mu na poduszkę spadła... Wziął ją i wyciągnął z niéj kartkę, podając przybyłemu... Ten spojrzawszy na nią, nie mówiąc słowa, zadumany, schował ją do pugilaresu.

— Masz szczęście! rzekł ponuro—masz szczęście...

A gdzież pieniądze, które ci na dziecko dałem?

Słysząc to pytanie Mikołaj zębami zazgrzytał.—Ale — zawołał — jeszcze ci mam pieniądze oddawać! a tyle lat com żył jak pies, z czego bym żył gdybym ich nie przejadł?

Rozśmiał się. — Będziesz widział pieniądze... ale! będziesz widział! Patrzajcie — jeszcze mu się czego zachciało?

Ściągnął powoli nogi na łóżko, i począł się łachmanami obwijać spokojnie, jakby już przed sobą nie miał nikogo.

— Babo... zawołał schrypłym głosem—idź—zawołaj wójta, sprowadź ludzi... niech się dzieje wola Boża, ja tego dłużéj zcierpieć nie mogę i nie chcę... Pawlicha stała nieruchoma.—Podróżny téż pogardliwie spojrzawszy na leżącego... podszedł do ognia zapalić cygaro już nic nie mówiąc... jakby na niego nie zważał.

— Którędy do karczmy? zapytał Pawlichy...

Baba rada się go pozbyć była; żywo więc rozpowiadać zaczęła, że od chaty w prawo idzie drożyna, a potém rów nie głęboki; trzeba przejść po kładzce i na groblę wnijść, a groblą zawsze w prawo, podle młynka, prosto do gospody.

Wyrozumiawszy to podróżny, już i okiem nie rzucił na Mikołaja, który z barłogu swojego patrzył za nim niespokojnie. — Otworzył drzwi, wziął konia, skrzypnęła furtka i słychać tylko było chód jego i koński, aż póki na miększą łąkę nie zeszli...

W chacie po téj wrzawie panowało milczenie. Pawlicha zamyślona, patrząc w ogień stała z założonemi rękami. Stary leżał i oczy mu się tylko świeciły. Zbliżyła się doń po chwili, myśląc że mu ta kłótnia i strach chorobę pogorszyć musiały—a litość ją wzięła nad nim.

— Co jegomości teraz? jak?

— Idź precz! mruknął Mikołaj, — zabierz swoje rupiecie i żeby mi tu więcéj noga twoja nie postała...

A była noc czarna i Pawlicha nie miała się gdzie schronić. Plasnęła w ręce...

— Gdzie ja pójdę w czarną noc?? Nie doczekanie twe... Jak dzień

zaświeci to ci się prosić nie będę... Pójdę... Albo to mi tu raj taki? Wolę u żyda służyć niż u waszeci...

Poszła sobie siennik słać, i burcząc się układła — a stary słówa nie rzekł. Rano myśląc że go nastraszy, poczęła węzełki swe ściągać, a on nic nie mówił. Co dziwniéj, w nocy nie jęczał wcale, tylko oddychał ciężko. Sądziła że po takiéj łaźni jaką przebył, nie podniesie się już i bodaj zaniemówi zupełnie, ale natura była znać w tym Mikołaju osobliwsza, bo nazajutrz rano o swéj mocy bez kija się zwlókł, silniejszy niż wprzódy, i sam sobie gospodarować począł. Babę precz wygnał, drzwiami za nią trzasnąwszy i zaryglowując je.

Gdy się we wsi pokazała Pawlicha, a kumom ową noc ostanią opowiadać zaczęła, kumy mężom, mężowie zanieśli do karczmy, dworscy do oficyny i na folwark,—nazajutrz zrodziła się z tego historya taka, że tylko szubienicę było postawić i Mikołaja powiesić bez sądu... Doszło to i do plebanii i do dziedzica, zaniepokoili się wszyscy, iż mieli człowieka na gruncie tak długo, który mógł nieszczęście i kłopot sprowadzić... Rada w radę ekonom nazajutrz miał iść do chaty i rozgadać się ze starym. O podróżnego w karczmie dopytywano także zaraz, ale arędarz zaręczył, że ledwie konia popasłszy, daléj kędyś w świat ruszył, nawet nie pytając o drogę. Ekonom nim się zebrał do Mikołaja zajść, wprzódy do robotników musiał zajrzéć, na pole jeździć, wykłócić się z kilku parobkami, tak że z południa dopiéro do chaty podjechał. Pies nawet nań nie zaszczekał, furtka była zamkniętą, w koło głucho i cicho. Zlazł tedy ze stępaka uwiązawszy go do płota, a sam wszedł na podwórko. Drzwi od chaty były zamknięte, ale ze środka nie zaryglowane, tak samo drugie z sieni do izby wiodące. Otworzył je ekonom, spojrzał wewnątrz — nikogo. — Sprzęty zostały, barłóg na którym legiwał Mikołaj, jeszcze stał wyleżały i wyduszony jak był, na kołkach zostało coś łachmanów, reszta pozabierana — i starego ani śladu.

Jak mógł ów człowiek uciec, który niedawno ledwie o kiju się wlókł przez podwórko, tego trudno było zrozumiéć. Nikt téż go wychodzącego nie widział. Psa zabrał z sobą — nie rychło, bo na trzeci dzień dzieci które biegły ze dzbankami do krynicy, powiedziały iż zrana widziały kogoś z chaty idącego ze psem przez pola, a z węzełkiem na plecach, ale go nie poznały, bo stary źle chodził, a tamten i rzeźko się ruszał i młodziéj wyglądał... Znać mu ten strach i wzruszenie zamiast zaszkodzić poskutkowały, że władzę lepszą w nogach odzyskał. Dwo-

rowi się należał czynsz, więc rupiecie pozostałe zabrano i posprzedawano, ale nie było ani na połowę zaległości. Pod barłogiem poruszona była ziemia, gdzie garnuszek pono miał zakopany, w którym pieniądze chował... a Pawlicha nawet o nich nie wiedziała.

Jednego poranku gdy się go tam najmniéj spodziewano, pan Michał Skórski zjawił się w Brończéj, ale do dworu swego nawet nie zajechał, tylko wprost do leśniczego, do gaju, zkąd chłopaka wyprawił aby mu ekonoma sprowadził. A miał starego sługę, co już lat tam przebył ze dwadzieścia, i człowiek był niezły, tylko nie pomierny hulaka. Godzili się pan i sługa, a wzajem sobie wiele wybaczając bardzo się kochali.

Cyrkiewicz zaraz na konia wsiadł i do Leśniczówki pojechał... Lasu w Brończéj było dosyć, i gąszcze a moczary nad rzeką niedostępne, do których mało kto się kiedy dostał. A że wywóz drzewa z téj części lasu był trudny, ocaliło to puszczy kawał piękny i miały czas porosnąć tam sosny, jakich na całą okolicę nie było. Leśniczówka leżała właśnie na kraju tego boru, a była to chata porządniejsza nieco od wiejskich, w któréj na czas letniego myśliwstwa, pan Michał izbę sobie osobną trzymał, bo niekiedy po parę tygodni polował... Teraz mu się ona przydała wielce, choć o łowach nie myślał... Prędzéj niż się go spodziewano przyleciał Cyrkiewicz zdyszany, pojąć nie mogąc dla czego pan zamiast do dworu, wprost się udał na Leśniczówkę; już mu to wielce do myślenia dawało. Na progu spostrzegł Skórskiego, a z twarzy mógł poznać, iż mu się coś stało, nigdy bowiém nawet po chorobie tak staro, wymizerowany i straszny nie wyglądał. Weszli z nim zaraz do pańskiéj izby.

— Słyszysz Cyrkiewicz, rzekł Skórski, na nikogo nie rachuję, a w tobie jednym mam ufność. Myślę że mnie nie zdradzisz...

— Panie! przerwał Cyrkiewicz gorąco, żony ani dzieci nie mam, sam jestem, o nic nie dbam tak dalece... Każ pan co chcesz, choćby głową nałożyć przyszło.

— Głowy w istocie potrzeba, ale nie na to aby nią nałożyć — rzekł Skórski. Jedno waćpanu powiém, mój Cyrkiewicz — gdyby cię pieczono i warzono w smole, mnie tu niéma, nie było i waszmość nie wiész co

się zemną stało. Ludzie i rzeczy powrócą z Warszawy, im też nic nie mówić o mnie. Leśniczego jestem pewny — chłopca którego posyłam po ciebie odesłać zaraz gdzie chcesz, aby w domu nie był i nie paplał...

— To się rozumié — odezwał się Cyrkiewicz, choć jeszcze nie bardzo mógł zrozumiéć całéj sprawy.

— Składa się tak że ja tu jakiś czas muszę przesiedziéć aby o mnie świat i ludzie nie wiedzieli i zapomnieli. Będą przychodzić listy, proszę odsyłać je nazad z tém, iż niewiadome wam miejsce mojego pobytu...

— A już ja sobie radę dam;—odezwał się ekonom wzdychając, ale proszęż jaśnie pana, co się stało? jeśli wolno zapytać.

— Mała rzecz, głupstwo — odparł Michał—przegrało się trochę pieniędzy w Warszawie, szulery mnie podeszli... Musiałem dać weksel... niechże dochodzą kiedy potrafią... naprzód tego co weksel wydał, a potém na wiosce pieniędzy... Niéma i chwili do stracenia nim się co rozpocznie, dodał, jedź waćpan po Dygowskiego, temu usta pieniędzmi zamknę aby nie gadał; a trzeba zrobić tak, aby na wiosce nie było co wziąć...

Przeszedł się po izbie p. Michał jakoś już na duchu trochę dźwignięty...

— Ale tu jaśnie panu trzeba co przysłać rzeczy, pościeli, ba i do życia; rzekł Cyrkiewicz...

— Chyba tak, aby w domu ani znać było co się wzięło, ani o tém kto wiedział. Rozumiész waćpan... Jakby się wydało że tu jestem, wszystko przepadnie. Jedź po Dygowskiego, mów z nim na cztéry oczy, wsadź go na bryczkę i przywoź. Masz co piéniędzy?

Cyrkiewicz usta trochę skrzywił. Muszą się znaleźć. Sprzedam kopę sosen...

Poszeptali z sobą; ekonom chłopca dla utrzymania tajemnicy z listem wysłał do stryjecznego brata o mil sześć, a bratu zalecił aby sobie z nim robił co chce, a do domu go nie puszczał. W godzin kilka jechał po Dygowskiego, który był prawnikiem Skórskiego oddawna. Należał on do tego kółka ludzi życie lubiących, jakimkolwiek bądź kosztem, — do którego i p. Michał Skórski się liczył. Karty, butelka, przyjemne próżniacze towarzystwo, składały się na żywot i sprawy pana Godziemby-Dygowskiego, z powołania prawnika, a niegdyś młodzieńca wielkich nadzieij. W istocie był to człowiek zdolności rzadkich, obję-

cia łatwego, wielkiéj i trafnéj logiki, o którą u nas niezmiernie trudno—ale wszystko to niszczyła lekkomyślność i rozpusta... Wyzwolenie z pod pewnych praw moralnych, jakkolwiekby się one mogły zdawać mniéj może ważnemi, — prowadzi zawsze za sobą sceptycyzm względem praw tych w ogóle. Tym wyłomem w sumieniu wchodzą doń sofizmata, które burzą całą jego budowę...

— Pan Godziemba-Dygowski, ani się téż spostrzegł lekceważąc z razu spokój rodzin i święte węzły co je spajają — dopomagając przyjaciołom do wywijania się od wypłat, długów i zadość uczynienia zobowiązaniom — jak wkrótce potém z równą obojętnością począł wszystko co poczciwe, zacne i szlachetne lekceważyć i omijać. Gotów był jako prawnik i obrońca, nie już bronić uciśnionych i niewinnych, ale uciskających i występnych. Nie było to w nim zepsuciem można powiedzieć—ale nie przebaczoną, bezwiedną płochością. W śmiech nawykł obracać wszystko, ludzi zacnych i rzeczy święte...

Gdy mógł uczynić dobrze, robił to z równą obojętnością z jaką złe popełniał. — Olbrzymie zdolności łączyły się w nim z niezmierną lekkomyślnością.

Ze Skórskim lubili się jak dwaj ludzie, którzy jedne mają wady, a nie obawiają się by sobie wzajem zawadzać mieli.

W nocy już przybywszy Cyrkiewicz do miasteczka, zastał na nieszczęście u Dygowskiego kawalerski wieczorek. Nie pokazując się wcale, aby na siebie nie zwrócić uwagi, wywołał go zręcznie i opowiedział mu rzecz całą. — Na miłość Boga, niech pan tylko nic nie mówi, dokąd jedzie, ja z bryczką czekam w zajeździe krakowskim...

Dygowski powrócił do gości ze starym listem wyjętym z kieszeni, a niby odebranym w téj chwili, i z twarzą zafrasowaną, oznajmując im że w pewnym pilnym interesie wezwany jest za Bug do Porycka... Goście dopiwszy ponczu i pokończywszy rachunki wynieśli się zaraz do doktora Weissa, który ich zaprosił, a w godzinę Dygowski otulony płaszczem, siadał w zajeździe krakowskim na bryczkę i ruszał manowcami do Leśniczówki.

Czekał nań z herbatą Skórski...

Uściskali się serdecznie.

— Dygowski, rzekł p. Michał, wlazłem po uszy w błoto, trzeba mnie ratować. — Piérwsza rzecz mnie tu niéma i nie było, pojechałem do Warszawy i — nie powróciłem. Ty nie wiész nic więcéj.

Na Brończę wydałem weksel szulerowi, który mnie haniebnie ograł na 25,000 rubli.

Dygowski syknął. — Niech cię kaci porwą.

— Niech jego porwą nie mnie, przerwał Skórski. Na Brończéj jest Towarzystwo, są długi, obrachowawszy wszystko zostaje może trzydzieści albo 25,000 rs. czystych. — Otóż idzie o to aby Brończę zamazać tak aby... aby na niéj nie było nic...

— Nie jest to łatwem; — rzekł Dygowski siadając.

— Dla głupich wszystko trudne, ale nie dla ciebie, mój drogi,— kończył Skórski. Mnie się widzi że antidatowany skrypt, na summę 30,000, wniesiony do akt wszystko pokryje...

— Ale komuż go wydasz?

— Choćby tobie...

— Ja nie mogę.

Zaczęli myśléć i rzucać nazwiska... męczyli się długo, stosownego nic niepodobna było wynaleźć. Dygowski gotów był do owego kondyktu, ale na swe imię przyjąć go nie mógł. Warunkiem było ażeby dług prawdopodobnym się wydawał... Po długich naradach, nie było innego sposobu nad użycie Cyrkiewicza, boć nie jeden tak ekonom bogaci się kosztem pana i jego własne mu potém pieniądze pożycza, a często i z majątku wypiera. Stanęło więc na tém aby Cyrkiewicz zastraszony niby zniknięciem pana, stare różnéj daty skrypty, teraz wniósł na hypotekę...

Układano summy, daty i gwarząc zabawiono do wieczora. — Dygowski nasłuchał się opowiadania o Warszawie, wypili parę butelek wina, ściągnięto i ekonoma dla wyuczenia go roli... i Dygowski świeżemi końmi powrócił do miasteczka...

Gdy tu się tak misternie składały rzeczy, w Warszawie zniknięcie Skórskiego na pozór żadnego prawie nie uczyniło wrażenia. Generał wszedł do pokoju żony, ze złośliwym uśmiechem na ustach.

— Uciekł, rzekł krótko — poznał widać co się święci. Mniejsza o to... byle nie powracał—i bylem na jego wiosce znalazł moje pieniądze...

Generałowa stała niema.

— Dokąd że mógł uciec? nie gdzieindziéj jak do domu...

Generał coś mruknął, spojrzał na żonę, która w fotel upadła zamyślona, i wyszedł. W chwilę potém, wyjrzawszy oknem aby dopatrzéć gdy mąż wyjdzie do miasta, Natalia włożyła kapelusz, narzuciła zasłonkę i wymknęła się drugiemi drzwiami do Teresy. Wszystkie jéj plany zostały zniszczone, łzy żalu i rozdrażnienia płynęły po jéj twarzy, biegła raczéj niż szła do przyjaciółki, a gdy się drzwi otworzyły wpadła tak zrozpaczona, iż Teresa przelękła porwała ją w objęcia, aby ukoić i ukołysać...

— Co ci jest znowu? moja droga? co ci się stało?

— Uciekł! jednėm słowem odpowiedziała płacząc Natalia... Miałam nadzieję dobyć z niego wiadomość o mojém dziecięciu... Byłam u niego sama, błagałam... nie dobyłam z niego nic... a jednak on musi wiedziéć co z niém uczynił! Uciekł a z nim nadzieja odzyskania téj po któréj płaczę... Uciekł...

Mówiąc to generałowa odwróciła się, i dopiéro postrzegła, że siostra jéj siedziała obok i słuchała. Słysząc wyraz ten — Uciekł, porwała się nagle z krzesła, oczy się jéj zapaliły ogniem, drgnęła i powtórzyła napół obłąkana.

— Uciekł — ja go ścigać muszę! On tu był... ja znajdę—dosięgnę ja jedna... Idę... znajdę.

Natalia odwróciła się ku niéj razem z Teresą, ale żadne wyrazy, ani prośby, ani obietnice nie mogły jéj poskromić i uspokoić. Obłąkanie zdawało się powracać z dawną gorączką.

— Mnie trzeba iść za nim... wołała — ja wiém gdzie go szukać... On w Brończéj, nie może być gdzieindziéj, ja drogę wiém... Gdzie on tam i ja... Wyrywając się z rąk wstrzymującym ją, otworzyła drzwi z krzykiem, chwilę stała na korytarzu, jakby przypominając coś sobie, rzuciła się na wschody do swéj izdebki... w tém Lizka nastręczyła się Natalii.

— Dziecko moje, zawołała.... ta biédna kobiéta kocha ciebie — posłucha cię może, idź, bież, proś ją aby z nami została...

Dziecku tego było tylko potrzeba, pędem pobiegła na wschody. Drzwi izdebki w któréj mieszkała Róża stały otworem, ona w środku niéj zrzucała suknie, szukając starych swoich łachmanów i kija. Na podłodze leżały porozrzucane rzeczy, które w pośpiechu pościągała z komody i łóżka...

Jakieś niezrozumiałe wyrazy, ze śmiechem konwulsyjnym mieszane, wyrywały się z ust... Dziecię nieco przestraszone stanęło w progu...

— Co wy robicie... zawołało.

Srébrny głosek dziecka przejął ją strachem, drgnęła i krzyknęła...

— Co ty tu robisz, dziecko — zawołała wybuchając łkaniem. Po coś tu przyszła patrzéć na nieszczęśliwą... W twoim wieku tyś znać niepowinna że są takie dole na świecie i takie jak ja istoty... Idź — dziecko moje, uciekaj ztąd... zostaw mnie. Bóg z tobą... idź.

Z rękami obiema wyciągniętemi zdawała się ją odpychać. Dziecię patrzyło ciekawie, przelękłe nieco, lecz że mu wstrzymać ją kazano.

— Nie pójdę ztąd—rzekła Lizka — musicie się uspokoić, zostać... bo ja was nie puszczę. Doprawdy was nie puszczę... Ja wiém co was może uspokoić... Zmówimy litanią razem... Prawda?...

Róża się wstrzęsła...

— Niegodne w téj chwili usta moje i serce z tobą razem się modlić. Idź dziecię moje... Mnie nic wstrzymać nie może, mnie ciągnie przeznaczenie, mnie woła głos, którego słuchać nawykłam...

Dziecko się zamyśliło.

— Ale nie — ozwała się zbliżając zwolna do biednéj obłąkanéj i przemagając wstręt a obawę—żadnego głosu niéma... nic nie ciągnie... potrzeba się pomodlić, usiąć spokojnie... Ja tu przy was na stołeczku siądę... nie dam wam o smutnych rzeczach myśléć i tak to przejdzie.

Słuchając szczebiotania tego, pod urokiem jego stała obłąkana łagodniejąc i napawając się mową dziecięcą.

Zdawało się nawet że ulegnie... Posłuszna, zaprzestała zrzucać suknie, okryła się, usiadła. Szczęśliwa ze swego tryumfu Lizka wzięła stołeczek, przysunęła się ku niéj i patrząc jéj w oczy ciągle swe rady powtarzała.

— Tak to dobrze, ja was będę kochała i mama i piękna ciocia generałowa... Tylko nie trzeba tak smutnie wykrzykiwać... bo może to bolić i mamę i ciocię... Żebyście wiedzieli jak desperują...

— Moje dziecko, z uśmiechem rzekła przychodząc do siebie i płacząc razem Róża—po cóż ja tu komu? Wszyscy boicie się mnie, waryatki — ja sama siebie się lękam... Na co ja komu potrzebna? Zawadą jestem i ciężarem...

— Otoż nie, kiedy pani grzeczna, to panią jak mnie, wszyscy kochają, i ja — bardzo.

Róża chciała się schylić by ją pocałować; myśl ta że w dziecku wstręt obudzić może, wstrzymała ją — płakała po cichu, ze łzami tro-

chę gorączki spłynęło. Lizce pilno było się swoim tryumfem pochwalić, ale nie śmiała odejść czując instynktowo, że z nią może ustąpić wrażenie. Siedziała więc, nie bogata w słowa, powtarzając jedne, a Róża słuchała więcéj dźwięku jéj mowy niżeli tego co mówiła...

Minęła chwila—weszła generałowa i Teresa. Zobaczywszy ten cud stanęły obie z daleka... obłąkana zarumieniła się. Spojrzenie na siostrę zdawało się nagle przywodzić jéj na pamięć wszystko co od niéj słyszała—wzruszenie wracało... Lizka patrząc jéj w oczy... położyła paluszek na nosku i groziła.

— O! znowu! znowu! zawołała... a ja was proszę być spokojną...

Natalia chwyciła dziecię w uścisk, przysiadła do niéj na ziemi z czułością i łzy mając w oczach szeptała...

— Czemuż z tą niewinnością aniołka—dziecięcia, zostać na całe życie nie można... czemu nas tak psuje świat... czerni każdy dzień sadzą spalonych myśli. O dziecię moje — bądź jak najdłużéj dziecięciem...

— A! proszę pani — przerwała Lizka naiwnie, a ja właśnie takbym prędko, prędko chciała wyrosnąć...

Smutny uśmiech przebiegł wszystkie twarze. Ten epizod z wychowanką zdawał się szczęściem oddziaływać na Różę. Szał w który była wpadła, ustępował... Nie mówiono tylko o dziecięciu i o rzeczach obojętnych. Nareszcie generałowa przystąpiła do siostry, szepcząc cicho.

— Różo, proszę cię... bądź spokojną... Spuść się na mnie... Nie uciecze on przed nami, ty go ścigać nie potrzebujesz...

Jakby przyjmując naukę i rady, nie odpowiedziała na nią nic Róża i spuściła oczy. W przekonainu iż nic już nie zagraża siostrze, Natalia zabrała się powracać do domu... Lizka i panna Teresa zeszły na dół, bo się na wieczór spodziewano profesora. Uciszyło się wszystko w domu...

Dziecię po kilka razy biegało na górę, podsłuchiwać pode drzwiami Róży, ale cicho było w jéj izdebce... Sądzono iż znużona, pomodliwszy się poszła na spoczynek. Nazajutrz rano nie znaleziono jéj nigdzie. Na stos zrzucone suknie, z których najnędzniejsze wybrała, świadczyły że opuściła mieszkanie, że szał dawny znowu nią owładnął.

Stało się to jeszcze z wieczora, gdy profesor czytał pannie Teresie jeden z dramatów Wiktora Hugo;—po wschodach na palcach spuściła się ubogo ubrana kobiéta, — zatrzymała chwilkę u drzwi, żegnając je wzrokiem, i spiesznie dobiegłszy do bramy, wyruszyła na ulicę. W sąsiednim szynku, przed którym stały dorożki i gdzie woźnice popijali „trosk zapo-



...i nocą pociągnęła dalej a dalej... (Do str. 97).

mnienie" — Róża z gorączką długo hamowanego nałogu dopadła kieliszków...

— Dajcie! zawołała cicho nie patrząc na nikogo.

Gospodyni z litością na nią spoglądając nalała, — kobiéta ręką drżącą poniosła do ust, wychyliła duszkiem, rzuciła piéniądze na stół i uciekła...

Śpiéwając poszła w dalszą drogę ulicami. I przeszła most i Pragę, i nocą pociągnęła daléj a daléj, ku znanym polom i lasom...

Kilka dni trwała ta podróż, przerywana odpoczynkami po karczmach i snem, po szopach, z węzełkiem pod głową. Ze stajni woźnice ją wypędzali, biczami smagając; na drodze patrzano za idącą... Gdy ludzie na nią oczy zwracali, zwykle stawała, biorąc się w boki dumnie i łajała. Snem, marzeniem, bólem, wędrówką machinalną, spoczynkiem po lasach na mokréj ziemi, przeszły kilka dni włóczęgi aż do znanego miasteczka. Tu już była jak w domu, znano ją — i gdy się pokazała wśród piérwszych domostw, a psy na nią ujadać zaczęły, przybiegały dzieci wołając—potańcuj nam Cześnikówno! zaśpiewaj panno Różo! a na wołanie dziecinne zrywała się do skoków, i śmiała się małym prześladowcom.

W karczmie Chaim stary zdziwił się zobaczywszy ją, mieli bowiem Cześnikównę za umarłą, i wieści chodziły że się utopiła. Siadła na ławie zmęczona.

— A gdzież to panna bywała? Spytał Chaim, że jéj tu tak długo widać nie było?...

— Po świecie chodziłam, po świecie wędrowałam, a co komu do tego? Przyjmowali mnie pięknie krewni w Warszawie, i opływałam we wszystko, ale mi się za wami i za lasami stęskniło... taki bo to niéma jak swoboda...

— Żydzie, daj no wódki!

— A jest czém zapłacić? zapytał Chaim niedowierzająco.

— Kiedyżem to ja ci się zadłużyła? ofuknęła Róża. Szabasówki daj, żeby jak ogień paliła...

Żyd przyniósł posłuszny.

— Co tu u was słychać? spytała. Kto umarł, kto się urodził, a kogo licho wzięło... Cóż pan z Brończéj? czy już zdrów?

— Pojechał ci dawno do Warszawy, rzekł żyd, i słyszę konie i ludzi odesłał, sam nie powrócił.

Róża rozśmiała się.

— A gdzieby się podział! zawołała... gdzieś on tu musi być! ho! ho! Jak go tam nie stało, to go tu szukać...

— A zkądże panna wié że go tam nie stało? zapytał żyd zdumiony...

— Bo ja wszystko wiém — odparła Cześnikówna — na jawie tom głupia albo pijana, a no we śnie wszystko widzę jak na dłoni. Ho! ho! on tu gdzieś być musi!

Ruszył żyd ramionami... Cześnikówna znużona ręce podłożyła pod głowę i zasnęła na stole, a spała tak do nocy. Chcieli ją wyrzucić z karczmy ale się nie dała, i pozwolili jéj tak spać do rana... Jak świt poczęto dzwonić w kościołku, Cześnikówna oczy przetarła, obejrzała się po izbie, westchnęła i wyszła... Ranek był szary, mglisty i smutny, dzwonek jęczał żałobnie, około kościołka oprócz dziadka nikogo... Róża weszła na cmentarz a z niego do kościołka, klękła w kruchcie i z podniesionemi rękami poczęła się modlić prawie głośno i płakać...

Wyszedł ksiądz ze mszą świętą, ona na kolanach wpełzła do kościołka... Tu padła krzyżem i leżała tak przez mszę całą. Odprawiał ją trochę teraz zdrowszy ksiądz proboszcz staruszek, który zobaczywszy Cześnikównę, gdy wyszedł do zakrystyi, posłał po nią organistę. On jeden był wtajemniczonym, on jeden tu znał jéj dzieje i przebolałe dni ciężkie.

Z nim ona jednym mówiła inaczéj jak z ludźmi ale jego unikała... Tym razem powlokła się zawołana, stanęła we drzwiach na kiju oparta i milcząc czekała pytania.

Łagodnie przystąpił ku niéj staruszek.

— Bóg z tobą, rzekł swoim obyczajem — co się stało wam, gdzieście byli tyle czasu, myślałem że nareszcie Bóg się nad wami ulitował i dał wam kąt spokojny, abyście téj włóczęgi poprzestali...

— Gdziem ja bywała, trzęsąc głową odezwała się Róża — a mój ojcze! ja sama nie wierzę sobie gdy myślę gdzie to ja zaszłam, gdziem była i jak się tu nazad dostałam...

Zaczęła wzdychać, trąc twarz ręką...

— Chodziłam za tym djabłem co do Warszawy pojechał, bo mi pan Bóg przykazał ażebym się za nim włóczyła, jak mara aż do śmierci...

Głos zniżyła. — Znalazłam tam siostrę, (poczęła się śmiać) chcieli mnie z nim ożenić, ale uciekł a ja za nim znowu, bo muszę — bo muszę..



Niepoprawiona jesteś, zła... (Do str. 99).

— Jego tu niéma — odparł ksiądz, i już by ci dosyć było tego wałęsania się po świecie...

— A! nie — odparła kobiéta — kiedy pokuta to pokuta... muszę za grzech pokutować, a już cięższéj niepodobna jak ja... Poszedł on i ja za nim... On tu musi być! Ja go znajdę — kryje się, ale to nic nie pomoże, ja go i w piekle wyszukam...

— Gdzież by był? i dla czego by się miał chować? rzekł staruszek.

— Albo ja wiém! Zląkł się generałowéj — rzekła Róża, bo moja siostra teraz generałową! dodała. Jedne losy a nie jedno szczęście... ale i ona nie w raju. Nie!...

— Dawno was bardzo nie widziałem, przerwał staruszek... Obwiniali was tutaj żeście wy pono konia mu nastraszyli w nocy umyślnie, gdy się o mało nie zabił? A godzi się to?

— Ojcze kochany, schylając się do sukni staruszka i całując ją zawołała Róża — powiém jak na spowiedzi... Koniam ja nie straszyła, alem pana za nogę z niego ściągnęła... myślałam że się o drzewo rozbije... alem tego nie dokazała.

Ksiądz ręce załamał.

— I śmiesz potém modlić się w kościele, ty co nauczona bozkim przykładem nieprzyjacielowi przebaczyć nie umiész, a ścigasz go niepoczciwą zemstą swoją.

— A kiedy mnie pan Bóg na to przeznaczył, odparła żywo Cześnikówna. Pamiętam jak dziś, a było to dawno, gdym jeszcze płakać umiała i usnęłam z płaczu... Zjawił się przedemną starzec w światłości i rzekł mi:—Idź i mścij się nad nim, a nie opuszczaj go aż do zgonu...

— Sen, mara! głupstwo! z oburzeniem zawołał proboszcz... Jak możesz pleść takie rzeczy... Dość już tego obłędu i szaleństwa... dość.— Cierpiał on, cierpiałaś ty... Bogu zdaj sprawy swoje... Znajdę ci przytułek.

Kobiéta głową trzęść zaczęła i bić się w piersi.

— Ojcze, dobrodzieju! nie mogę! Muszę się za siebie mścić, za siostrę, za jéj dziecinę, którą gdzieś ten człek zaprzepaścił, i za matkę co z rozpaczy umarła. O tego nie dosyć...

Proboszcz był oburzony w końcu.

— Niepoprawiona jesteś, zła... Patrz, zawołał, żeby ci Bóg tak kiedyś twoich win przepuścić nie chciał, jak ty nie przebaczasz jemu...

— A toć ja wiém że w piekle gorzéć muszę—westchnęła Cześnikówna, ja i tu już początek jego mam na ziemi, i byle on tam był także, bylem mogła patrzéć na jego męczarnie, to mi i piekło osłodzi...

Podniosła głowę śmiejąc się; — szał ją opanowywał.

— Niech się już dobrodziéj nie męczy dla takiéj jak ja grzesznicy — dodała... takiéj duszy jak moja i anieli z błota nie wyciągną... Do nóżek się ścielę... ojca dobrodzieja... Niech będzie pochwalony...

To mówiąc otworzyła drzwi zakrystyi i uciekła...

W Brończéj nie było ani słychu o panu;—z Warszawy przyszły pisma urzędowe, które nazad zwrócono z poświadczeniem urzędu, iż o miejscu pobytu p. Michała Skórskiego nie wiedziano.

Tymczasem Cyrkiewicz z wierzytelnościami jakie na Brończéj miał poszedł do sądów, i umiał tak chodzić około swéj sprawy, że z pomocą Dygowskiego na majątku sekwestr położył, a wieś dostał w administracyą. Przeciągnęło się to nieco. Przysłano z Warszawy w imieniu generała pozew o dług, ale gdy przyszło go mieścić na hipotece, nie było już nań w Brończéj nic oprócz ruchomości, które licytowano za podatki zaległe, a Cyrkiewicz stając do licytacyi wszystko zakupił.

Umocowany generała dal mu znać, że darmo by koszta łożył, bo tu już z próżnego nie było co nalewać.

I znowu przez czas jakiś cicho było.

O panu Skórskim najrozmaitsze chodziły wieści, że uciekł za granicę, że w drodze życie sobie odebrał, że do klasztoru wstąpił, — słowem plótł każdy co kto chciał... a nikt o niczém nie wiedział... Gdy nastała wiosna i początki lata, ekonom objeżdżając lasy spotkał w nich znowu dawniéj już widywaną Cześnikównę. Cała jéj historya była mu dobrze wiadomą.

Właśnie do Leśniczówki, do Skórskiego, z raportem jechał, gdy zboczywszy w las, bo mu się zdało że siekiérę usłyszał, w dziupli starego dębu, w którym Róża obrała sobie oddawna mieszkanie letnie, zobaczył ją wyglądającą z głową kwiatkami upstrzoną. Cześnikówna, która nie dawno do tego schronienia wróciła z leśnéj karczemki, na widok Cyrkiewicza uśmiechnęła się, a on podniósł bat w górę i zakrzyczał:

— Tylko ty mi się tu tłucz po lesie, stara wiedźmo! dam ja ci!!

— A nie widzisz ślepy krecie, żem dziś ja panią tutaj ..

Cyrkiewicz poczerwieniał od złości.

— Ja cię tu w lesie nie ścierpię...

— Kochanie moje... Krwi sobie nie psuj... ja tu siedziałam tyle lat i siedziéć będę... Cóż ja ci złego robię... trochę jagódek narwę, grzybka sobie na suchych gałązkach upiekę — i po wszystkiém... Gdybyś miał sumienie to byś mi dał pokój... a jak mi dokuczysz... to naślę ci chorobę, zaczaruję, zawiążę węzła w zbożu na twoję głowę i kaci cię wezmą, tak jak twego pana...

Cyrkiewicz który się niczego nie bał i stawał z oszczepem na niedzwiedzia nie drgnąwszy — czarów się lękał; pogroził więc tylko ręką siedzącéj w dziupli Róży i odjechał powoli. Ona śmiała się i za oddalającym śpiewała:—A nie bądź okrutnym, srodze bałamutnym, kochanie... Nie rzucaj niebogi w tym stanie!!

Długo jeszcze piosnka i śmiech brzmiały mu w uszach...

— A czego on u kata mało nie codzień jeździ do Leśniczówki! poczęła, wyglądając za nim, myśléć Cześnikówna. W tém cóś jest. Chyba tam kochankę ma, ale by jéj przecie nie ukrywał, trzymał by ją we dworze!

Myśl jak błyskawica przeleciała jéj po głowie, wychyliła się ze swego dębu... i po naróściach spuściła się na dół... obejrzała dokoła po drzewach aby bez drogi trafić do chaty leśnika, i cicho, nie odzywając się, przekradając, powoli pociągnęła lasem, kierując po znanych sobie bagnach, zawałach i uroczyskach.

Cyrkiewicz jechał drożyną, która okrążała moczary i błota. Cześnikówna znała tak dobrze miejsca, któremi prawie sucho przejść było można, że o pół sobie drogę skróciła, i gdy się znalazła nieopodal chaty leśnika, jeszcze ekonoma tu słychać nie było.

Leśniczówka stała w starym borze ale gęsto podszytym krzakami leszczyny i kaliny... Łatwo się tam było zaczaić i podkraść, bo ją tylko z tyłu płot i mały ogródek otaczał, na którym trochę nędznego rosło warzywa. Wybrawszy sobie miejsce dogodne, Cześnikówna zasiadła naprzeciw drzwi samych, aby widziéć mogła co się w dzień dziać będzie. Wprawdzie zaraz po jéj przyjściu, gdy zaszeleściały gałęzie, jeden z gończych psów leśniczego, wybiegł przed próg i szukać począł— lecz wprędce ziewnąwszy wstał i na przyźbie się położył, gdzie słońce pięknie grzało. Nie rychło dopiéro tentent konia oznajmił nadjeżdzają-

cego Cyrkiewicza, który świszcząc, powoli się zbliżał. Pies zerwał się znowu, szczeknął i siadł nastawiwszy uszy... Na ścieżynce ukazał się pan ekonom, a ze drzwi Leśniczówki wyszedł naprzód gospodarz i wyjrzał, potém zapewne znać dał panu, bo téż i pan Michał w sukmance, z cygarem w ustach, stanął na progu...

Cześnikówna zobaczywszy go o mało nie krzyknęła z dzikiéj radości, powstrzymała się jednak, ręką cisnąc usta... oczy jéj pałały dziko, przychyliła się aby widziéć lepiéj i słyszéć mogła.

Cicho było dokoła, małym wiatrem poruszane wysokie sosny ledwie głucho szumiały w górze; każde więc słowo wyraźnie do uszu jéj dochodziło.

Cyrkiewicz zsiadł zdejmując czapkę, papiéry jakieś miał w kieszeni.

— Jak się masz — rzekł Skórski postępując ku niemu — cóż Dygowski? co z Warszawy? jak tam sobie rady dajecie?

— A nic—odparł ekonom — złego, chwała Bogu, niéma nic—po staremu! Generał nas papiérami obsyła, ale mu to się na nic nie zda... Myślę że w końcu da nam pokój..

— Ależ tak wiecznie trwać nie może,—zawołał Skórski, ja się tu uduszę w téj Leśniczówce. Za próg nie śmiem się wychylić, zapolować nie mogę chyba późnym wieczorem aby mnie kto nie zobaczył... umiérać trzeba z nudów, a jeden Dygowski coby przez litość powinien zajrzéć, nie przyjeżdża.

Cyrkiewiczowi na myśl pryszła Cześnikówna, którą świéżo widział i namyślał się czyby o niéj pana nie przestrzedz. Wiedząc wszakże jak go ona niecierpliwiła i drażniła, a nawet wspomnienie o niéj było mu nieznośném, i zważając że z chaty nie wychodząc spotkać się z nią nie może, — wolał zamilczéć.

— Dygowski, rzekł, nigdy czasu nie ma... Prosiłem go ale mi powiedział — nie tak to łatwo...

— Przecież to się raz jakoś skończyć musi, mówił Skórski ziewając, nie mogę tu na pustyni życia dokonać. Trzeba cóś poradzić.

Usiadł na przyźbie p. Michał.

— Siadaj Cyrkiewicz, rzekł — ja tu dni i nocy medytując coś wymyśliłem: trzeba byś o tém pomówił z Dygowskim...

Ekonom słuchał z wielką uwagą.

— Generałowi się sprzykrzy wreszcie i płacić i posyłać. Gdy się przekona że tu dla niego niéma nic, trzeba go zażyć z mańki. Poje-

dziesz waćpan do Warszawy. Jesteś tak jak dziedzicem Brończéj, chcesz być spokojnym, wejdziesz z nim na swoję rękę o nabycie długu... Dasz mu do kata, odczepnego pięć tysięcy rubli, dostaniesz odemnie za fatygę trzy—i interes będzie ubity... Gdy dług przeleje na ciebie, przynajmniéj z nory będę mógł wyjść.

— Byle się na to zgodził naprzód Dygowski, potém ten przeklęty generał — odezwał się ekonom, bardzo by to była dobra rzecz...

— Mnie tu już i cierpliwości brak i zdrowia—zawędzę się, mówił Skórski—nie wytrwam...

Mówili tak z sobą długo, a Cześnikówna słuchała... Nie ruszyła się, nie drgnęła, aby się nie zdradzić, przyczaiła, przypadła i wyczekawszy gdzie Cyrkiewicz na koń siadł, a pan Michał nazad poziewając do Leśniczówki wszedł, dopiéro się rozprostowała. Chciała na tryumf zaśpiewać, ale się powstrzymała; uśmiechała się tylko sama do siebie głaskając ręką po twarzy.

— Jaka ty, kochanie moje, rozumna, mówiła sama do siebie,— tylkoż miéj taki rozumek do końca...

Cichutko z krzaków się wydobywszy, puściła się znowu borem, ku swojéj dziupli, w któréj zwykła była nocować... Tu wlazłszy, zwyczajem swym uklękła, pomodliła się, potém łachmanami okryła i w pół siedząc, pół leżąc, z głową o wypaloną ścianę dębu opartą... usnęła, a przez sen śpiewała i mruczała noc całą.

Promienie wschodzącego słońca, wdzierające się do lasu przez wydarte polanki, zbudziły Różę... Wstała prędko, spuściła się z wyżyny i szła dróżyną, która prowadziła od lasu do Brończéj i od miasteczka...

Nie była jeszcze pewną co ma uczynić, ale jéj słodko było że znowu ma w ręku nieprzyjaciela... Traf ją wprowadził na drogę, siadła pod krzyżem... czując się zmęczoną...

Drogą słychać było szybko jadącą bryczkę pocztową ku Brończéj. Spojrzała... Siedział na niéj ogorzały, niemłody mężczyzna, niemiłéj twarzy... Zobaczywszy żebraczkę przy krzyżu, kazał zatrzymać konie...

— Dobrze tędy do dworu? zapytał rzucając jéj kilka groszy.

— Do Brończéj? a juścić! odparła żebraczka, ale tam pana niéma.....

— Podróżny ramionami ruszył... dał znak woźnicy i jechał daléj. Cześnikówna wstała i także się w tę stronę powlekła...

Był to generał Hochwarth przybywający sam dla wyzyskania swo-

jego długu i obejrzenia wioski. Miał zamiar ją nabyć, domyślając się kondyktu jakim ją okryto... Rachował na to że broniąc wsi, coś mu zapłacić będą musieli. Gdy bryczka pocztowa zatoczyła się w dziedziniec, trawą porosły i zdziczałemi chwastami, Cyrkiewicz stał przed oficyną z fajeczką. Z opisu Skórskiego domyślił się generała, człowiek był bystry i długiego czasu nie potrzebował by wiedziéć jak ma sobie postąpić.

Hochwarth wydobywał się z bryczki....

— Czy pan tu jesteś gospodarzem? zapytał...

— A tak... Cyrkiewicz jestem...

— Bardzo się cieszę, ja generał Hochwarth; domyślasz się waćpan z czém przybywam...

— Z czém to ja wiém, ale zdaje mi się, panie generale, że fatyga daremna. Z próżnego nikt nie naleje...

— Zobaczymy — odezwał się Hochwarth.—Wioska na licytacyi może pójść wyżéj niż się zdaje — a bez sprzedaży jéj się nie obejdzie.

Cyrkiewicz zmilczał. Chciał być grzecznym na wszelki wypadek wziąwszy klucze od zamkniętego domu, bo sam w oficynie z nałogu mieszkał, wprowadził do niéj pana generała.

Pusto tu było, zatęchło i nic od czasu wyjazdu Skórskiego nie zdawało się poruszoném.

— Gdzież się wasz pan, były dziedzic mógł podziać—odezwał się generał, postarałem się o listy gończe za nim. Dotąd go nie odkryto? Jak pan myślisz?

— Nie umiem odgadnąć; — zimno odparł Cyrkiewicz — świat széroki. Któż zresztą wié czy jest przy życiu...

Mówił to tak naturalnie, iż niktby go nie mógł posądzić nawet, że wczoraj z nim rozmawiał.

Przyszła mu właśnie na myśl ta rozmowa i zdało mu się, że właśnie teraz może postąpić wedle życzenia Skórskiego.

— Dla nikogo to — mówił — nie jest smutniejszém jak dla mnie. Utopiłem tu całą moję krwawicę, anim dziedzic, ani dzierżawca, wieczny niepokój... Już gdyby można choć z licytacyi nabyć bardzo bym rad...

— Ale i ja do licytacyi stanę — dodał generał...

— A panu to na co? spytał Cyrkiewicz.

— Wioska mi się podoba. — Polowanie lubię, mówią że są lasy... Pieniądze leżące mam...

Spojrzeli sobie tedy w oczy, Cyrkiewicz uczuł że to był gracz, któ-

remu on nie sprosta. Hochwarth począł rozpytywać o gospodarstwo, o szczegóły, naturalnie w jak najgorszém przedstawiające się świetle... Nic go to nie zrażało...

W parę godzin przybyli urzędnicy, których generał wezwał, przyjechał i Dygowski jako dawniéj umocowany przez dziedzica. Ten mógł się mierzyć z generałem, i Hochwarth wybadawszy go trochę... odciągnął na bok...

— Wioskę doprowadzę do licytacyi i kupię,—rzekł—czuję w tém mataninę...

— Niech pan kupuje—odpowiedział Dygowski, niech pan pędzi— wieś dobra... ja nic przeciwko temu nie mam...

Zbił go z tropu tą obojętnością.

— Gdzież się Skórski podział? pytał w końcu — jak się panu zdaje?

— A cóżby on poradził, choćby tu i był? odezwał się mecenas.— Ja dawno w nim widziałem zniechęcenie do życia — sądzę że je sobie odebrać musiał...

Rozmowa cały wieczór obracała się tak w kółku jedném, z którego wyjść nie mogła. Dopóki dzień był oglądano zabudowania, pola, rozpatrywano inwentarze. Hochwarth oświadczył, że pozostanie w miasteczku aż do licytacyi i że przynaglić doń musi. Na tém się skończyło wszystko, a nazajutrz rano w istocie generał odjechał i rozkwaterował się u znajomego nam Chaima... Przybycie jego, nie tajny powód, poruszały całą okolicę. Skórski miał tu wielu przyjaciół, którzy naturalnie więcéj za nim niż za jakimś przybyszem ciągnęli. Nie miał więc generał nikogo coby mu szczerze chciał pomagać; płacił, naglił, jeździł i prosił, spotykając twarze obojętne.

Siedząc tymczasem w małéj mieścinie, w któréj nikogo nie było oprócz proboszcza i wikarego, gdy on z duchownymi jakoś wcale obcować nie umiał — nudził się pan generał okrutnie; Cyrkiewicz zaglądał doń, lecz w układy się wdać nie było można. — Jątrzyła go ucieczka Skórskiego nie tylko jako wierzyciela, lecz i jako człowieka co w życiu żony jego odegrał rolę, która Hochwartha do zemsty budziła... Po długiém awanturowaniu się i przygodach, chciał zająć w społeczeństwie pewne stanowisko poważniejsze, a myśl ta że ktoś na żonę cień mógł rzucić, niepokoiła go i oburzała. Zdawało mu się, że pamięć jéj przeszłości zatrzéć potrafił równie jak swojéj, starał się o stosunki, a choć

natura dobywała się z niego czasem, jak w grze z p. Michałem, umiał te wybryki pokrywać różnemi pozorami i był pewien, że świat mu ich za złe mieć nie będzie. — Gdyby był pewien samobójstwa i zniknięcia wiekuistego Skórskiego, znacznie by się czuł spokojniejszym, lecz nie mógł w to uwierzyć, instynktowo poznawszy w nim człowieka, który nie miał tyle energii w sobie ażeby się na własne targnął życie.

Całe dni spędzał Hochwarth, to na nieznośnéj gadaninie z Chaimem, który mu stare opowiadał dziejė okolicy, to na przechadzkach za miasteczko ku lasom... przypominającym mu potroszę amerykańskie puszcze.

O panu Michale mowa niemal była co dnia, żyd znał go od dziecka... Z początku nieco oszczędzał Skórskiego, ale powoli dobywały się różne o nim zeznania, które go w oczach Hochwartha coraz dobitniéj malowały. Żyd stary był niepospolitym ludzi znawcą i sądził ich w sposób bardzo prosty, nie ulegając żadnym złudzeniom.

Jednego wieczoru rozgadali się jakoś więcéj i szczerzéj niż kiedykolwiek. Chaim był w dobrém usposobieniu i gadatliwy, co mu się nie zawsze trafiło.

— Co to się dziwować, rzekł, że on tak mizernie skończył. Proszę pana generała, nie obrażając nikogo, albo to inaczéj może być, kiedy człowieka młodego pieszczotami popsują? Stary Skórski chorowity był i w łóżku znaczną część życia kawęczał, jejmość robiła co chciała, a z jejmością jedynak robił co zapragnął... To było takie rozpuszczone dziecko, że się po niém jeszcze co gorszego spodziewać było można. Piętnaście lat miał, jeszcze szkół nie skończył, a już takie na wsi życie prowadził, że i starszyby nie wytrzymał z nim. U niego tylko konie, butelka, psy i jeszcze coś gorszego było na myśli, a przed matką, pokorną minę zrobiwszy i pocałowawszy ją, wykłamał się i uniewinniał.

Ona wszystko znosiła, byle Michasiowi było z tém dobrze, i bodaj w końcu tę powolność życiem przypłaciła...

— Jakim sposobem? zapytał generał.

— A! to już dziś stare dzieje — rzekł żyd, a mnie przykro sobie usta tém walać... O pięć mil od Brończéj żył niejaki pan Cześnik, który całą swoję wioskę i żony posag przechulał i przemarnował... Albo to u nas osobliwość!— Została po nim wdowa i dwie córeczki... Musiała się do miasteczka wynosić bo jéj nic nie zostało oprócz dzieci, których wychować nawet nie mogła. Ludzie z litości przysyłali jéj to krup, to

mąki i żyła pokomornėm z jałmużny.—Były podobno z panią Skórską czy w dawnéj przyjaźni, czy w pokrewieństwie, dosyć że litując się tych dzieci, Skórska je do domu zabrała, obiecując wychować i sama się zajmować niemi. Dziewczęta były śliczne, a pan Michaś prędko się tego dopatrzył.

Żyd, jakby mu nie miło było mowić o tém, westchnął i zamilkł chwilę. Generał wstał dziwnie poruszony i zbliżył się do niego. Znać go historya ta nad miarę zajmować zaczynała.

— I cóż się tedy stało? zapytał.

— A co mogło się dobrego stać! odparł Chaim... Skórski przyjeżdżał ze szkół na święta i na wakacye i bałamucił. One były jeszcze prawie dziećmi... On już gorzéj zepsuty był niż inni w jego wieku. Matka na wszystko była ślepą... I stało się nieszczęście... Skórska je odesłała do matki, która z bólu i żalu umarła... a i ona nie długo ją przeżyła...

P. Michał sierotkę na wychowanie wziął, bo się z żadną żenić nie chciał, — a i to dziecko niewiedzićć gdzie się podziało...

Chaim ręką w powietrze zamachnął i umilkł...

— Zmarnowały się dziewczęta... jedna poszła w świat, zapiła się i obłąkana dotąd się tu jeszcze włóczy... z drugą nikt nie wié nawet co się stało... Gadali ludzie że była aktorką w teatrze!..

Generał stał niemy słuchając, napróżno starał się być obojętnym, żyd poznał jak go to oburzało, — lecz nie dziwił się, bo i w nim wspomnienie to budziło bolesne uczucie.

— Łotr! rzekł Hochwarth krótko...

— I za to go pan Bóg pokarał, dodał Chaim, bo za sieroce łzy karze pan Bóg. — Zmarnowało się i jemu życie, i nędznie i przeszło w kłopotach i strachu. Po wielu latach wróciła jedna z tych dziewcząt, w łachmanach, odarta, rozpojona, na pół obłąkana i nie dała stąpić Skórskiemu żeby go nie prześladowała sobą. Nie było sposobu ani się jéj pozbyć, ni odpędzić;—kryła się wlasach, szpiegowała, poprzysięgała że gdyby się ważył żenić to go od ołtarza odciągnie. Nie dała mu dnia przeżyć spokojnie... Nareście w roku przeszłym, mówią ludzie że w nocy go w lesie napadła, i z konia ściągnęła, tak że padłszy na pień o mało się nie zabił. — Po téj chorobie uciekając od niéj pojechał do Warszawy, ale i Cześnikówna znikła, i powiadają że za nim i tam poszła... Teraz znowu się tu włóczy...

— Dziwna historya! przebąknął generał, ledwie mogąc poskromić wzruszenie, dziwna historya.—Mówiłeś o dziecięciu, hm? zapytał niby obojętnie, to było pewnie dziecię téj waryatki...

— Przepraszam, jasnego pana — właśnie że tamtéj drugiéj, o któréj nikt nie wié co się z nią stało.

— I dziecko to zginęło.

— Co się z niém stało, nie można dośledzić.—Wziął je Skórski do siebie, obiecując wychować za własne, ale mu i wstyd było i zawsze myślał się żenić, a dziecko zawadzało... Jak tylko matka poszła w świat, małego jeszcze się pozbył, dał słudze na ręce i wyprawił z domu. Odtąd ni sługi, ni dziecka nikt nie widział, ani o nich słyszał.

W milczeniu wysłuchawszy powieści, Hochwarth zadumany poszedł siąść w krześle.

— A ta obłąkana żebraczka znowu tu wróciła? rzekł po chwili.

— Już dawno; jak tylko jego w Warszawie nie stało, przyszła tu, zapewne spodziewając się go znaleźć. I jeżeliby kto mógł go wyszukać to ona...

Żyd ramionami ruszył.

— Ona tak zdaje się waryatka, obłąkana, a jak się upije to skacze i śpiéwa od rzeczy, — ale jak jéj trzeba miéć rozum to ona go ma!.. Wyszpieguje, jak policyant, — z pozwoleniem pańskiém — mówił Chaim, będzie trzeźwa, będzie głodna; pójdzie nie wiém wiele mil piechotą... Już ją Skórki chciał kazać zamknąć...

— Ona tu przychodzi czasem do miasteczka? zapytał cicho Hochwarth...

— Mało nie codzień. Ja ją jaśnie panu pokażę, bo ona u mnie pije... A złego słowa sobie powiedziéć nie da... złaje choćby największego pana. To jest bardzo nieszczęśliwa kobiéta...

Po rozmowie Chaim odszedł, generał myślał długo...

— Tego łotra mi trzeba nieodmiennie dostać w ręce. Natalia nigdy mi nic nie mówiła o dziecku... kto wié gdzie je podział? Może się kiedy odkryć? Zapisane być musi w metrykach, pozostały ślady... Szkaradna historya — i ja mam przyjemność być w nią wmieszany... rzekł śmiejąc się gorzko.—To miło...

Nazajutrz rano generał który nie lubił księży, ale w potrzebie do każdego się zastosować umiał, poszedł z nudów zapoznać się ze starym proboszczem... Opowiadał mu o misyach w Indyi i Ameryce...

a że go to niewiele kosztowało, grał rolę bardzo gorliwego katolika. Narzekał na interes, na przymusowy pobyt w małéj mieścinie, dotknął wreście interesu ze Skórskim, samego Skórskiego i przyznał się przed staruszkiem, iż mu Chaim całą historyą opowiedział.

— Proszę księdza kanonika — dodał tytułując staruszka w nadziei że go to połechce, — cóż się stało z tém dziecięciem...

— Nie wiém, odparł proboszcz — sądzę że gdzieś na wychowanie oddane, bo o nic gorszego nie mogę go podejrzéwać.

— A metryka tego dziecięcia? zapytał Hochwarth—wszak w księgach być musi? z wymienieniem imienia matki?

— Musi się w nich znajdować, bo dziecię sam chrzciłem — rzekł staruszek, i wpisałem je z obowiązku...

Hochwarth zamilkł, nie miał żadnego powodu wydobywania téj metryki, a nie chciał na siebie ściągnąć podejrzenia. Zaczął potępiać Skórskiego i z pogardą się o nim wyrażać.

Ksiądz zmilczał.

— Panie generale — rzekł w końcu — winien ten człowiek wiele, to pewna — lecz i pokutował dosyć. Szkoda tylko, iż go cierpienie nie opamiętało ni nawróciło. Ta nieszczęśliwa obłąkana zatruła mu życie. Trudno zrozumiéć i uwierzyć, ażeby uczucie zemsty w człowieku mogło trwać tak długo, tak gorąco, tak niemal jeszcze wzrastające z wiekiem a nienasycone...

— Jegomość dobrodziéj jako duchowny — odpowiedział generał z wyrazem namiętnym, wolnym jesteś od takich uczuć i nie pojmujesz ich nawet,—spędziwszy świątobliwe życie na poskramianiu ich; ale my ludzie świeccy, słabi, ułomni — rozumiémy jak trudno przebaczyć temu, który się nie upokorzył i nie ugiął...

— Dajmy mu pokój—zakończył proboszcz, może już nie żyje.—Odpowié na sądzie Bożym, sąd ludzki powinien być łagodnym — Bóg z nim! Bóg z nim... Pożegnał się generał.

Dnia tego długo bardzo, do późnego wieczoru, chodził po miasteczku i pustéj okolicy, a gdy wrócił i Chaim do niego wedle zwyczaju stawił się na gawędkę, znalazł go ponurym i milczącym jak nigdy.— Zaczepiał go ze stron różnych i słowa dobyć nie mógł.

Dopiéro na wychodném Hochwarth jakby mimowoli odezwał się.

— Lecz że téż tego łotra ani śladu; ani trupa znaleźć, ani po-

szlaki po nim dopytywać niemożna!! Nie miał pieniędzy uciekając nad te które ja mu dałem, nie mógłby niemi długo żyć...

Chaim ramionami ruszył.

— Jestem pewny — dokończył generał, że on tu ma przyjaciół co o nim wiedzą, że Cyrkiewicz z nim w potajemnych stosunkach, a plenipotent także... że mu grosza dosyłają. Żeby też się niczém nie zdradzili, żeby ich złapać na uczynku nie można... Niepojęta rzecz... I stuknął pięścią o stół...

Chaim popatrzył.

— Niech no jaśnie pan poczeka a ma cierpliwość, to się jeszcze wszystko... inaczéj obrócić może...

I pożegnawszy go, poważnym krokiem wyszedł z izby...

Wieczór był letni, parny ale pogodny, słońce zachodziło wśród piętrzących się i kłębiących chmur, powyzłacanych z jednéj strony, podszytych liliowo z drugiéj, obrębionych u dołu krwawemi frężlami. Gdzieniegdzie, wśród tych pozaokrąglanych obłoków, wyciągały się już długiemi pasami sinemi i kładły na spoczynek nocny opary wieczorne. Nad błotami jakby w nich kipiało, mgły muślinowe wlokły się i kołysały! — Jaskółki zwijały się chmurami górą, to opadały na dół i szybowały do gniazdek. W krzewach słychać było gwarne gospodarstwo na gniazdkach, w których strawę dzielono i zabiérano się do snu...

W głębi lasu było cicho, wierzchołki sosen kołysały się zwolna, dołem spało już wszystko. Promienie pomarańczowe zachodzącego słońca złociły wierzchołki, a poniżéj mrok się rozściełał szary, przez który gdzieniegdzie swawolnie zakradziony pas światła... wieszał się po listkach i rozwielciedlał kałuże...

Czasami jastrząb wracający z łowów, lub czarny bocian co mieszka w dzikich ustroniach, przeszybował powietrznemi szlaki i zniknął... W promieniach ostatnich ćmy komarów słupami stały, żegnając słońce i życie... Niekiedy spóźniony robotnik dzięcioł poczynał kuć korę starą i ustawał...

W dziupli ogromnego, starego dębu, na kilka stóp wzniesionéj nad ziemię, otwartéj nieco ku zachodowi, siedziała Cześnikówna, zwrócona ku słońcu i smutna, modliła się ze złożonemi rękami. Przychodziły na nią takie chwile łez, bólu i modlitwy, gdy odchodził gniéw i pragnienie zemsty i cała namiętność, która życie stargała. Naówczas płakała nad sobą, nad przeszłością, i prosiła Boga by umrzéć mogła.

O kilka stai od miejsca w którém przesiadywała, była nędzna lepianka, w któréj mieszkał strażnik sąsiednich lasów z małą dziewczyniną, siérotką, bo mu żona zmarła przed kilku laty i został z nią sam. Dziewcze posługiwało ojcu, a że się spotykało od paru lat z Cześnikówną i często z nią rozmawiało, przywiązało się téż do niéj. Horpynka znała ów dąb i mieszkanie kobiéty, która za obłąkaną uchodziła. Przybiegała do niéj czasami i przynosiła jéj ciepłéj strawy trochę, czystéj wody lub kawałek chléba. Róża, któréj jałmużnę nawet nieproszoną dawano, groszem się za to dzieliła z Horpynką. Zawiązała się dobra przyjaźń między niemi...

I teraz właśnie gdy zapłakana Cześnikówna modlitwę swą kończyła, zaszeleściało u stóp dębu, spojrzała i zobaczyła Horpynkę, spinającą się ku niéj z garnuszeczkiem w ręku...

Dziewcze ciekawie się przypatrywało staréj przyjaciółce, na któréj oczach widziało łzy, a niedochodząc postrzegła ją jeszcze domawiającą modlitwę...

— Dobry wieczór — matusiu...

— Dobry wieczór — dziecko moje...

— O co się to wy tak gorąco modlili?

— Jak zawsze, żeby mnie pan Bóg prędzéj wziął z tego świata... Nie mam co na nim robić... głowie ciężko — sercu smutno, ciału słabo... a duszy tęskno...

I otarła łzy...

— A! dalibyście pokój! a komu lekko? ojciec stęka cały dzień i przyszedłszy do chaty nocą—mnie tak czasem trudno podołać, że padam ze znużenia... a trzeba żyć, gdy pan Bóg przykazał.

— Pokuta! pokuta! szepnęła Cześnikówna, biorąc garnuszek i dając parę groszy dzieweczce. Bóg ci zapłać...

— Ja chciałam coś powiedziéć, szepnęło dziecko na palcach się podnosząc ku staréj...—Was tu pono ktoś szuka... czy z ciekawości... czy może ze złéj woli. Jakiś stary pan niedawno przyszedł do ojca, znać mu ktoś o was powiadał, bo pytał o wasz dąb i pewnie dziś jeszcze tu przyjdzie. Ojciec mu drogę rozpowiedział, ja nie mogłam strzymać... Bądźcie ostrożni...

Dziewcze się obejrzało, palec położyło na ustach... potém nim w dal na las wskazało, skoczyło prędko i skryło się w zarośla...

Cześnikówna obojętnie dosyć, jak w wygodnym fotelu, rozparła się w swéj dziupli, założyła ręce na piersiach i czekała...

Nie rychło chód się dał słyszéć ostrożny; — idący stawał niekiedy i rozpatrywał się, strzelbę miał przez plecy przewieszoną, buty długie i znać nawykły do pieszych wędrówek, umiał sobie wynaleźć drogę i kierować się po lesie... Stary dąb omszony, najgrubszy ze wszystkich zwrócił jego oczy, począł go obchodzić do koła i postrzegł otwór wygorzały, w którym siedziała Róża. Ona poznała w nim tego podróżnego, którego widziała jadącego do Brończéj.

Podniosł głowę przechodzień.

— Dobry wieczór — aleście to sobie osobliwe gniazdo dobrali!

— Mnie tu dobrze odezwała się Cześnikówna. Słyszałam że w najwyższe drzewa pioruny biją, myślałam że tu który padnie... a no—nie!

— Co wam się tak życie sprzykrzyło?

— A wam? odparła Róża...

Mężczyzna zmilczał...

— Musieliście dużo broić! rzekł...

— A wy? spytała Cześnikówna...

Po chwili milczenia, wychyliła się nieco aby mu lepiéj przypatrzéć,

— Wy tu obcy i co wy tu robicie? Jechaliście do Brończéj? po co?

— Szukam Skórskiego?

— Po lesie! a no! poczęła Cześnikówna, nie zły węch macie! Taki zbój nie może gdzieindziéj siedzić tylko w wilczéj jamie, albo w niedźwiedzim barłogu... A po co on wam?

Generał, gdyż on to był — uśmiechnął się.

— Mamy z sobą interesa, rzekł...

Stara wlepiła w niego oczy bystro, jakby na wylot przejrzéć go chciała.

— A cobyście z nim zrobili gdybyście go znaleźli??

Generał ręką zrobił ruch znaczący, jakby chciał pokazać żeby mu karku nadkręcił. Róży czerwoność wystąpiła na policzki, oczy się zapaliły, pochwyciła rękami za brzeg dziupli i zręcznie dosyć spuściła się z niéj na ziemię. Stanąwszy naprzeciw generała w milczeniu, jęła mu się przypatrywać od stóp do głów.

— To wy już wszystko wiécie — rzekła cicho—musieli wam powiedziéć o Cześnikównie i o nim, i że ona jak wyżeł za zwierzyną węchem za nim gonić umié... Chcielibyście mnie zrobić wyżłem, a gdy stanie...



Mnie tu dobrze, odezwała się Cześnikówna. (Do str. 112).

Przyłożyła rękę do twarzy, jakby strzelać miała i zawołąła.—Buch leży! i wszystko skończone...

Dygnęła generałowi. Umysł jéj już poczynał się rozstrajać.

— Wy już wszystko wiécie, dodała... że on był moim kochankiem i że mi piérwszy nawiązał na szyi stryczek, który mnie dusi a zadusić nie może. Ot taka dola! Tyle lat... tyle lat a końca niéma...

Generał wpatrywał się w nią zdumiony; rysy jéj twarzy wykrzywione, znędzniałe, dziwnie mu jednak chwilami przypominały żonę...

— Cóżbyście wy z nim zrobili gdybyście go znaleźli? spytała Cześnikówna — mówcie...

— Możebym go oddał do kryminału, rzekł generał, a może sam się z nim rozprawił...

— Jego szkoda do kryminału... odparła Róża—jemuby tam było dobrze.—On ma piéniądze, jemu być tam krzywda się nie działa. Daliby mu szlachecką izbę a potémby się opłacił i puściliby go na wolność...

Potrzęsła głową. — Jegoby na wolnym ogniu piec... przywiązanego do drzewa... a jabym śpiéwając tańcowała do koła... Niechby się tak pomęczył trochę jak ja całe życie...

Hochwarth słuchał i patrzył...

— Już gdybym ja go złapał, ręczę wam nie byłoby mu téż wesoło w moich rękach...

Róża w dłonie klasnęła. — To lubię! Gdzie on tam i ja?

— O ho! a więc gdzieś on tu niedaleko być musi, jeżeli wy jesteście? podchwycił Hochwarth zbliżając się — Róża popatrzyła nań skrzącemi oczyma.

— A kto wié? może!

Hochwarth machinalnie sięgnął do kieszeni, brzęknęły w niéj piéniądze. Z krzykiem i złością rzuciła się od niego Cześnikówna, podnosząc pięść groźnie.

— Co ty myślisz! żem ja Judasz! że ludzi sprzedaję? krzyknęła... A idź ty mi precz...

I jakby przestraszona poczęła nazad drapać się do swojéj dziupli na drzewo...

— Czekaj! zawołał generał surowo, — przecież ci pieniędzy nie myślałem dawać... gadajmy z sobą po ludzku...

— Ja nie umiem po ludzku;—jeszcze gniewna, zwiesiwszy się nad dziuplą mówiła Cześnikówna.

— No — to po szatańsku — począł zniecierpliwiony generał. Szukam Skórskiego? wiész gdzie jest? daj mi go?

— A tak ? rozśmiała się Cześnikówna, żebyś ty sobie jego wziął a ja go nie miała. Ja tego nie chcę...

— A mścić się pragnęłaś całe życie...

— Prawda... ino pomaleńku. Raz tylko po pijanu szatan mnie skusił bym mu głowę rozbiła... Był to wielki grzech... Skryła się w dziuplę krzycząc: — Dobranoc jegomości... Idź spać! idź spać! słonko krwawe na zachodzie! zachodzie... wilcy na żér idą, kto się z niemi nie zna, niech po lesie nie wędruje. — Idź spać...

Generał zmięszany stał pod dębem... dumając i nie wiedząc co począć daléj. W swojém życiu spotykał istot wiele, które miały i niespełna rozumu i w różnych stopniach spokojne, peryodyczne, cząstkowe obłąkanie — ale podobnéj istoty nie widział nawet w Ameryce ani w Indyach, gdzie słońce na ludzkim mózgu gra jak na odstrojonych organach.

— Dyabeł w niéj siedzi! zawołał z cicha sam do siebie.

Cześnikówna dosłyszała.

— Musi to tak być — rzekła z góry — ja go nawet w sobie czuję.— Przychodzi z wizytą, zawichrzy mi w głowie, ogonem zakręci pod czaszką... zapiecze w piersiach i rusza daléj. Ksiądz go próbował wypędzać, nie daje się. — Pójdzie za interesami i powraca do domu... Cha! cha! dobranoc...

Hochwarth chodził pod dębem spoglądając na słońce. Do chaty leśnika, koło któréj konia zostawił, kawał było niewielki — nocy i wieczoru się tak dalece nie obawiał, bo z różnemi drogami był obyty, i nad Orenoką nie jednę noc przebył w lesie.

— Héj, słuchajcie no, panno Cześnikówno, zawołał, podnosząc głowę do góry, pogadajcie ze mną jak należy.

Wy tego samego chcecie co i ja, przecie gdy dwóch z jednym wojnę prowadzi, to się za ręce biorą.

Śmiech się dał słyszéć z góry.

— A gdzieżbyś ty mnie chciał wziąć za tę rękę, która była i w błocie i we krwi.—Ja ciebie o pomoc nie proszę, a ty mnie daj pokój... bywaj zdrów bo cię wilcy zjedzą, żalby mi było takiego uczciwego człowieka...

— Z szalonemi niéma rady! burknął generał chcąc odchodzić. .

Postąpił kilka kroków już kierując się ku chacie strażnika, gdy, jakby się nagle namyśliwszy, chyżo i zręcznie Róża spuściła się znowu z dziupli i poczęła iść za nim...

— Ja jegomości przeprowadzę — odezwała się równając z nim i krok równając z chodem jego. Pójdziemy sobie w parze, jak dobrzy przyjaciele... Ja nawet wiém dokąd idziecie.—Do chaty strażnika krótszą drogę pakażę...

Pogadamy po drodze...

Hochwarth milczał zniechęcony.

— Powiedzcie mi że go nie zabijecie, prędko złapawszy — odezwała się — no to może? może zrobiemy co z sobą! kto to wié?

—Zabijać go przecież nie myślę—odezwał się generał...

— Bo nie trzeba—dokończyła Cześnikówna—wszystkoby się skończyło! Nie! nie. A co jabym robiła? Babką przy kościele nie będę... nie stanie mi co na kłębek nawijać... a ja z tym kłębkiem boleści pójdę na sąd Najwyższego i rzucę mu go pod nogi, aby wiedział na ile sążni wrzucić go w przepaści piekielne...

Kiwała głową.—Póki żyję zwijać będę a zwijać... czarne nici... pokrwawione.—Ale co wy z nim zrobicie...

— Co? począł generał stając nagle, pieścić się z nim nie będę, to pewna... Naprzód mi musi odpowiedziéć za zatracone dziecię... a potém mamy z sobą inne rachunki. Brończę mu wezmę i pójdzie z torbami...

Cześnikówna klasnęła w suche dłonie.

— Ot to, to... z torbami! Slicznie... ja z nim pójdę razem i już nam będzie dobrze...

Ty jesteś widzę dobry człowiek, dodała... z jegomością gadać można... Przyjdźcie jutro o świcie, ja was do jego jamy zaprowadzę...

Zdziwiony tém nagłém postanowieniem, generał stanął.

— Napewno?

— Jak Cześnikówna słowo szlacheckie da, to nie zawiedzie... odezwała się poważnie — bo ja jestem szlachcianka i dobrego rodu... tylko ot tak schłopiałam jak widzicie, po wierzchu... We środku szlachectwo zostało całe...

Wzięła się w boki.

— To już dosyć — rzekła wskazując na lewo, chata strażnika ot tam za leszczyną — traficie do niéj. Jutro na zaraniu... A weźcie strzelbinę bo nie można wiedziéć co będzie! Nuż się zając trafi po drodze...

Dobranoc...

To mówiąc odwróciła się z pokłonem i chichocząc znikła w zaroślach...

Cała ta scena w której Róża stawała przed oczyma Hochwartha jak widmo jego żony, jak potworny jéj samowtór, — podziałała nań więcéj niżby na kogokolwiek innego mogła. — Zatrzymawszy się chwilę, widząc że już Cześnikówna nie wróci, poszedł zwolna we wskazanym mu kierunku do chaty strażnika. Tu czekał nań koń, którego dosiadłszy, kłusem popędził do miasteczka...

Miał co w myślach przebiérać...

Spodziewał się Skórskiego pochwyciwszy dosyć miéć poszlaków, do zadania mu podstępnego fałszerstwa w sprawie długu. Raz rozpoczęty proces dozwolał uwięzić winowajcę i—może się go pozbyć nazawsze... Kogo innego mógł użyć z boku dla wytoczenia mu sprawy o zatracone dziecię...

Pozbyć się go—było teraz celem Hochwartha... dopóki żył i był wolnym, generał nie mógł być spokojnym... Tajemnica żony jego wydać się mogła. W Ameryce lub innym kraju, gdzie wymiar osobisty sprawiedliwości i zemsta za krzywdę—uchodzi bezkarnie, byłby bez wahania chwycił się innego środka. Tu, należało być ostrożnym—generał miał stosunki, liczył na nie... a w ostatnich dniach pobytu w miasteczku, dostarczono mu dowodów, że pokrycie Brończéj długiem było podstępne i fałszywe... Dowody te, drogo nabyte, kompromitowały i Dygowskiego, lecz tego nie miał powodu oszczędzać pan generał...

Należało się też rozmyśléć dobrze nad jutrzejszą wyprawą, jak ją przedsięwziąć, samemu czy z pomocą kilku przybranych ludzi, w razie gdyby pochwycony myślał się bronić.

Generałowi ani na sile, ani na zręczności, ani na przytomności umysłu nie zbywało. Para rewolwerów w kieszeni, przy umiejętności użycia ich — starczyło choćby na dwóch lub trzech ludzi. Nie rad był wtajemniczać nikogo, ani zawczasu rozbudzać posądzeń... Przybywszy więc do miasteczka poszedł do swojego mieszkania i zajął się tylko opatrzeniem broni.

Właśnie gdy tę czynność rozpoczynał, w progu zjawił się zwykły gość wieczorny Chaim, który na widok broni, dosyć niespokojnie cofnął się i stanął w pewném oddaleniu.

— Do czego to jaśnie panu... ten interes... rzekł cicho.

— Ja to zwykle z sobą wożę w drodze...

— Ale u nas to niepotrzebne — odpowiedział Chaim—u nas ludzie się tak nie porywają prędko i niéma niebezpieczeństwa...

— Ot, niech to sobie będzie! zakończył Hochwarth. Na jutro do dnia potrzebować będę konia. Okrutnie mi tu nudno, chcę trochę objechać lasy...

— Można i bez tych instrumentów—dodał żyd—u nas w lesie jak w domu bezpiecznie. Chowaj Boże!!

Nic już nie odpowiadając Hochwarth szykował broń...

Noc przeszła w części na rozmyślaniu i niecierpliwém wyglądaniu poranku. Szarzało zaledwie na niebie gdy już generał po konia posłał, dobrze przed wschodem słońca, pod pozorem uniknienia skwaru, wyjeżdżając ku znajoméj chatce strażnika...

Przybył tu gdy już pilny gospodarz ruszył był do lasu; pozostała tylko Horpynka, konia zostawionego obiecując pilnować. Hochwarth, obeznany ze wszystkiem, sam go rozsiodłał, spętał i na łączkę puścił na paszę... Nie potrzebując już pytać o drogę, sam ruszył ku dębowi Cześnikównéj. Właśnie piérwsze słońca promienie przebijały grube obłoki, nagromadzone na wschodzie, gdy stanąwszy w miejscu ujrzał pannę Różę, modlącą się w dziupli na klęczkach. Zobaczywszy go przeżegnała się i skoczyła ze swojego schronienia na ziemię. Była tego rana znacznie spokojniejsza niż wczoraj i mniéj rozmówna.

— Chodźmy, odezwała się krótko—niech nogi nie szeleszczą, po cichu iść trzeba...

Puściła się sama przodem, wskazując kędy przejść było można suszéj między moczarami, trzęsawiskiem, kłodami i kępami...

Kilka razy generał napróżno usiłował rozpocząć rozmowę, potrząsała głową nie odpowiadając wcale. Przeszli przestrzeń dzielącą ich od Leśniczówki—dosyć prędko. Dzień choć się wybiérał na pogodę, jeszcze był cały w chmurach cężkich i szarych obsłonach. — Zbliżając się ku chacie, Cześnikówna odwróciła się ku idącemu za nią i na ustach kładnąc palce, dała mu do zrozumienia, aby się zachował jak najciszéj...

Z po za drzew i zarośli widać już było wysoki dach Leśniczówki. Róża wprowadziła generała na to samo miejsce, z którego po raz piérwszy wyszpiegowała tu Skórskiego—kazała mu usiąść na obalonéj kłodzie, a sama zaczaiła się za nim. W chacie wszystko się jeszcze spać zdawało. Dwa ogary zwinięte w kłębek odpoczywały na

przyźbie. Okno izby w któréj mieszkał Skórski zapuszczone było zieloną firanką... Z komina jednak dobywał się dymek biały, świadczący iż gospodyni już ogień rozłożyła...

W milczeniu upłynęła długa chwila... Za drzwi wyszedł mężczyzna w torbie borsuczéj, ze strzelbą na ramieniu, z fajeczką w ustach, w długich butach po kolana, świsnął na psy... Oba one zerwały się jak oparzone, strzepnęły uszami i poczęły łasić około niego.

Z niemi razem Leśniczy w bok puścił się ścieżyną ku lasowi. Przechodził o kilka ledwie kroków od generała i Cześnikówny, która przypadła do saméj ziemi... Gęste zarośle osłaniały tę zasadzkę, któréj psy, zajęte łaszeniem się koło swojego pana, nie poczuły...

Wyjście z chaty Leśniczego, ułatwiało Hochwarthowi pochwycenie p. Michała. Chciał wkrótce potém już wstać i iść, ale go Cześnikówna prawie gwałtem wstrzymała... Oczy mieli zwrócone na drzwi i okno, którego zasłona nie długo się podniosła, ręka z wewnątrz odryglowała je i popchnęła... W oknie ukazał się Skórski w koszuli, ziéwając i wyciągając ręce do góry.

Generał nie czekając już dłużéj, zaroślami podszedł pod samę chatę, drzwiami z przeciwnéj strony wsunął się do sieni idącéj na przestrzał, i otworzył drzwi izby w któréj się Michał znajdował. W téj saméj chwili Cześnikówna, któréj szło o to ażeby wiedział kto mu przyjaciela przyprowadził, stanęła, śmiejąc się, naprzeciwko okna — w którém stał Skórski.

Na widok jéj z krzykiem przeraźliwym cofnął się w głąb napadnięty, zdjął z kołka strzelbę i w piérwszym wybuchu gniewu i strachu—zmierzył i wystrzelił.

Generał stał właśnie w progu...

Dym zaległ w części izbę i zasłonił nieszczęśliwą ofiarę, która chwytając się za pierś, z krzykiem i śmiechem urągliwym—upadła...

Jak obłąkany rzucił Skórski na ziemię fuzyą, gdy w téj chwili zwracając się spostrzegł niespodziewanego gościa. Z rewolwerem w ręku Hochwarth stał w progu spokojny, blady, uśmiechający się szydersko.

— W samą porę przybywam—odezwał się, ażeby zabójcę w imieniu sprawiedliwości aresztować...

Skórski stał jak osłupiały, nie usiłując się bronić nawet...

Na huk strzału z domu, wylękła wyrwała się gospodyni na podwórze... Na przeciw drzwi leżała Cześnikówna na wznak, z ręką na pier-



W samą porę przybywam — ażeby zabójcę aresztować. (Do str. 118).

siach, z których buchała krew. Twarz jéj już trupia powlekała bladość, resztki tylko życia, drganiem ciała się zdradzały. Oczy zeszklone nie widziały już nic... usta przestawały się poruszać, skrzywione ostatnim uśmiechem... Trafiona w serce — skonała natychmiast.

Hochwarth zbliżył się o krok do Skórskiego.

— Pozwolisz mi, szanowny panie, rzekł z krwią zimną, abym się zapewnił iż znowu mi nie zbieżysz i nie zmusisz do szukania cię po świecie...

Skórski nie odpowiedział ani słowa. Oczy jego padły na trupa leżącego przed chatą i oderwać się od niego nie potrafiły.—Hochwarth mógł się zbliżyć, w silne dłonie ująć jego ręce i skrępować mu je z tyłu... zamknął potém drzwi na rygiel i zajął się szukaniem sznurów i odzieży dla więźnia... który nie myślał się bronić. Cała ta scena odbywała się w złowrogiém milczeniu. — Słychać tylko było nawoływanie i płacz gospodyni wylękłéj, która nie mogła pojąć co się stało. Związawszy Skórskiego, Hochwarth popchnął go ku drzwiom, które odryglował, odzywając się głosem żołnierskim.

— Naprzód! marsz...

Właśnie wychodzili ze drzwi, gdy tentent konia dał się słyszéć i Cyrkiewicz wpadł na podwórko... niemal na trupa Cześnikównéj. Spojrzał na swego pana, którego prowadził generał, na leżącą Różę,i w piérwszéj chwili jakiegoś nierozważnego strachu, zawrócił konia i uszedł.

Są wypadki w życiu ludzi, które najzatwardzialsze serca poruszają i wstrząsają całym dusznym organizmem, choćby długiemi wyrobionym laty. Jak przesilenia w chorobie sprowadzają one zmianę usposobień, otwierają życie nowe i zmuszają zerwać z przeszłością.

Taką kryzys w życiu Skórskiego był ów ranek, w którym na pół przytomny, ledwie rozbudzony, strachem i gniewem przejęty porwał strzelbę i zabił Cześnikównę...

Gdy wychodzili z chaty razem z generałem, a obok trupa przechodzić nieuchronnie było potrzeba, bo tamtędy wiodła ścieżka, Skórski targnął się i stanął nad nim niemy. Patrzył długo na twarz nieszczęśliwéj, na wytoczoną jéj krew, która kałużą stała koło niéj i Hochwarth musiał go w końcu popchnąć aby zmusić do dalszego pochodu... Ze spu-

szczoną głową, jakby na pół umarły, bijąc się o drzewa które mijał, niemy, nie odpowiadając na pytania, dowlókł się prowadzony tak do chaty strażnika. Tu Hochwarth znalazł sposób posłania po wóz, zatrzymał idących ludzi aby mu dopomogli, i sam towarzysząc więźniowi, dostawił go do miasteczka.

Zjawienie się tego skrępowanego więźnia, opowiadanie generała, wóz na którym leżał, stojący wpośród rynku, całą ludność niemal ściągnął tu... ciekawością bezmyślną. Tłumy biegły oglądać siedzącego na prostym drabiastym wozie dziedzica Brończéj, o którym opowiadano, że tego ranku strzelił i zabił Cześnikównę... Oburzenie malowało się na wszystkich twarzach i szmer złowrogi napełniał targowisko...

Generał oddawszy Skórskiego w ręce straży miejskiéj, która go daléj odstawić miała, sam wrócił do mieszkania, chcąc natychmiast jechać z więźniem dla złożenia zeznania. Wóz stał jeszcze w rynku, gdy na probostwo doszła także wiadomość o wypadku. Staruszek proboszcz który tylko co był mszą odprawił, zaledwie czas mając zrzucić albę, pośpieszył drżący do Skórskiego...

Na widok proboszcza, którego nawykli byli szanować wszyscy, rozstąpiły się tłumy, poodkrywały głowy i starzec mógł się zbliżyć do wozu... Z oczyma wlepionemi przed siebie nieruchomie Skórski nie widział nic, nie spostrzegł téż staruszka, który jednę rękę położywszy na wozie, łagodnym głosem odezwał się do niego.

— Panie Michale — Bóg z tobą (ksiądz zwykł był te słowa często powtarzać) co ja słyszę... co się to stało?

Na głos ten Skórski odwrócił zwolna głowę, tocząc wzrokiem obłąkanym.

— Ja nie wiém — rzekł.

— Jakżeś mógł?

— Ja nie wiém... powtórzył machinalnie Michał ja nic nie wiém...

Napróżno proboszcz coś chciał z niego wybadać. Skórski milczał osłabły i nieprzytomny... Poszedł więc staruszek do generała, który z bardzo zimną krwią rzeczy swoje pakował.

— Na miłość Chrystusową—odezwał się drżący — powiedźcie mi jak się to stało? jakim sposobem wyście temu byli przytomni? gdzie to było?

Hochwarth usiadł i ze szczegółami opowiedział wszystko.

— Szukałem go, rzekł, udałem się do kobiéty, która najprędzéj

o nim wiedzieć mogła. Trzeba było takiego nieszczęścia, ażeby w chwili gdym go miał aresztować, ona mu się za oknem ukazała... Strzelił bez namysłu — zabił ją na miejscu. Krył się od dawna na Leśniczówce.

Proboszcz załamał ręcę.

— Niezbadane wyroki Boże — rzekł... wszystko się składało na krwawy koniec téj historyi — Bóg osądzi! Bóg osądzi...

Ze łzą w oku zbliżył się starzec do generała.—Nie znam was, dodał — anibym śmiał dyktować sumieniowi waszemu jak ma postąpić— pomnij pan jednak byś świadczył nie na potępienie człowieka, ale jak na uratowanie obłąkanego brata.

Hochwarth skłonił się nie odpowiadając... W chwilę potém tłum mieszczan przeprowadzał wóz, ostawiony strażą, aż do rogatek... Generał zwolna jechał z tyłu posępny i milczący, z cygarem w ustach...

Gruchnęła wieść po całém sąsiedztwie, a można sobie wystawić jakie uczyniła wrażenie. Tegoż dnia ciało nieszczęśliwéj Cześnikównéj przywieziono do miasteczka, a do niego zebrało się co żyło, aby je oglądać. Ci co się nieraz urągali z żyjącéj, gdy śpiewając skakała pół obłąkana pod sienią u Chaima, szli teraz ze łzami oglądać zwłoki, i litowali się losowi nieszczęśliwéj. Znalazł się znowu ten sam szlachcic, który ją nieraz z rąk tłumu ratował, ofiarując się sprawić trumnę i pogrzeb. Z mieszczan każdy śpieszył z jakimś datkiem dla umarłéj.

Rzadko bogatym i możnym taki się pogrzeb ludny trafia — jakim był Cześnikównéj. Wybiegli nań wszyscy... Kobiéty trumnę przysypały kwiatkami, wykopano dół na ustroniu pod brzozą, i tak po niéj szlochały kobiéty, jakby teraz dopiéro los jéj ciężki poczuły... Bractwa, świéce, chorągwie — wszystko co do najwspanialszych pogrzebów wiejskich należy, znalazło się teraz dla Cześnikównéj. Staruszek proboszcz prowadził kondukt i zamiast mowy nad mogiłą, chustką otarł łzy, które mu z oczów płynęły...

Cyrkiewicz przerażony, uciekłszy do Brończéj, tu dopiéro rozmyślać zaczął co mu czynić należy. Poleciał natychmiast do Dygowskiego... Ten już wiedział o wszystkiem, bo wieść się piorunem rozbiegła, był niespokojnym bardzo. Doszło go bowiem wprzódy, że generał cóś poodkrywał a to dla niego nieprzyjemne może sprowadzić następstwa.

Zafrasowany wielce odprawiwszy Cyrkiewicza do domu, aby poszlaki narad z nim nie było, sam pośpieszył do miasta, aby ratować jeśli się da Skórskiego, lub z generałem się rozmówić, dopóki czas był

jeszcze... Zdawało mu się że tu już majątek poświęcając, życie i honor ratować było potrzeba. Skórski już był osadzony w więzieniu, a generał odpoczywał po trudach w najętém mieszkaniu, gdy Dygowski śmiało się doń stawił.

Widzieli się już i znali wprzódy, z powodu zamierzonéj licytacyi. Na Hochwartha, który w życiu wiele przechodził, wcale krwawa scena nie podziałała, było to dlań rzecz powszednia. Cóż tam jedna jakaś kobiéta przestrzelona w chwili szału... Jadł więc z dobrym apetytem lichą wieczerzę, gdy mu oznajmiono Dygowskiego. Kazał prosić.

Mecenas mężnie się stawił, choć odwagę miał sztuczną.

— Panie generale, rzekł — byłem przyjacielem Skórskiego i téj przyjaźni nie zaprę się i teraz. Czuję się w obowiązku go bronić. Proszę pana abyś mi raczył powiedzieć otwarcie — o co panu idzie, o odzyskanie należności, czy o zgubienie człowieka?

Generał właśnie zęby sobie przetykał piórkiem i nie odpowiedział zaraz.

— Jak się panu zdaje? zapytał flegmatycznie.

— Zdawałoby mi się iż do zguby człowieka nie masz pan żadnego powodu...

Hochwarth popatrzył na Mecenasa.

— Możesz się pan mylić, rzekł — ale ja nie mam obowiązku tłumaczyć się przed nim. Nie idzie zresztą ani o zgubę ani o ratunek, chodzi o sprawiedliwość.

— Znasz pan historyą téj kobiéty i tego człowieka, i co on przez nią wycierpiał.

— I co ona przez niego cierpiała — dodał generał.

— Więc się kompensuje przynajmniéj, rzekł mecenas.

— To panowie prawnicy lepiéj pogodzić niż ja potraficie.

— Jeszcze słówko — odezwał się Dygowski—Skórski ma przyjaciół, znać że na to uczucie zasługiwał; jeżeli mogą pana rozbroić opłacając mu jego należność, chętnie to uczynią.

— Ale ja nie jestem sprawiedliwością, dodał Hochwarth.. Zresztą sądzę, że dowiodę machinacyj nieprawnych na majątku i bądź co bądź swoje odzyszczę.

Dygowski nie okazał wzruszenia — wstał powoli z siedzenia i zabiérał się do wyjścia. Oko Hochwartha śledziło każdy ruch jego.

— A zatém nie mam żadnéj nadziei ażebyś generał względnym chciał być dla nieszczęśliwego...

— O mnie nie idzie — odparł Hochwarth—ja nie mogę... Nadto szanuję sprawiedliwość.

Skłonili się sobie chłodno, Dygowski odszedł. Nie było nic do zrobienia z generałem.

Był on tu obcym, a Skórski i Dygowski mieli przyjaciół i stosunki, na które cokolwiek przynajmniéj rachować było można. Pomimo postrachów generała dowieść kondyktu było trudno, co się tyczy kryminalnego procesu o zabójstwo Cześnikównéj, ten, wywodząc całą smutną przeszłość przed sąd, — miał też na korzyść obwinionego dać łagodzące okoliczności. Długie prześladowanie, napaści, zabójstwo popełnione bez rozmysłu, — dozwalały się spodziewać, iż wyrok być może mniéj surowy. — Historya obu siostr musiała się wytoczyć przed kratki—generał wcale się nad tém w piérwszéj nie zastanowił chwili, iż w ten sposób żona jego dotkniętą być może. Dygowski i obrońcy Skórskiego nie wiedzieli o tém że żona generała była siostrą Cześnikównéj. Dałoby im to broń w ręce...

Dopiéro nazajutrz rozmawiając o sprawie z jurystami, których ona żywo obchodziła, Hochwarth usłyszał, że w obronie Skórskiego, czy przeciwko niemu, wytoczy się cała przeszłość obu kobiét.

Zmieniło to natychmiast usposobienie generała... Dochodzenia sądowe mogły, idąc po nici, dotknąć żony jego, a nawet zmusić ją do świadczenia przed sądem,—ta myśl przeraziła go jak uderzenie piorunu. Zemsta zgotowana dla Skórskiego, obracała się obosieczna przeciwko niemu samemu... Sprawa już stała tak, iż cofnąć jéj nie było podobna...

Sam do Dygowskiego iść nie mógł, lecz tegoż samego dnia jeszcze pokierował tak krokami swemi, ażeby się z nim spotkać. Mecenas trzymał się na uboczu... Zbliżyć się doń pomogła zręczna strategia. — Było to w przedsionku sądowym, generał z nim się przywitał...

— Panie Mecenasie — odezwał się chłodno — wczorajsza nasza rozmowa utkwiła we mnie.—Nie chcę ażebym był pomówiony o niewyrozumiałość i okrucieństwo... musimy jeszcze pomówić z sobą.

Zgodził się na to jak najchętniéj Mecenas... Znikli oba odszedłszy na ubocze...

— Nie cofam słowa mojego, rzekł Dygowski—dług za Skórskiego

zapłacimy... a generał złagodzisz swe zeznania. Nie żądamy od niego nic nad prawdę, lecz prawdę nie zatrutą osobistą nienawiścią...

— Czy spodziewacie się panowie by mógł być uniewinnionym? spytał generał.

— Są okoliczności łagodzące — odezwał się adwokat. Postawiemy świadków, którzy okażą ile lat i w jaki sposób cierpiał od téj nieszczęśliwéj...

Hochwarth zmilczał..

— Nie potrafię tego panu wytłumaczyć, odezwał się po przestanku — dla czego mnie do pewnego stopnia — obchodzi los rodziny, z któréj pochodziła Cześnikówna. — Im mniéj się na jaw wyprowadzi z tych smutnych dziejów, tém lepiéj.

— Zapewne, rzekł zdziwiony trochę Dygowski — ale cóż to pana generała obchodzić może... Rodziny téj już niéma...

— Któż to wié! odezwał się Hochwarth,—odsłaniać te dzieje i dla Skórskiego byłoby nie korzystném — pan je znasz?

— Dosyć dokładnie — odparł Dygowski.

— Siostra Cześnikównéj — wyjąknął kstusząc się generał—uchodząc w świat podobno zostawiła dziecię w rękach Skórskiego, który je miał wychować. — Co się z niém stało?

— O tém nie wiém—rzekł obrońca—ale zkądże pan tak dokładnie jesteś uwiadomiony.

— Ja? Siedziałem dość długo w małém miasteczku — odezwał się generał,. to wszystko tłumaczy.

Dygowski zamyślony zamilkł.

— Wiész pan co — szepnął generał — kwestya pieniężna załatwi się między nami bez trudności... W interesie Skórskiego zdaje mi się najwłaściwszém...

Tu zawahał się nieco — Dygowski patrzył mu w oczy.

— Ażeby z więzienia za granicę uszedł i więcéj się w kraju nie pokazywał. Do tego możemy mu dopomódz... Ja sam — rzekł zniżając głos—ja sam — mógłbym do pewnego stopnia postarać się o ułatwienie mu ucieczki, ale — z jednym warunkiem.

— Z jakim? zapytał adwokat.

— Żeby mi przez pana dał szczérą, pewną i popartą jakiemikolwiek dowodami wiadomość, gdzie się znajduje owo dziecię jego...

Znowu Dygowski niezmiernie zdziwiony popatrzył na generała.

Nie miał w nim żadnego zaufania, ta nagła zmiana usposobień, ta litość nad Skórskim, ofiara pomocy do ucieczki, dopytywanie o dziécię— zdały mu się kryć jakąś zdradę i być wielce podejrzanemi. Nie poznawał Hochwartha, a miał powody lękania się go...

— Pan generał niech daruje — odezwał się zafrasowany — lecz po ostatniéj naszéj rozmowie teraźniejsza mi się wydaje tak dziwną, tak nie wytłumaczoną...

— Przyznaję, a dodam, i wytłumaczyć się nie mogącą, podchwycił Hochwarth. Bierz to sobie pan jako chcesz. Możesz mi wierzyć, możesz nie ufać — na to nie mam sposobu...

— .Byłby sposób wtrącił Dygowski.

— Jaki?

— Gdybyś pan generał chciał się ze mną zaraz ułożyć o warunki pieniężne.

— Nie mogę, póki nie będę miéć pewności, że Skórski ucieczei że mi da wiadomość o dziecku...

Hochwarth przeszedł się po pokoju, mecenas stał zadumany...

— Miarkuj pan, odwracając się dodał generał, że ja knuć żadnéj zdrady nie mogę, bo cóżbym miał za zysk na niéj? Mogę go zabić nie posługując się innemi środkami nad te, jakie mi jawnie posługują...

— Bądź co bądź, potrzebowałbym się widziéć ze Skórskim — zaś kończył obrońca...

— Zdaje mi się że jako jego umocowany i przed sądem adwokat, masz pan do tego prawo...

Skończyła się rozmowa na tém; Dygowski odszedł niezmiernie zdziwiony tym obrotem, a nazajutrz wyrobił sobie pozwolenie widzenia się z obwinionym.

Stan więzień pomniejszych na prowincyi, nie był nigdy bardzo przykładnym, a w miasteczku w któréin Skórskiemu siedziéć przyszło, istniało tylko tymczasowe, składające się z domu drewnianego, w którym rozmaici przestępcy mieścić się musieli — Wprawdzie Skórski otrzymał izdebkę osobną, ale ją tylko wązki korytarz oddzielał od tych, w których włoczęgi i wszelkiego rodzaju plugawe wyrzutki społeczeństwa w zaduszonych izbach dokupy były spędzone — Sam widok tego obrzydłego kafarnaum wstręt obudzał.. Dygowski nie był zbyt drażliwych nerwów człowiekiem, przecież wszedłszy tu doznał przykrego uczucia. Wrzawa która go dochodziła, cyniczne śmiechy, piski i łajania, powietrze duszne

we wnętrzu, kazały mu przyspieszyć kroku, aby się co rychléj dostać do celi więzienia... Stróż powoli mu ją otwiérał, a wpuściwszy go, sam pozostał nieruchomy przy progu. — Zakratowane małe okienko, osłonięte tarcicami tak, że tylko z góry wchodziło doń trochę szarego światła, tarczan pokryty siennikiem i grubą kołdrą, stolik i jedno krzesło — składały cały sprzęt izby, któréj piec przy wnijściu rozwalony i zatkany na prędce cegłami, dodawał nędznego pozoru.

W głębi postrzegł Skórskiego, który z nogami spuszczonemi, z głową na piersi zwieszoną, z rękami obwisłemi siedział na tarczanie, okryty jakimś płaszczem, spadającym mu z ramion. Najeżone włosy, odzież w nieładzie, dawały poznać bezmyślną jakąś rozpacz...

Nie podniósł z razu nawet oczów na przybywającego, otwarcia drzwi nie zdawał się słyszéć— pozostał tak nieruchomym aż Dygowski zbliżywszy się doń ujął go za dłoń zimną... Dopiéro drgnął i wpatrzył się weń z osłupieniem jakiemś dziwacznem.

— Panie Michale, zawołał, siadając na przeciw niego Dygowski— widzę cię jakimś zrozpaczonym i bezprzytomnym a potrzebuję się z tobą rozmówić chłodno i rozważnie. Czasu mamy niewiele, zbierz myśli, proszę cię...

— Co ty chcesz odemnie? wybąknął z trudnością Skórski—to są próżne rzeczy... Niéma o czém mówić już—co się miało stać to się stało... Było napisano.

— Ale ratować się potrzeba?

Więzień ruszył ramionami.

— Na to niéma ratunku, rzekł głucho — na to już niéma żadnego — to darmo... nie mówmy...

Dygowski, który przy stróżu mówić nie chciał i nie mógł, poszedł mu wcisnąć coś w rękę, aby stał w korytarzu. — Zawahał się nieco, ale mrucząc wysunął po chwili.

— Mówmy krótko a stanowczo—począł obrońca. — W generale znalazłem niespodziewanie, mimo że zrazu okazywał się zajadłym—powolniejszego niż sądziłem człowieka... Obrona twoja byłaby trudną, chce ci dopomódz...

(Nachylił się do ucha) — do ucieczki.

— Któż od swojego losu uciecze? rzekł Skórski... Zresztą dokąd? z czém?

— Na to wszystko znajdzie się odpowiedź, gdy zechcesz tylko chło-

dniéj jéj poszukać — mówił Dygowski. — Generał kładzie jeden warunek, abyś mu złożył dowody gdzie się znajduje dziecię... które ci siostra Cześnikównéj powierzyła...

— Ażeby je zgubić? podchwycił Skórski, aby śladu po niém nie zostało! a! rozumiem to dobrze...

— Ja, nic a nic — rzekł Dygowski...

— Generał jest mężem drugiéj Cześnikównéj, mruknął Skórski.

Obrońca porwał się z krzesła, chwytając się za głowę.

— A! teraz to rozumiem wszystko... możesz się wyratować! zawołał...

Skórski spojrzał wzrokiem dziwnym.

— Znałeś mnie innym, rzekł — ale ten piorun wszystko we mnie wywrócił, zmienił mnie całego... Nie chcę miéć więcéj na sumieniu! Dosyć tych kar za zbrodnie moje!! Dziecka nie dam na stracenie... to dziecko moje!.. Winienem żem je opuścił, ratować je muszę... wynaleźć je powinienem...

Zdziwił się w istocie takiemu usposobieniu przyjaciel, lecz zmilczał...

— A! ty nie wiész, dodał Skórski, trąc konwulsyjnie piersi, ty nie wiész co od téj chwili gdym trupa tego widział... stało się we mnie... Zdało mi się że jakiś obłęd spada mi z oczów — żem ja sam zabity dla życia, a obudzony dla pokuty... Dygowski, ja o nic już nie dbam, chcę tylko w sumieniu mojém spokoju... spokoju... spokoju!.

Mówił z wzrastającym coraz zapałem; nigdy go takim nie widział Dygowski, i zdumiał się a zmięszał niezmiernie.

— Przecież należy jakkolwiek uspokoić generała... inaczéj... będzie ci szkodził. — Gdzież jest to dziecię?

— Powierzyłem je łotrowi! Cudem jakimś znalazłem go i zmusiłem do wyznania, że je w domu podrzutków umieścił... Mam dzień i datę i godzinę...

— Moglibyśmy więc je odzyskać...

— Ale nie oddawać generałowi! nie jemu! dziecka czekałby los najsmutniejszy... To dziecko moje...: Zapóźno pomyślałem o tém, ale chcę i muszę je odzyskać dla siebie — ześlą mnie w Sybir—mogę je zabrać z sobą...

Zadumał się. — Kogoś przecie na świecie miéć będę.

I znowu głowę spuścił na piersi.

Dygowski tarł i darł włosy na głowie.

— Cóż mu powiém? zapytał.

— Że dziecię — nie żyje — rzekł Skórski...

— Jaki mu dowód dam na to?

— Żadnego! daj mi pokój! ja się bronić nie chcę, jam zginiony..

— Lecz jeśli w istocie odezwało się w tobie uczucie i serce ojcowskie — podchwycił adwokat, to dla dziecka winieneś się ocalić.

Zamilczał Skórski.

Powiedz mu zresztą, wyjąknął po chwili, niech mi pomoże do ucieczki, a daję mu słowo, że więcéj o mnie ani o dziecku słyszéć nie będzie... Jestem zabójcą, powrócić przecież nie mogę... Pójdę gdzieś, nie wiém — będę pracować, jeśli potrafię... są gdzieś jacyś krewni w świecie... mnie dziś nic niepotrzeba — tylko spokoju! spokoju! i daleko gdzieś być od tych miejsc gdzie się krew lała...

— Jesteś jeszcze rozgorączkowany — odezwał się adwokat, widząc wchodzącego napowrót stróża, który chciał przyspieszyć koniec rozmowy... Uspokój się, ja powrócę...

Skórski zimną dłoń podał.

— Nie trzeba ci nic...

— Nie — rzekł sucho — nie, tylko spokoju, spokoju...

Stróż brzęknął już kluczami u drzwi, potrzeba było wychodzić. Na Dygowskim widok więźnia i więzienia uczynił nader przykre wrażenie. Ażeby się z niego otrząsnąć, poszedł do domu i tam długo potrzebował ostygać, nim się uczuł znowu panem sił swych i przytomnym... Chciał wieczorem dopiéro pójść zdać sprawę generałowi ze swego poselstwa, gdy Hochwarth ukazał sie w progu — dowodziło to z jego strony niecierpliwości.

— Byłeś pan u niego? zapytał.

— Tak jest, alem go znalazł w takim stanie, iż z nim mówić było niepodobieństwem. Rozgorączkowany... Wymógłem na nim przecież jedno — daje słowo iż jeśli się na wolność dostanie, nigdy ani o nim ani o jego dziecku wiedziéć pan nie będziesz... Ujdzie za granicę...

— A to dziecko? przerwał niespokojnie generał.

— Powierzone było słudze, który je miał na wychowaniu. Umarło z ospy, dorzucił kłamiąc jak najnaturalniéj Dygowski.

— Jakiż dowód? jaki dowód? zawołał Hochwarth — mnie potrzeba dowodu.

— Jego słowo widzi mi się dostatecznem!

— Jego słowo!—wzgardliwie rzekł generał—słowo tego człowieka niema dla mnie żadnéj, najmniejszéj wartości.

— Jeżeli tak—spokojnie począł Dygowski, nie mamy się co układać z sobą. Niech się więc zbierze sąd, niech się wytoczy proces, a ponieważ świadkowie nam potrzebni, jeżeli powołamy i—panią generałowę przed kratki...

Nie mógł dokończyć, gdyż olbrzymiéj siły Hochwarth porwał się z miejsca:

— Milczéć! krzyknął głosem zburzonym od gniéwu.,. Ani słowa więcéj!

Dygowski odskoczył, porywając za dzwonek stojący na stoliku; ale generał wychwycił mu go i zgniótł w dłoni. Dyszeli oba patrząc na siebie długo...

— Nie ucieknie!.. krzyknął generał—jeżeli się pokaże, jeżeli o nim wieść pochwycę, pójdę i w łeb strzelę... A jeżeli waćpan poważysz się to coś mi powiedział powtórzyć choćby ścianie... zabiję, klnę się honorem, zabiję...

— Uspokój się pan — rzekł Dygowski dosyć zimno — ja jestem adwokatem, w moich piersiach jak u spowiednika tajemnica zamiéra... ja pana nie zdradzę.

Hochwarth obejrzał się do koła nieufnie i rękę wyciągnął drżącą na przejednanie Dygowskiego.

— Mości panie, zawołał, tu idzie o honor domu, o cześć kobiéty, powinieneś zrozumiéć mnie i uniesienie przebaczyć.

— Wszystko to pojmuję i zapomnę — rzekł Dygowski, teraz idzie o ratowanie Skórskiego.

Tu zaczęli szeptać z sobą długo i naradzać się. Mecenas wprowadził go do gabinetu, wyszli z niego dopiéro w godzinę, zupełnie jak się zdawało z siebie zadowoleni i w porozumieniu jak najlepszém. Dygowski tylko zmęczony i blady, a Hochwarth niepomiernie zaczerwieniony... W kieszeni od surduta niósł wetknięte papiéry, które gorączkowo jakoś poprawiał ciągle...

Tak się rozstali.

Mecenas po wyjściu gościa musiał się położyć w łóżko...

Trzeciego dnia potém, zrana około dziewiątéj, w całém miasteczku panował popłoch niewysłowiony... Stróże wojskowe i cywilne plądrowały po domach i okolicy, gońce jacyś rozbiegli się na wszystkie strony...

Nadzorca więzienia wpadł blady i zrozpaczony do generała oznajmując mu, że ten nieszczęśliwy zbójca, Skórski, niepojętym sposobem uszedł z więzienia.

Hochwarth zdawał się niesłychanie zdziwiony i obruszony... Poleciał sam natychmiast na miejsce badać jak się to stać mogło... Nikt w istocie wytłumaczyć tego nie umiał. Izba była pusta, ani śladu wyłomu, ani popsutego zamka... Stróże nie widzieli nikogo wychodzącego ani dniem ani nocą. Padało podejrzenie na wszystkich, ale szczególnych poszlak nie było przeciw nikomu. Coś cudownego w tém uwolnieniu widziano, tak że zabobonni ludzie gotowi byli wierzyć w czary. Najściślejsze badanie nie potrafiło nawet wykazać nocą czy dniem uszedł więzień i jaką wydobył się na wolność drogą.

Poszły listy gończe na wsze strony... ale że nikt tak bardzo sprawy nie popiérał, przygłuszono ją, i pozostała tylko legendą bajeczną w miasteczku... Utrzymywano że po kobiécemu przebrany wymknąć się musiał.

Panna Teresa przeglądała właśnie historyczne illustracye jakieś, ażeby z nich zaczerpnąć pomysł do stroju, w roli Maryi Stuart, gdy do drzwi zadzwoniono.

Ponieważ nikt oprócz obcych tym sposobem się nie oznajmywał, a znajomi pukali zwykle aby się do niéj dostać — panna Teresa z wielką niechęcią powoli zamknęła książkę i poszła ku drzwiom, poprawiając domowy strój zaniedbany... Twarz jéj wyrażała nieukontentowanie.

— Natręt jakiś! mówiła do siebie, chwili spokoju niéma człowiek...

Otworzyła przecież drzwi i ujrzała zupełnie obcego mężczyznę, już niemłodego, który bojaźliwie zaglądał wewnątrz mieszkania, stał na progu i wahał się co ma powiedzieć. Fiziognomią miał tak przestraszoną, twarz tak wybladłą i wynędzniałą, ręka w któréj kapelusz trzymał tak mu drżała, a w rysach tyle było wyrazu niespodzianie tragicznego, bolesnego, że panna Teresa z podziwieniem wpatrując się w tę postać, domyślając jakiegoś zbiédzonego artysty z prowincyi, przychodzącego po braterską jałmużnę — nie wiedziała sama co począć.

— Czy nie omyłką pan? spytała...

— Nie — słabym głosem rzekł mężczyzna...

— Panna Teresa... ska?

— Tak jest...

— Pozwoli pani, jąkając się dodał niespodziewany gość — interes najwyższéj wagi. Czy pani sama?

Coraz bardziéj zdziwiona, artystka odpowiedziała.

— Proszę pana sama jestem.

Mężczyzna, który ubrany był w paletot z podniesionym kołnierzem, jakby się lękał żeby go niepoznano, wsunął się ostrożnie, i naprzód całe mieszkanie niespokojném wejrzeniem rozpatrywać począł.

— Niéma nikogo? zapytał.

Zaczynało to niecierpliwić dosyć żywą pannę Teresę.

— Mówiłam panu...

— Pani mi przebaczy, rzekł cichym i osłabłym głosem nieznajomy — wydam się jéj dziwnym... Nieszczęściu wiele darować potrzeba— a ja jestem bardzo nieszczęśliwy...

Sposób jakim wyrzekł te słowa, dowodził, że szły mu z duszy, że w nich nic kłamanego nie było... Zabrakło mu głosu... panna Teresa uczuła litość, zrezygnowana przysunęła mu krzesło.

— Siadaj pan, proszę, uspokój się. — Jeżeli mogę mu być pomocną w czém...

— Pani się o tém dowiész zaraz, rzekł trąc czoło... Lecz od czegóż mam zacząć?

— Mów pan, jak najkrócéj, jak najprościéj, to będzie najlepiéj.

Znaczyło to—nie nudź mnie... Mężczyzna mimo wahania zdawał się rozumiéć. Z kieszeni bocznéj surduta, dobył pomiętą, brudną karteczkę...

— W roku... dnia... miesiąca, godzinie, czytał drżącym głosem— dziecię płci żeńskiéj, podrzucone zostało do szpitala Dzieciątka Jezus.

Teresa zarumieniona, z załamanemi rękami, porwała się z krzesełka.

— To dziecię jest — mojém, kończył coraz ciszéj mężczyzna. Nieszczęśliwy, okropny skład okoliczności zmusił mnie, a raczéj — po co mam kłamać — młodość i płochość moja spowodowały, żem je niegodziwemu słudze oddał na wychowanie... Zdradził mnie, rzucił je do szpitala... Los mi pomógł ślad mojego dziecka odszukać... Przywlókłem się po nie, pomimo że moja przytomność tu grozi mi — śmiercią... Pani wzięłaś to dziecię, ono jest u niéj.

Kończył drżącym głosem, a podniósłszy oczy, ujrzał pannę Teresę, spoglądającą nań z gniewem, z oburzeniem, ze zgrozą i rozpaczą

niemal. Nie mogła wyrzec słowa... wyciągnięta ręka jéj, odpychająca go — drżała...

— Dosyć tego — zawołała — jest to zapewne środek wyłudzenia odemnie zapłaty! Dziecko to do waćpana, do nikogo należeć nie może, tylko do mnie... Rodzice się go bezduszni zaparli, rzucono je bez nazwiska, bez znaku, bez opieki na łaskę i nie łaskę losu... a gdy sercem do litościwéj piersi przyrosło, ma być wolno piérwszemu lepszemu co się o nie zgłosi — zabrać aby je raz drugi i gorzéj może dać na zatracenie!! Waćpan myślisz że ja mu je oddam! To dziecko mojém jest, bo mi je przyswoiła miłość moja, bo ona mnie kocha jak matkę, a ja je jak własne dziecię...

Co waćpan chcesz? oddam ostatnią koszulę! Dziecka! nigdy!

Mówiąc to jakby na scenie, była straszną, tragiczną—poruszającą.

Mężczyzna słuchając jéj z jakiemś poszanowaniem, wstał.

— Pani, zawołał — ja jestem ubogi, ja jestem nieszczęśliwym — ja nie mam na świecie nikogo, ale ja oddam co mam, aby choć późno obowiązku dopełnić. Ja jestem jéj ojcem.

— Waćpan jéj ojcem? katem raczéj — w zapale oburzenia odezwała się artystka... Nie byłeś jéj ojcem, zaparłeś się...

Przestraszona jakąś myślą, nie dokończywszy, pobiegła panna Teresa i zamknęła drzwi prowadzące do dalszych pokojów.

— Waćpan się nie łudź, dodała cała zdyszana, tego dziecka miéć nie możesz... Ja, jabym je miała oddać w ręce tego, co się go zaparł w niemowlęctwie...

— Pani, przerwał nieznajomy zmieszany — nie wypiéram się winy, godzien jestem kary, występnym się wyznaję... ale jestem nieszczęśliwy — jestem dziś bardzo nieszczęśliwy... Ulituj się pani nademną.

— A nad mojém dzieckiem mam nie miéć litości? wybuchnęła panna Teresa, ze śmiechem bolesnym. Jakąż rękojmią dla mnie daje ta spóźniona miłość i skrucha?

Coraz się bardziéj unosząc i pragnąc co najprędzéj ukończyć tę scenę, artystka pobiegła ku drzwiom wchodowym, i otworzyła je.

— Wychodź pan! nie mamy nic więcéj do mówienia z sobą... Żegnam pana. Nieznajomy stał w miejscu nieruchomy, pot tylko ociérał z czoła...

— Pani litości nie masz, szepnął cicho... Nie wiém jak mam mówić. Racz mnie wysłuchać, zaklinam panią.

Panna Teresa gwałtownie zatrzasnęła drzwi. Z namarszczoną brwią usiadła w krześle, trzęsąc się z gniéwu, założyła ręce na piersi— milczała.

Mężczyzna walczył z sobą długo.

— Pani masz słuszność, rzekł ponuro — uznaję to — ale ja mam prawo do dziecka...

— Prawo? jakie? zrzekłeś się go na rzecz szpitala. Gdybym ja nie wzięła dzieciny, dziśby ona może zamiatała ulice; czyż wiém jakiby ją los mógł czekać?

— Nigdy w świécie jéj nie dam... kocham ją... to dosyć. Dla was to obca istota, dla mnie córka... i jabym ją dać miała... Nigdy! nigdy! Chcesz pan, pozywaj mnie do sądu, pójdę się bronić sama, a jeśli w piersiach sędziów znajdę serce, wygram sprawę moję—jak Bóg na niebie.

— Ja pozywać nie mogę—odezwał się nieznajomy—ja jestem sam... pod wyrokiem, —ja muszę uciekać z kraju.

Panna Teresa zmarszczyła czoło.

— I śmiesz na podział tego nieszczęśliwego losu dopominać się dziecka! A, to prawdziwe serce ojcowskie. Zapewne, wziąłbyś ją waćpan jako sługę... a — już — mówić nie mogę.

— Pani, przerwał czerwieniąc się nieznajomy... pani jesteś nielitościwą.

— Ja się bronię... ja własności méj bronić będę do ostatniego...

Głosu jéj brakło.

— Kto waćpan jesteś? zapytała.

— Jestem nieszczęśliwy, rzekł cicho, tego dosyć.

— Nie — bo nieszczęście musi być skutkiem winy. Pocóżbyś się ukrywać musiał i uchodzić...

Gość spuścił oczy... zabrakło mu słów, głowę pochylił, zamyślił się. Siedział tak jakby zapomniawszy gdzie jest i kogo ma przed sobą. To zdrętwienie przejęło jakąś obawą artystkę.

— Czy to dziecię waszém jest czy nie, zawołała, to wielkie pytanie Często po kilkoro podrzutków jednego dnia i godziny się znajduje w kołébce.

— Tego dnia — zawołał prędko mężczyzna, było tylko to jedno.. Świadczą regestra szpitalne.

I znowu siedział zamyślony...

— Panna Teresa zniecierpliwiona do najwyższego stopnia, poczę-

ła się przechadzać po pokoju, jakby tylko wyjścia natręta czekała. Po namyśle długim wstał z krzesła, chwiejąc się na nogach.

— Nazwisko moje pani jest niepotrzebne — odezwał się — ale z położenia mojego wytłumaczyć się muszę. Mimowolnie popełnione zabójstwo zmusza mnie do ucieczki. Jestem szlachcic, niedawno miałem jeszcze wieś, majątek... dziś pozostało mi około stu tysięcy złotych, mam krewnych za granicą. Jadę pracować aby dziecku przyszłość zapewnić. Pani sama nie jesteś majętną, jesteś artystką. Jakiż los jéj zgotować możesz? i chyba ten zawód ją czeka, któremuś się pani poświęciła. Jest on zaszczytny, nie przeczę — ale... Zamilkł.

— Przepraszam pana—przerwała gniewnie panna Teresa, mylisz się. Nie chcę jéj uczynić artystką, aby jak ja nie cierpiała, aby w duszy czując się królową, w życiu nie była najlichszéj gawiedzi poddaną, a w prywatnéj sferze istotą wyjątkową i niemal wzgardzoną... Nie—uczę ją pracy, usposabiam ją do życia w rzeczywistości, my snami żyjemy, a w przebudzeniach bolejem tylko. Nie — ona nie będzie artystką...

— Pani mnie nie uznajesz zdolnym zabezpieczyć jéj los — rzekł nieznajomy—daruj że téż ja odmówię pani do tego, nie chęci ale mocy... Pani żyjesz jak sama mówisz, snami, a życia twardego dni powszednich rozumiéć nie możesz.

— Ale mam serce i instynkt matki dla niéj, a waćpan zapóźno poczułeś, nawet obowiązki ojca...

Dosyć tego, dokończyła — próżno będziemy się sprzeczali — ja nie dam dziecka...

To mówiąc wskazała na drzwi, ale mężczyzna ani się ruszył z miejsca.

Panna Teresa, chociaż przeżyła wiele i przebolała, nie nabyła zimnéj krwi i cierpliwości, temperament miała żywy a nawyknienie do sceny nadawało jéj więcéj jeszcze namiętności w ruchach i postawie.

Serce jéj było rzeczywiście poruszone, nie wiedziała co począć z tym osobliwym natrętem, który spadł na nią niespodzianie z groźbą odebrania dziecięcia, do którego się przywiązała. Oburzoną była i gniéwną.

— Mówiłam panu,—powtórzyła po chwili — że dziecka mu nie oddam, jeśli jest jaki sposób prawny wydarcia mi go, możesz próbować, z dobréj woli, mówię panu uroczyście—nie zrzeknę się przybranéj siéroty. Jest moją, ludzie i Bóg inaczéj nie osądzą...

— Mówiłem pani,—rzekł ponuro mężczyzna, że prawować się nie



To mówiąc wskazała na drzwi..... (Do str. 134).

mogę, upominać nie mam sposobu — rachowałem na jéj serce, na jéj litość na sprawiedliwość.

Nie miałabym serca, litości ani uczucia sprawiedliwości, gdybym uczyniła zadość jego żądaniu —przerwała artystka.

— Dodam to tylko — szepnął mężczyzna — iż mogę być co chwila pochwycony i zginąć, ale nie zważając na niebezpieczeństwo, będę stał u drzwi pani, póki mi nie oddasz dziecka... Mam dla niego obowiązki, chcę je spełnić dam mu imię moje—dam co mam... przestanie być sierotą bez nazwiska...

Teresa pogardliwie się uśmiechnęła. Niechże choć wiém, dodała — jak się pan nazywasz?

Mężczyzna zawahał się nieco i pomyślał.

— Jest to nie tylko moją, ale i innych osób dotyczącą tajemnicą — honorowi pani powierzyć ją mogę. Nazywam się—Michał Skórski.

Panna Teresa, która bardzo dotąd obojętnie słuchała co mówił, krzyknęła usłyszawszy nazwisko, znane jéj z wyznań przyjaciółki. Załamała ręce, ze spuszczoną głową padła w krzesło, nie odpowiadając stojącemu przed nią panu Michałowi.

Zdało się jéj cudem prawie, że ta nieznana siérota—była córką jéj najlepszéj przyjaciółki, widziała w tém jedno z tych dziwnych zrządzeń opatrzności niepojętych, które ludzie trafem zowią, a serca wiarą przejęte—Bożéj ręki dziełem. Przywiązanie generałowéj do tego dziecka, w którém się nie mogła domyślać własnéj córki — miłość Lizki dla niéj—wypadek, który te ciemności tak cudownie a nagle rozświécał—wszystko to pogrążało ją w jakiéjś zadumie uroczystéj. Skórski wytłumaczyć sobie tego nie umiał.

Panna Teresa nie rychło wstała i podniosła nań oczy.

— Niepojęte są losy ludzkie — rzekła — nazwisko pańskie, czegoś się lomyślać nawet nie mógł, dało mi nazwisko matki dziecięcia. Jest w tém palec opatrzności. Ja jestem przyjaciółką Natalii, —w lepsze ręce dostać się dziecię nie mogło—i pan byś chciał je odbiérać!

Z kolei Skórski stanął zdumiony.

— Zkąd że pani wiész o czém nie powinien, nie może nikt wiedziéć?

— Myśmy siostrami serdecznemi dla siebie były niegdyś i jesteśmy do dziś dnia — nie miała dla mnie tajemnic. Lecz mogłażem się spo-

dziewać, przewidziéć, że ja będę wyznaczoną dla ocalenia jéj dziecięcia od nędzy i siéroctwa!

A! to nie pojęte! za to nie wiém jak Bogu dziękować...

— Idź pan — zawołała — dziś nie mogę mówić więcéj, przyjdź jutro, nie przychodź wcale, uczyń jak mu się podoba... ale teraz, błagam go, proszę, zostaw mnie w spokoju...

Skórski skłonił się, chciał zdaje się prosić o coś jeszcze, ale nie śmiał i zbliżył się ku drzwiom. W tém panna Teresa zawołała go. Porwała się nagle jakąś myślą poruszona, z gorączką sobie właściwą, chwyciła papiér, pióro, kałamarz:

— Pisz pan, zawołała — pisz pan zeznanie, że Lizka jest jego córką, i na czém to przekonanie opiérasz,—ja potrzebuję tego świadectwa.

Skórski się nieco zawahał.

— Pani nie możesz tego papiéru pokazywać nikomu...

— Nie zdradziłam i niewydałam nikogo w życiu—nie narażę i was na niebezpieczeństwo—pisz pan—to mi potrzebne...

I stojąc nad nim nagliła go...

Skórski ulegając żądaniu, po namyśle usiadł do pisania.

— Jabym chciał choć widziéć ją, — rzekł cicho.

— Nie dziś! odparła stanowczo Teresa — dziś nie — żegnam pana! To mówiąc chwyciła już papiér, przycisnęła bibułą, złożyła go szybko i za gors schowała...

Skórski wyszedł zwolna. Artystka poczęła się gorączkowo przechadzać po pokoju... klękła potém u kanapy ze złożonemi rękami i zaczęła się modlić. Dramat, który zwykła była odegrywać na scenie, wkraczał w jéj własne życie. Doznawała uczucia jakiegoś egzaltującego, podnoszącego ducha, którego najwznioślejsza poezya uczynić na niéj nigdy nie mogła. Serce jéj biło, łzy się lały z oczów, była szczęśliwą i biédną razem. Jeszcze téj modlitwy nie dokończyła, gdy do drzwi od pokojów, które była zamknęła, dobijać się zaczęto. Za niemi słychać było świéży głos Lizki, wołający na nią słodkiem imieniem matki.

— Mamo, mamo, czego się mama zamknęła? to ja! to twoja Lizka! proszę otworzyć! proszę otworzyć!

Porwała się Teresa, otworzyła i wchodzącą Lizkę porwała w objęcia, ściskając namiętnie. Dziecię oddało jéj ten uścisk z weselem, z uśmiechem, z pieszczotą, chociaż go zrozumiéć nie mogło; Panna Teresa usiadła tuląc ją do siebie i nie mówiąc jeszcze słowa...

— Czy mama co grała, że taka wzruszona, zapłakana—smutna? proszę zaraz dla Lizki pokazać twarz weselszą... Mamcia wié i sama mówi, że dla dziecinnéj Lizki łzy są zaraźliwe... to i ja się rozpłaczę.

— Nie płacz—dziś ci płakać nie wolno, powinnaś się pomodlić— rzekła wzruszona matka przybrana. Słuchaj mnie uważnie Lizko, gdybyś miała drugą matkę... czy byś mnie zawsze kochała?

— Jakto drugą matkę? zdumione spytało dziecię; — dwóch matek nikt miéć nie może...

— Lecz gdyby... gdyby, mówiła Teresa całując ją, matka przybrana musiała prawdziwéj ustąpić — czy dla mnie zostałoby ci w sercu miłości trochę?

Pytanie to niejasne, zmusiło dziecko do myślenia, Lizka nie dobrze je zrozumiała, patrzyła w oczy Teresie jakby w nich czytać chciała to, czego wyrazy niedopowiedziały...

— Jakże ja ciebie nie mam kochać?-odparła cicho — i czyż może przestać kto raz kocha?

Naiwne to pytanie zapłacone zostało pocałunkiem, i nie mówiła już nic więcéj Lizce, która w główce swéj dziecięcéj rozbierając matki słowa, pozostała zamyśloną.

Zbliżała się godzina, w któréj zwykle na chwilę przybiegała generałowa. Z niecierpliwością oczekiwała na nią teraz Teresa. Co chwilę patrzyła na drzwi i wstrząsała się słysząc chód na korytarzu. Sama nie wiedziała jeszcze czy ma jéj wyjawić tajemnicę i w jaki sposób to dokonać, a czuła że utrzymać jéj w sobie nie potrafi. Naostatek znane pospieszne kroki Natalii, dały się słyszéć w korytarzu, weszła żywo, ale nic jak zwykle smutna i spokojna a zrezygnowana — weszła z oczyma czerwonemi od łez, z piersią wznoszącą się westchnieniami, zburzona, bezsilna weszła i upadła przy drzwiach na krześle.

— Co ci jest? na Boga! przybiegając do niéj wraz z Lizką, zawołała przyjaciółka...

— Nie pytaj! daj mi się wypłakać — daj mi się uspokoić, myśli zebrać. Chodzę jak obłąkana od rana... pod ciężarem nowym... ty nic nie wiész...

— Cóż się stało? twój mąż?

— Nie mów nic o nim... on wszystkich moich nieszczęść przyczyną... Róża biédna nie żyje! I jaki zgon! mój Boże — z ręki tego człowieka! Michał ją zabił...

— On ją zabił! krzyknęła artystka, przypominając sobie w téj chwili rozmowę z nim jego wyznania.

— Dla niéj wszystko skończone — zawoła Natalia, on dokończył tylko zabójstwa poczętego przed laty... konała długo... Po tym czynie... uciekł zbójca... bo jego zbrodnie bezkarne być musiały wszystkie...

Teresa milczała długo zamyślona.

— Zkądże ty to wszystko wiész — generał wrócił?

— Niéma go jeszcze, ale raczył napisać do mnie...

Obie dłonie przyłożywszy do rozpalonych skroni, Natalia siedziała płacząc, Lizka teraz zbliżyła się do niéj i obejmując ją rączkami, po swojemu pocieszała pocałunkami.

Czy w tym stanie ducha można było dopowiedzieć generałowéj resztę historyi jéj własnéj, i w téj chwili rzucić w objęcia utraconą dziecinę — nad tém potrzebowała się namyśléć artystka. Szepnęła Lizce ażeby wyszła nie naprzykrzając się generałowéj, która potrzebowała spokoju... Dziecię posłuszne wybiegło na palcach, stanęło w progu z żalem rozstając się z matką i powoli wróciło do swéj robótki...

Gdy drzwi się za nią zamknęły, generałowa nierychło podniosła oczy zapłakane. .

— Zbójca ten zbiegł, odezwała się — a z nim ostatnia moja nadzieja dowiedzenia się o losie dziecięcia. Nie wierzę w jego śmierć—czuję że żyje, widzę je we snach moich, wyciągające ręce ku mnie, wyrzucające mi żem nieludzko je porzuciła, zaufawszy w serce ojca? Ale ojcowie serc nie mają! — a matki serca i wnętrzności dla dzieci! Przyjdzie mi więc z tą ostatnią myślą się pożegnać, żebym je kiedykolwiek odzyskać mogła...

Z rękami załamanemi zaczęła chodzić po pokoju — Teresa nie spuszczała ją z oka.

— Moja Talko, rzekła na pozór chłodno — nie powinnaś rozpaczać, nad dziećmi opuszczonemi czuwa opatrzność Boża... Wierz mi... W chwili gdy się tego najmniéj możesz spodziéwać, dziecię się cudem znajdzie!

— Dla mnie! cud! gorzko poczęła Natalia—albożem ja cudu godna? Cóżem w życiu uczyniła aby nań zasłużyć? Byłam lekkomyślną matką, jestem złą żoną, nie umiem się poddać losowi memu, dręczę siebie i drugich, targam więzy co mnie pętają... A! Bóg dla takich istot odrzuconych cudów nie czyni.

— Mnie się zdaje przeciwnie — odpowiedziała Teresa, gdybyś nawet była taką jaką ci się podobało odmalować, Bóg mógłby cud uczynić, aby cię nawrócić... Cierpiałaś nadto...

— Tak—to przechodziło siły moje—mówiła Natalia. Wierz mi, były chwile gdym ze łzami u ołtarza prosiła Boga aby mi wziął życie, lub ujął brzemienia. Lecz czyż głos taki jak mój idzie do nieba?

— Wierz tylko w cuda — stanie się! zawołała Teresa—a! ja wierzę w cuda na ziemi! jam ich doświadczyła.

Z za łez spojrzała generałowa.

— Nie widzę ich w życiu twojém — rzekła niedowierzająco...

Teresa nie odpowiedziała nic.

— Więc Skórski uciekł? zapytała obojętnie.

— Znalazł zapewne przyjaciół co mu do ujścia z rąk sprawiedliwości dopomogli—a! niechby sobie żył—byleby przyszedł nań kiedy żal i skrucha i wyznanie prawdy.

— Ty jednak dziwna jesteś — przerwała siadając przy niéj Teresa. Chcesz wieści o tém dziecięciu, lecz nawet gdybyś je jakim wypadkiem odzyskała — cóżbyś uczyniła? Wydaneby było na łup mściwemu generałowi! Byłożby ono bezpieczném? Znasz człowieka — nie musiałabyś drzéć co chwila o los dziecka.

Dreszcz przebiegł po Natalii, która poruszyła się cała i obejrzała z przestrachem.

— A! tak jest —ale jabym je skryła od niego... mogłabym choć ukradkiem widziéć je niekiedy—coś dlań obmyśléć, czuwać nad niem... Miałabym nadzieję, choć kiedyś — może zbliżyć się do niéj lub oddać ją w ręce co by ją otuliły od niebezpieczeństwa... Pomyśl! Rzucona w świat, bez opieki może... jaki los ją czeka... srom, nędza...

Zakryła sobie oczy.

— Talko droga, uspokój się — obejmując ją odezwała się Teresa. Gdybyś nie była tak poruszoną mogłabym ci może coś pocieszającego powiedziéć.

— Mnie? pocieszającego? jestże coby mnie mogło pocieszyć?

Spojrzały sobie w oczy...

— Wiém coś wypadkiem o losie tego Skórskiego. Mówiła namyślając się artystka. Przyjaciel profesora ...ski (zmyśliła nazwisko) jest dawnym towarzyszem i przyjacielem Skórskiego. Dziś rano mówił mi właśnie.

Oczy Natalii tak dziki wyraz przybrały słuchając, iż Teresa wstrzymała się w opowiadaniu.

— Co ci mówił? na Boga! prędko! przerwała generałowa.

— Że Skórski wczoraj podobno przemykał się przez Warszawę— i — nie sam, ale — jak mówią z dziecięciem... dziewczynka bardzo ładna, mogła być wieku Lizki...

— Ale on tu jest jeszcze może—krzyknęła ręce załamując generałowa — na Boga! na zbawienie! Tereso, idź do profesora, poślij go, spiesz — ja chcę widzićć dziecię—ja je muszę odebrać, choćbym zbójcę siostry poświęcić miała...

Artystka stała tak dziwnie niewzruszona i spokojna, że Natalia nie mogąc tego pojąć, oburzyła się gniéwem.

— Ty nie masz serca! zawołała—ja cię proszę.

— A ja proszę cię — o spokój — odpowiedziała Teresa. Właśnie żem dowiedziawszy się o tém, miała serce... dla tego — dla tego...

Natalia z ustami otwartemi stała czekając ostatniego słowa...

— Dziecię twe — odebrałam!!

Spojrzała na generałowę, która pobladła, osunęła się — i — omdlała... Lecz osłabienie to trwało chwilę tylko... jak ze snu obudzona zerwała się na nogi i rzuciła na ziemię aby podziękować Teresie, która ją ledwie czas miała uchwycić w objęcia. Milcząc dobyła papiéru, który miała przy sobie i podała go jéj.

Natalii w oczach się ćmiło, czytała i zrozumiéć nie mogła. Zdawało się jéj niepodobieństwem, ażeby Lizka córką jéj stać się miała— brzmiało to jak cud — jak coś niepojętego, nieprawdopodobnego...

W tém Teresa zawołała na dziewczę, z wielką uciechą i poskokami biegnące ku nim... Natalia rozpłakana porwała ją na ręce i przycisnęła do piersi, oszalała niemal z radości... Dziwny jakiś głos dobywał się z jéj ust, niezrozumiały, załzawiony, namiętny...

— Moja! ona jest moja! wołała ciągle—być że to może? Lizko! tyś moja... a! wielki jest Bóg! a litościwy... i modlić się, modlić, modlić potrzeba...

Dziecię nie rozumiało nic, ale pojmowało tę jakąś wielką radość otaczającą je — choć Teresa dzieląc ją, płakała... Czuła że część serca siérotki utraci.



Moja! ona jest moja! wołała ciągle... (Do str. 140).

Gdy nazajutrz wszedł znowu Skórski do mieszkania panny Teresy znalazł ją samą i zupełnie spokojną, siedzącą z książką w fotelu. Przygotowana była całkowicie na jego przyjęcie. Dnia tego Michał wydał się jéj jeszcze straszliwiéj wybladłym, znędzniałym i upadłym. Po ubraniu włożoném bezmyślnie znać było bezprzytomność i zaprzątnienie jakieś a zaniedbanie... Włosy w nieładzie, osowiałe oczy blade, drżenie febryczne, niepokój i obawa najmniejszego szelestu, stan jego ducha malowały.

Chytry i przebiegły wyraz twarzy, ustąpił nowemu, osowiałemu zimną zrezygnowaną rozpaczą, któréj pozostała tylko obawa cielesna nieuchronnéj męczarni. Im więcéj panią siebie i chłodniejszą występowała panna Teresa, tém zdawał się w obec niéj czuć więcéj upokorzonym i słabszym. Widać było że mało mu pozostawało nadziei, wyswobodzeniu dziś tego, czego wczoraj uprosić nie mógł.

— Przychodzę, odezwał się głosem słabym — i mam nadzieję.

— Muszę panu wszelką odebrać — przerwała poważnie artystka— ale natomiast dać panu tę pocieszającą pewność, że dziecię pozbawione ojca — miéć będzie troskliwą we mnie matkę, jaką byłam dotąd—że ich miéć będzie dwie, bo oko drugiéj matki ze krwi także nad niém czuwać będzie...

— Jakto? zapytał nagle Skórski — generał by je zabił.

— Generał wcale wiedziéć o tém ani potrzebuje, ani będzie—mówiła Teresa, o to pan być możesz spokojnym.

— Ale pani nie powinnaś mnie i dziecka zdradzać, oparł się ożywiając Skórski — to się nie godzi! Pani nie znasz człowieka.

— Znam wszystko — i mogę panu zaręczyć.

— Nie—ja się na to nie zgadzam! Generałowa nie powinna wiedziéć, mogłaby się z tém wydać—Hochwarth gotów na wszystko, aby się pozbyć nienawistnego dziecka... Ja nie mogę pozwolić, ja się narażę sam, ale ją wyratuję.

— Mój panie, odezwała się zimno Teresa, na którą oddziałały rozmowy z generałową — byłeś pan tak mało ojcem tego dziecięcia, tak długo było ci ono obojętném, zawadą — że mi trudno w tę nagle rozbudzoną czułość uwierzyć. Zostaw pan mnie troskę o los dziecka i bądź spokojnym.

Skórski się zmieszał.

— Wymówka słuszna — rzekł chmurno — ale dziś ja innym je-

stem człowiekiem. Jak się to stało, nie wiém; padł strzał, widziałem krew—przeszyło mnie wrażenie morderstwa — zabity we mnie stary człowiek, jestem pokutnikiem i—nędzarzem. Nie pragnę życia—chcę umrzéć spokojny na sumieniu... spokojny!

Westchnął.

Drzwi się otworzyły i w progu stanęła z groźną twarzą Natalia. Popatrzyła nań.

— Ja jestem matką, odezwała się, waćpan żadnego nie masz prawa do dziecka.

Skórski stał niemy.

— Zabójco mojéj siostry — idź ztąd — i nie pokazuj się tu więcéj. Dziecka widziéć ci nie dam, nie jesteś wart go zobaczyć. Idź! pokutuj!

Wskazała ręką na drzwi.

— Idź!

Teresie biło serce, zdawała się jéj Natalia zbyt okrutną, lecz wstawiać się nie śmiała.

Skórski upokorzony nie mówiąc słowa wyszedł powoli... Słychać było nieprzytomny, dziwny, jakby pijany chód jego na wschodach...

— Ale on sobie życie odebrać może, szepnęła Teresa.

— O, tém nie odpokutowałby swéj zbrodni... odparła Natalia.

Osiem lat upłynęło od opisanych wypadków, zmieniło się wiele rzeczy, znikło osób wiele, zapomniano mnóstwa wieści i plotek, które niegdyś po świecie chodziły—salon tylko pani pułkownikowéj Salomei, z nieco wytartemi meblami, z troszkę odnowioném towarzystwem, — trwał zawsze na dawnéj utrzymywany stopie. Tryb przyjęć nie zmienił się wcale, a dla oczu tych co przywykli patrzéć na miłą gospodynię, twarz jéj nawet pozostała tak wdzięczną i świéżą jak dawniéj. Radca utrzymywał że pani Salomea odmłodniała i być to mogło, gdyż dawniéj prawie nie używała kosmetyków, posługiwała się własnemi zębami, obchodziła warkoczem danym od natury, a z postępem lat sztuce kazała zastąpić co wiek nielitościwy popsuł i wyszczerbił.

Wieczorami więc, z daleka, mogła się nawet świéższą wydawać.

Pewnego zimnego wieczoru, jak zawsze wśród karnawału, pułko-

wnikowa dawała coś tańcującego, co się balem nazwać nie mogło, ale nim było w istocie.

Pani Salomea nie pozwalała, aby zabawy u niéj nazywano balami. „Ja balów nie wydaję,—mówiła wszystkim, ale dla młodzieży, która zabawić się i poskakać potrzebuje, chętnie salon otwieram i zapraszam, byle wesoło się rozerwać. Choćby do białego dnia.“

W istocie muzyka nazwać się balową nie mogła, ale do tańca służyła wybornie. Składał ją fortepian wysłużony, któremu już nic się stać nie mogło, choć w niego całą noc bito co siły, skrzypce, basetla, klarnet i bębenek. Była to orkiestra usymplifikowana, pierwotna, nie ceremonialna; czasem skrzypce odpoczywały pod pozorem zerwania struny, czasem klarnet się oczyszczał z ciepłych tchnień rodzących tony, basetla odzywała się tylko jak czkawka, ale ten poczciwy fortepian nie znużony, wiecznie huczący, brzmiący bo mu pedałów nie popuszczano—zastępował wszystko. I skakano bardzo raźno a ochoczo. Wprawdzie do wieczerzy był tylko jeden wina gatunek czerwony i jeden biały, ale oba wyborne, a półmiski ładowane jak szkuty i potrawy niewykwintne a smaczne.

Miejsca było dosyć, bo zwykle dwa salony spore, u których zejścia się zasiadała orkiestra, służyły młodzieży do skoków. Znano owe wieczory pani Salomei z ożywienia i wesołości nie wymuszonéj, jaka na nich panowała. Sama gosposia choć ciągle się wyrzekała, że jest zastarą do tańca, dawała się brać do mazura, do kontredansa, do poloneza, do polki, walca tylko już nie znosiła, bo jéj zbyt działał na nerwy.

Spodziewano się w tym dniu gości więcéj niż zwykle, był jakiś karnawałowy przypływ młodzieży, inauguracye nowych panieńskich towarzyszek, mówiono o dziewicach mających po raz piérwszy ukazać się na ślizkich posadzkach salonu.

Młodzież dla tańca, starsi dla wieczerzy, wielu dla ciekawości wybierali się na raut pani Salomei.

Zwano czasem rautami te wieczory, dla ścisku, czemu drudzy oponowali, przedstawiając, że rauty z natury swéj są nie tańcujące, ale tylko duszące jarmarki.

Około godziny dziewiątéj już zaczynali się zbiérać goście i była nadzieja, że około jedenastéj muzyka ozwie się polonezem Kurpińskiego. Co chwila zjawiała się nowa suknia jasna, nowy bukiet, nową morą okryta mama, jakiś czarno obleczony tatko i z przeciętą na pół fry-

zyerską sztuką głową — młody lew pewien, iż tym razem serce jakieś upoluje.

Pani Salomea miała na sobie ubranie, które poważne jéj, rozkwitłe wdzięki podnosiło znakomicie; była to suknia blado lila, z koronkami białemi, w któréj jéj było niezmiernie do twarzy. Wszystkie kobiéty jéj to powtarzały, ale że żaden mężczyzna nie konfirmował tego wyroku, pułkownikowa nie była jeszcze pewną, czy nie popełniła jakiego wykroczenia przeciw modzie.

Gdy już salony oba po podścianami przyozdobiły się grzędą piękności, gdzieniegdzie poprzerzynanych okwitłemi i zżółkłemi postaciami dla zbawiennego kontrastu, w chwili gdy fortepian rozpocząć miał swą burzliwą funkcyą... szept się rozszedł po piérwszym salonie, oczy wszystkich zwróciły się ku drzwiom wchodowym, ktoś nowy ukazał się w progu, rozbudzający ciekawość niezmierną. Była to złotowłosa panienka, w białéj sukience z różowemi wstążkami, ubrana prawie po pensyonarsku, ale tak piękna, że na niektórych twarzach odbity blask jéj oblicza wyrażał się osłupieniem.

Śmiejąca się jéj twarzyczka miała wyraz anielsko-dziecinny; oczy patrzały w świat z męztwem tych źrenic, co się jeszcze nigdy niczego nie ulękły, bo mało co widziały. Maleńkie usta różowe kwitły niewinném weselem. Wszystko w niéj było cudownie piękne i harmonijne. Kształty, postać, nóżka, ręka, a bursztynowy warkocz nie pożyczany od fryzyera, mógł jeszcze bez uszczerbku w lokach się rozsypać po białéj szyjce...

— Widzisz ją — co za piękność!

— Patrz co za anielska twarzyczka.

— A! jakaż cudowna! mówiono dokoła.

Mężczyźni byli zgodni, wśród blondynek dojrzalszych odzywały się słabe krytyki, niektóre panie teraźniejszości nie mogąc nic zarzucić, groziły przyszłością, ale zjawienie się blondynki zachwyciło salon cały.

Widywano ją ukradkowo na ulicach, w oknie, lecz była zbyt młodą aby się mogła ukazywać w towarzystwach, tego dnia występowała po piérwszy, i po rumieńcu jéj twarzyczki, po dziecinnie zakłopotanych ruchach, znać było że ją ten wielki świat przerażał, te tysiące oczu skierowane na nią, niepokoiły. Gdyby nie była tak wesołą, rozpłakałaby się może.

Za nią szła surowych rysów i wyrazu twarzy kobiéta średnich lat niegdyś piękna, któréj z dawnych wdzięków czarne tylko oczy ogromne



Była to złotowłosa panienka. (Do str. 144).

dziwnie iskrzące pozostały. Było coś dzikiego, niemiłego prawie w tém obliczu dumném, nie rozjaśnioném żadnym promykiem nadziei — milczącém i wiekuistą napiętnowaném tęsknotą...

— Kto to jest? proszę cię,—matka z córką! kto taki, mój radco? zapytał z natarczywością niezmierną młodzieniec w białych rękawiczkach.

— A! a! wiele by mówić! daj mi pokój.

— Ale radco kochany...

— Po kolacyi — głodny nie mam werwy w opowiadaniu—rzekł radca—cierpliwości... po kolacyi powiem.

Wkrótce po ukazaniu się tych pań, wystąpiła w piérwszéj parze polskiego jakaś prezesowa z jakimś księciem, w drugiéj gospodyni z jakimś radcą i wieczór został inaugurowany.

Panienka w białéj sukience zwracała ciągle oczy, a tancerzom prezentowanym sobie co chwila, opędzić się nie mogła; tańcowała lekko jak motylek, wdzięcznie, wesoło, z taką młodzieńczą fantazyą, iż starzy dawali sobie deptać po nogach, byle się na nią popatrzéć.

W tańcu rękawiczki wszystkie popękały, wiele trzewików zostało zmienionych, ochota była niezmierna. Młodzieniec uwijający się z talerzem, złapał nareszcie radcę przy małym wygodnym stoliczku posilającego się razem upakowanym kotletem, pieczystem, kompotem i tortem. Praktyczny radca wyrzekł się form dla istoty, zdobył sobie zawczasu co mu było potrzeba i z obawą tylko patrzył, by kto nie przysunął się do podziału butelki czerwonego wina, którą z wielką pracą potrafił dla siebie ocalić. Młodzieniec z talerzem przysiadł się do niego.

— Panie radco, moja historya?

— Jem teraz, to jest zajęcie ważne, walka o byt... nie mogę mówić i jeść razem...

— Ale zlituj się.

— Powinieneś był do téj pory historyi się dowiedziéć — rzekł radca — a mnie od nich uwolnić.

— Z pełnem zaufaniem, czekałem na spełnienie obietnicy...

— O cóż ci idzie?

— Kto są te panie?

— A no, przecież tyle powinieneś wiedziéć, wdowa po generale Hochwarth i jéj...

— Tu radca chrząknął głośno.

— Siostrzenica!

— Zkądże to zjawisko?

— Taka piękna panna nie mogła spaść, tylko z nieba...

— A nazywa się?

— No — nie wiem, siostrzenica pani generałowéj zapewne. Radca począł się śmiać. No nie, nazywa się panna Skórska, bogata dziedziczka... a piękna jak anioł... ale mama, chciałem powiedziéć ciocia...

— Cóż ciocia, panie radco?

— Ciocia,—straszna i wymagająca... a ojciec...

— Alboż ojciec żyje? ma ojca?

— A ma... ma... Patrzaj no tam w prawo, ten stary, wyłysiały, z zapadłemi policzkami...

— Któż to taki?

— Niegdyś obywatel... późniéj Bóg go tam wié, był w Australji długi czas, czy na petrolu, czy na złocie, czy na jakim innym instrumencie, ogromną zrobił fortunę i powrócił z nią do kraju...

— Pan go zna?

— Szkolny towarzysz, ale od pewnéj chwili jego życia nie jesteśmy z sobą dobrze... To dziwak, trochę awanturnik... zresztą...

— Nie widziałem go ani na chwilę przy córce...

— A bo źle jest z generałową, która go nie lubi... i nie mówią nawet z sobą...

— Wygląda pani generałowa w istocie, rzekł młodzieniec — dziwnie jakoś, niemiło...

— Daj jéj waćpan pokój, życie jéj pono było niemiłe, cóż dziwnego. Wyszła za drugiego takiego awanturnika jak Skórski, a może gorszego od niego, który ją o mało nie zamęczył zazdrością, podejrzliwością i popędliwością. Szczęściem dla niéj, że go na polowaniu we własnych dobrach, zabił wypadkiem leśniczy... musiał go wziąć za dzikie zwierze... cha! cha! dodał radca. Dopiéro po jego zgonie odetchnęła nieco generałowa i mogła wziąć do siebie siostrzenicę... Mówią że jéj ma cały majątek zapisać, bo ją niewypowiedzianie kocha...

— Czy odziedziczyła po generale?

— Zapisał jéj podobno *in articulo mortis*, nie mając komu zostawić.

— A zkądże ta waśń ze szwagrami? dopytywał ciekawy młodzieniec.

— Albo ja tam wiém! kto tam wyszpéra, dosyć że się nie lubią....

— Co za położenie przykre dla młodéj osoby...

— Zapewne—mówił radca, ale ona się wychowywała zdala od ojca, mało go znała nawet i niewiele cierpi pewnie na tém, że ją tak trzymają iż ledwie go zobaczy... Ale jak to na wielkim świecie zwykle, musiałeś waćpan uważać, iż Skórski się przyszedł przywitać z generałową zdaleka, że córka mu dygnęła, że do niéj kilka słów przemówił i dopiéro odszedł.

— Uważałem i to że generałowa przywitawszy się, twarz odwróciła od niego i już nie spojrzała nań.

— Bo się mocno nie lubią — mówił radca. Panna zrobi pewnie partyą świetną. Po matce, chcę mówić *po ciotce*, weźmie dobra znaczne, a ojciec oprócz wioski dawnéj ojczystéj, którą wykupił, ale w niéj nie mieszka, posiada pono znaczne kapitały; tylko gra słyszę na giełdzie może jeszcze zgrać się. Otóż i cała historya — dodał radca — jestżeś spokojony?

— Po części... chociaż zdaje mi się żeś pan radca część jéj połknął razem z kotletem!

— A bardzo być może! rozśmiał się stary, są rzeczy których się nie mówi, które się odgaduje, a tak szczęśliwie, z dobrą metodą uniwersytecką od natury obdarzony młodzieniec, powinien umiéć prawdy zawsze dojść choćby na wierzchu nie siedziała...

— Mnie tylko jedna bije w oczy, to niezmierna piękność panny-w jéj blasku ginie wszystko... Co za urok! jaki wdzięk!

— I mówią że wychowanie pańskie co się zowié—dokończył radca, śpiéwa i gra mistrzowsko... maluje cudnie, tańcuje jak widziałeś, a w dodatku dobra, łagodna i...

— To prawdziwe nieszczęście! zawołał młodzieniec, kogóż godnym uznają tego skarbu?

— Audaces fortuna juvat!—rzekł radca i ostatni kieliszek wina wychylił.

KONIEC.